

Nic na świecie
nie dzieje się
przypadkiem

Urszula Jaksik

ODWRÓCONE
ZYCIE

Pascal

Urszula Jaksik

ODWRÓCONE
ZYCIE

Pascal

córcie Iwonie
za wspólną wyprawę na Teneryfę

Rozdział I

Teneryfa

„Co ona powiedziała?” – zastanawiała się intensywnie. Głos dotarł do niej z tyłu, taki szepta drażniący uszy. Wybił ją z półsnu i pobudził szare komórki do intensywnego myślenia.

Jakiś Patryk, zapylacz cholerny, skurwysyn i sknerus parszywy, zapłodnił kogoś, ponieważ kupował najtańsze prezerwatywy. Teraz rozplynął się w tej cholernej angielskiej mgle i ślad po nim zaginął, a jej rośnie brzuch.

– Skurwysyn – odezwała się jakaś inna kobieta. – Nie rycz, głupia, bo ktoś się dowie i twoje szanse szlag trafi. Coś się wymyśli. Nie ty pierwsza przecież, nie ostatnia. Tam na miejscu dziewczyny ci pomogą, na pewno mają już jakieś rozeznanie w sytuacji. A teraz zamknij się, bo nie wiadomo, kto śpi, a kto nie – nakazała. – I nie rycz, za godzinę lądujemy, wiesz, że musisz dobrze wyglądać.

Ktoś wydmuchał głośno nos i zapadła cisza, słychać było tylko szum silników samolotu.

„Ten świat jest stanowczo za mały” – pomyślała Aldona. Gdzie by się nie ruszyła, wszędzie trafiała na Polaków. Leciała na Teneryfę. Sama nie mogła w to uwierzyć. Ona i Teneryfa?! Gdyby matka mogła ją zobaczyć. Z takiego domu, z takiej biedy – na Teneryfę! I widać, że nie ona jedna.

Ale nie to ją zaskoczyło w podsłuchanej rozmowie, tylko ten Patryk. Ona też była w Londynie z Patrykiem. Tak, niejednemu psu Burek, ale jej Patryk też ciągle był bez pieniędzy, często zmieniał pracę. Stale chodził głodny, spał to tu, to tam, nigdzie nie zagrzał dłużej miejsca. Jezu, nie miała pojęcia, jakich używał prezerwatyw. Kiedy miała ostatni okres? Chyba już pora. Nie, tylko nie to. Sąsiad z prawej zganił ją wzrokiem, bo potrąciła go niechcący łokciem, wiercąc się w swoim fotelu.

Kalendarz miała w torbie, w luku nad głową. Musi poczekać, za pół godziny ludzie zaczną wstawać.

Przez ostatnie dni pobytu w Londynie łkała, na wszelki wypadek, tabletki antykoncepcyjne Vannessy, która właśnie je odstawiła, bo planowała ciążę. Wymuszała też na Patryku te prezerwatywy, których nie lubił, ale teraz niczego już nie była pewna, w jej mózgu zapaliła się lampka i odebrała jej spokój. Gdyby los chciał ją ukarać, to właśnie teraz miałaby najlepszą okazję. W jej sytuacji ciąża byłaby totalną klęską.

„Uspokój się” – nakazała sobie. – „A gdzie twoje pozytywne myślenie? Dlaczego miałabyś być w ciąży? Tylko dlatego, że jakiejś dziewczynie z Polski coś takiego przytrafiło się w Londynie?”

Bzdura, totalna bzdura”.

Kurczę, niechciana ciąża to prawdziwe nieszczęście. Oczywiście chce mieć dziecko, ale na pewno nie teraz. Najpierw musi udowodnić światu i sobie, że geny to bzdura. Nie będzie taka jak mama – zalękniona, podporządkowana, ślepo trzymająca się ramienia męża, bo to jej chłop. I co z tego, że nosi portki, ochlapus jeden. W żadnej pracy długo nie wytrzymał. Nie ma kopalni na całym Śląsku, w której by nie pracował. I huty przeleciał, i warsztaty samochodowe, i co tam jeszcze. Wieczny chłopiec, tylko koledzy, piwo i sport, ale wyłącznie kibicowanie: piłka nożna, żużel, boks. A przecież głupi nie był. Popatrzył, pomyślał i naprawił każdą rzecz: od wielkiego kamaza po suszarkę do włosów. Gdyby tylko chciał, mógłby wszystko.

No właśnie, jej się chce, ona będzie bogata, niezależna, ważna. Wszystkim udowodni, że ojciec czy matka nie mają znaczenia, ani bieda, ani picie i bicie. Człowiekowi tylko musi się chcieć, musi mieć plan na życie, cele do osiągnięcia. A potem zacisnąć zęby i do przodu, bez opieprzania się, bez narzekania.

– Czy pani się źle czuje? – zapytał sąsiad z lewej.

– Nie, dlaczego? – zapytała zaskoczona.

– Tak się pani wierci, ciężko oddycha, jakby panią coś bardzo bolało. Może zawołam stewardesę?

– Nie, dziękuję. Za długo lecimy, mięśnie nie wytrzymują, przepraszam.

– To fakt. Mnie też nogi trochę drętwieją.

Uśmiechnęła się przepraszająco i zamknęła oczy. Nakazała sobie spokój.

Samolot zaczął podchodzić do lądowania. Pochyliła się, by kątem oka obserwować, jak ziemia zbliża się na ich spotkanie. Z radosnym podnieceniem oczekiwała momentu, kiedy koła dotkną ziemi, a samolot łagodnie potoczy się po pasie startowym. Już nie martwiła się bzdurnymi domysłami. Czuła radość i chęć działania. Przed nią wielka szansa na odmianę losu, zamierzała ją maksymalnie wykorzystać.

Lotnisko jak lotnisko. Niewielkie w porównaniu z londyńskim. Ale gdy po półgodzinie je opuściła i czując gorący powiew wiatru, zobaczyła kołyszące się pióropusze palm, wreszcie do niej dotarło, że oto stoi na Teneryfie – wyspie szczęścia, raju na ziemi.

Ile marzeń, ile wizualizacji, próśb wysyłanych do nieba! Kiedy marzła pod kołdrą, kocem i płaszczem, licząc godziny do świtu, wstępowała do ogrzewanych sklepów, kuliła się w bramach, wtedy obiecywała sobie, przysięgała, że nadejdzie taki dzień, gdy zamieszka w ciepłym kraju, w którym nie ma zimy. Pożegna się na zawsze z czapkami, rękawiczkami, szalikami. Odkładała każdy zarobiony grosz, mieszkała w najtańszym pokoiku na poddaszu, bez ogrzewania. Mały gazowy piecyk pozwalała sobie włączyć tylko na dwie godziny przed snem.

Któregoś dnia usłyszała opowieść o Teneryfie i miała już konkretny cel. Rozpoczęła intensywną naukę języka hiszpańskiego. Najszybciej zapamiętywała słowa związane z ciepłem, upałem, palmami. Celowo wymyślała sobie zdania do przetłumaczenia w stylu: „Żar lejący się z nieba przenikał jej

ciało głęboko, bardzo głęboko”.

„A teraz kierunek Santa Cruz” pomyślała radośnie, uśmiechając się.

Bez trudu znalazła przystanek autobusowy linii sto jedenaście. Ustawiała się w kolejce, do odjazdu zostało dziesięć minut. Czowała się pewnie, miała doskonale notatki w notesie. Przezornie sprawdziła wszystkie możliwe połączenia. Kupiła bilet w kasie na dworcu, by zyskać pięćdziesięcioprocentową zniżkę.

Wystarczył dostęp do Internetu i wszystko stawało się proste.

Kiedyś, w przyływie dobrego humoru, sublokator z Hiszpanii nauczył ją korzystania ze swojego komputera. Później używała komputera Vanessy.

Bez problemu odgadła jej hasło i buszowała po Internecie, gdy tamta była w pracy. Starła się utrzymać w tajemnicy fakt, że komputer nie jest już dla niej czarną magią. Mało który emigrant z Polski na początku lat dziewięćdziesiątych się na tym znał. Ona od razu zachwyciła się możliwościami Internetu. Już sobie postanowiła, że jej pierwszym zakupem, gdy tylko trochę stanie na nogi, będzie komputer. Była pewna, że to w tę stronę rozwinie się świat i każdy, kto tego nie doceni, zostanie zepchnięty na margines. A ona dawno temu wyznaczyła sobie kierunek dokładnie odwrotny.

Podjechał autobus; spokojnie umieściła swoją torbę w bagażniku.

– *Buenos días* – powiedziała i posłała kierowcy nieśmiały uśmiech. Skasowała bilet i usiadła. Obserwując krajobraz za szybą, uśmiechnęła się radośnie. Właśnie rozpoczynała nowy rozdział swojego życia.

Rozdział II

Bieganie

Fajnie było sadzić takie wielkie kroki, jakby siedmiomilowe. Hop i hop, i hop. Musiała tylko trafić na deskę, bo inaczej bolało. Kontakt z ostrymi kamykami był bardzo nieprzyjemny. Nie pierwszy raz to robiła, więc coraz rzadziej tenisówki ześlizgiwały się z krawędzi podkładu kolejowego. Ten rytm, narzucony przez znormalizowaną odległość, przyjemnie współgrał z jej oddechem. Mogła tak biec, pokonując duże odległości, nawet do następnej stacji kolejowej.

Dzisiaj trochę przesadziła – nie wiedziała, jak długo już biegnie, ale jakiś czas temu minęła stację Chebzie. Musi w końcu zawrócić, zwłaszcza że zaczęło siąpić. Czuła, że sweter zrobiony na drutach przez babcię Trudzię przykleja jej się do pleców. Zatrzymała się. „Dosyć!” – nakazała sobie. „Trochę rozsądku, dziewczyno” – powiedziałby tatuś. On nie lubił, gdy się zamyślała, gdy rozmawiała sama ze sobą, gdy uciekała w najdalszy kąt mieszkania, chowała się za zasłony czy pod stół. Nie podobało mu się też jej samotne bieganie, chociaż nie miał pojęcia, gdzie biegała. Dopiero byłby wściekły.

Wiedziała, że to zabronione, niebezpieczne, ale właśnie dlatego było takie fajne. Torowisko rządziło się swoimi prawami. Tu prawie wszystko było zakazane, nielegalne. Chłopcy wskakiwali i wyskakiwali z wagonów, gdy tylko pociągi zwalniały. Podróżowali na gapę do odległych miast. Ale to ci młodszy. Starsi po prostu włamywali się do wagonów, kradli głównie węgiel, choć nie tylko. Biegając po torach, znajdowała różne rzeczy. W tamtym roku trafiła na rozwaloną skrzynkę pomarańczy. Przez godzinę napychała się tymi frykasami, zachłystując się soczystym mięszem, a później przez trzy dni leżała ciężko chora, wymiotując, z wysoką gorączką. Do dzisiaj nie może patrzeć na te pomarańczowe kule, nie znosi ich zapachu.

„Dosyć!” – nakazała myślom w swojej głowie. Coś przykuło jej uwagę. Tak, poczuła drgania. Podkłady pod tenisówkami przekazywały jej wiadomość, jak telegraf, titi ta, titi ta, tata ti. „Zbliżam się, pędzę. Zejdź mi z drogi, bo cię zmiażdżę”. Odwróciła się. Ujrzała stalowego potwora z jaskrawymi oczami reflektorów. Rósł, potężniał z każdą sekundą. Już miała uskoczyć w bok, gdy nagle to zobaczyła.

Spod kamyków, pomiędzy szyn i podkładów wysuwały się zielone pędy i błyskawicznie owijały wokół jej stóp. Poczowała, że są zimne i śliskie. Próbowwała ruszyć nogą, ale mocno trzymały. Już miała wrzasnąć z przerażenia, kiedy ubiegł ją ten przeszywający gwizd. Gniewny ryk potwora. Podskoczyła przestraszona, a zielone macki się rozwinęły, uwalniając jej stopy, i znikły pod kamieniami.

W ostatniej sekundzie skoczyła w stronę szarego krzaczka. Silny podmuch pędzącej maszyny szarpnął nią i odrzucił, sturlała się z nasypu. Stukot wielu kół zagłuszył wszystko.

Czuła, że jej ubranie nasiąka wodą. Leżała w brudnej kałuży, jak żuk przewrócona na plecy. Ścisnęła w dłoni wyrwany z korzeniami szary krzak.

– Cholera, zniszczyłam ci życie. Cholera! – powtórzyła z pasją, bo było to słowo zakazane przez matkę, która miała obsesję na punkcie wulgaryzmów, tak powszechnych w familokach i dlatego nietolerowanych w ich domu. Mama niczego nie tłumaczyła, tylko spoglądała w stronę winowajcy znaczącym wzrokiem, a gdy to nie zadziało, obrażała się i potrafiła przez pół dnia milczeć, póki nie usłyszała słowa „przepraszam”.

Pociąg towarowy przetoczył się z hukiem. Wstała, obejrzała dokładnie łodygę rośliny. Niestety była złamana w kilku miejscach.

– Masz pecha, wyrosłeś w złym miejscu. To dlatego jesteś taki suchy i karłowaty. Nie było ci tam lekko – powiedziała.

Sprawdziła korzeń. Był dobrze rozwinięty, szeroki, z licznymi rozgałęzieniami. Z lekcji biologii pamiętała, że mocne korzenie to podstawa rośliny, więc była duża szansa, że krzak się odrodzi.

– Sorry, wybacz mi. Nic do ciebie nie mam, to czysty przypadek. Chociaż babcia zawsze powtarzała, że nie ma przypadków, że wszystko jest po coś, tylko my nie od razu widzimy po co. Może, cholera... Dobra, spróbuję cię uratować – postanowiła.

Zagłębiając dłonie w mokrej ziemi tuż obok kałuży, wykopała dołek i delikatnie wsunęła do niego roślinkę. Łodyżka smętnie leżała. Ugniatając wokół niej ziemię, miała jednak nadzieję, że wypuści nowe pędy, zwłaszcza że miejsce, które jej wybrała, było zdecydowanie korzystniejsze od poprzedniego.

– Nie daj się, dostałeś drugą szansę, nie zmarnuj tego – przemawiała do krzaczka tonem księdza Stefana.

Wypłukała dłonie w mętnej wodzie, otrzepała mokre ubranie i wspięła się na torowisko. Deszcz się nasilał. Nie przejmowała się tym, że cała ociekała wodą. Wiedziała, że będzie jeszcze gorzej. Musiała biec do domu, a przed nią daleka droga, kilka kilometrów. Zanim jednak ruszyła, dokładnie obejrzała kamyki pomiędzy drewnianymi podkładami. Czy te mackowate pędy jej się przywidziały? Co to w ogóle było? Ostrożnie postawiła stopę pomiędzy szynami. Nic się nie stało. Postawiła drugą. Tupnęła. Nic. Stała jeszcze chwilę, westchnęła i ruszyła znanym sobie rytmem w drogę powrotną. Mokre tenisówki głośno plaskały, wiatr siekł deszczem po twarzy.

* * *

Szlaban do końca tygodnia i zero oglądania telewizji. To kara za to, że tak późno wróciła i w dodatku cała mokra. Dobrze, że tatusia nie było w domu, byłoby znacznie gorzej. Na szczęście praco-

wał na drugą zmianę w hucie.

Mama najpierw na nią nakrzyczała – miała prawo, bo naprawdę się martwiła – a później kazała jej się wykąpać i wypić gorącą herbatę z miodem.

Leżała pod ciepłą kołdrą, dręczył ją silny ból mięśni w łydkach i udach. Naprawdę przesadziła z odległością, i to w taką pogodę. To bieganie wciągało ją jak jakiś nałóg, stale chciało się szybciej i dłużej. Nie rozumiała tego, ale wiedziała, że po prostu nie potrafi przestać. Gdy pojawiało się to dziwne napięcie w stopach, musiała się puścić biegiem albo chociaż w coś kopnąć, tupnąć.

Podobno miała to od momentu, gdy opanowała chodzenie, a zrobiła to wyjątkowo szybko. Babcia zawsze porównywała jej rekord z osiągnięciami innych dzieci. „Na tydzień przed ukończeniem dziewiątego miesiąca! Stała, trzymając się krzesła w kuchni. Zięć przyniósł koszyk śliwek, postawił na blacie, jedna spadła na podłogę i potoczyła się w stronę okna. Ewunia poderwała się z podłogi i niespodziewanie ruszyła. Rozpędziła się i nie panując nad ciałkiem, z całej siły walnęła w kuchenną szafkę, obok której zatrzymała się śliwka. Była tak zdezorientowana, że nawet nie zapłakała, chociaż z noska polala się krew” – opowiadała wielokrotnie z niezmiennym przejęciem.

Od tej chwili lubiła się rozpędzać. Sąsiad nazywał ją Pershing, bo tak szybko znikwała mu z oczu. Był rencistą i pilnował maluchów na podwórku, gdy matki gotowały obiad. Dostawał za to talerz zupy, kawę lub kawałek ciasta. Była jedynym dzieckiem, które obwiązywał w pasie grubym sznurkiem i którego nie spuszczał z oczu. Rodzice pozwalali na to, ponieważ sami też sobie z nią nie radzili. Wszyscy cierpliwie czekali, aż z tego wyrośnie, ale nic takiego się nie stało, tyle że teraz wolała ukrywać tę namiętność, bo w środowisku familoków uznawano to za dziwactwo, odstępstwo od normy, rodzaj choroby.

Gdyby była chłopcem, to zupełnie co innego, ale dziewczynka powinna być małą kobietką. Chodzić w sukienkach i białych podkolanówkach. Skakać przez skakankę lub grać w gumę. Siedzieć na kocu na łące za domem i bawić się w dom lalkami, małymi kuchniami, garnuszkami i plastikowymi serwisami do kawy. Robiła to oczywiście, przecież była dziewczynką, ale gdy narastał w niej ten niepokój, kiedy wiatr plątał się w krótkich, gęstych włosach, coraz częściej wciągała powietrze głęboko w płuca i pod byle pretekstem znikwała z podwórka. Napięcie w mięśniach nóg po prostu zmuszało ją do biegu. Musiała pędzić coraz szybciej, musiała czuć te uderzenia wiatru w policzki, czoło, musiała przestać myśleć.

Bieganie po ulicach z czasem stało się coraz bardziej kłopotliwe – rosła, była coraz większa, często wpadała na ludzi, psy plątały się pod nogami, trzeba było omijać tyle przeszkód i za bardzo zwracała na siebie uwagę. Miała dosyć odpowiadania na to proste, ale jednocześnie kłopotliwe pytanie: „Dokąd tak pędzisz, dziecko, dziewczynko, dziewczyno?”. Nie znała na nie odpowiedzi i to ją denerwowało.

Gdy została uczennicą, próbowała robić to na boisku szkolnym, ale szybko miała dosyć biegania w kółko po owalnym torze jak chomik w klatce, a w dodatku zawsze znalazł się ktoś, kto się na nią

gapił.

Któregoś dnia odkryła torowiska, teraz już nic nie mogło jej powstrzymać. Rzadko zmieniała trasę, wołała znane sobie ścieżki, bo w całym tym bieganiu nie chodziło o wycieczki krajoznawcze, podziwianie widoków, tylko właśnie o tę prędkość. Lubiła, kiedy serce biło najpierw powoli, później szybciej, rytmicznie. Lubiła czuć pot, który delikatnie pokrywał jej twarz i sprawiał, że czuła się bezpieczna w tym intensywnym wysiłku. Przed niczym nie uciekała, z nikim nie walczyła. To było starcie tylko z własnymi słabościami. Każdy przebiegnięty kilometr uszczęśliwiał nie tylko jej ciało, lecz także duszę.

Wściekała się, gdy po jej trasie pętali się inni. Ostatnio musiała zmienić kierunek, ponieważ na moście kolejowym, przez który przebiegała, zbierała się od jakiegoś czasu banda smarkaczy z innego podwórka. Robili zawody, kto szybciej pokona ten odcinek. To było głupie, niepotrzebne ryzyko. Między tymi pokładami na moście były szerokie prześwity, można było spaść kilka metrów w dół na kamieniste podłoże i coś sobie połamać, a nawet skrzywić kark. Nie wyobrażała sobie siebie uwięzionej na kilka tygodni w gipsie. Zresztą od kiedy nastąpiła ta głupia moda, sokiści często patrolowali ten odcinek. Jak kogoś złapali, to rodzice płacili mandat.

Ona potrzebowała pustej przestrzeni, samotności i tego pędu, by przewietrzyć mózg. Po powrocie mogłaby przytulić cały świat, czuła się taka radosna, wolna, wypełniona energią, choć fizycznie wyczerpana. Strzegła przed wszystkimi tej swojej tajemnicy, bo to była tylko jej sprawa. Nie potrafiła tak do końca tego zrozumieć, ale czuła, że to coś wyjątkowego – dar, który został jej ofiarowany.

Niby nic nadzwyczajnego, zwykłe bieganie; każdy, kto miał zdrowe nogi, mógłby to robić. A jednak to było niesamowite. Gdy biegła już dostatecznie długo, gdy wiatr i pęd wywiały już wszystkie myśli z jej głowy, przenosiła się w inny świat – świat niemyślenia. To wtedy znikąd pojawiali się jakieś ludzie, emocje i miejsca, których na pewno nigdy nie odwiedziła. Czasami rozmawiała z kimś, kogo tak naprawdę przecież nie było. Czuła się jak widz w kinie wciągnięty na ekran w sam środek akcji. Widziała kiedyś taki film, nie pamiętała tytułu. Emocjonujące było to, że nigdy nie wiedziała, gdzie zostanie przeniesiona i co będzie tam robiła.

– Przypominam, że dzisiaj masz tylko dziesięć minut – upominał ją ktoś ostrym tonem.

– Pamiętam – odpowiedziała zniecierpliwiona.

– Pamiętam, pamiętam... – przedrzeźniał ją. – A kogo ostatnio półżywą wyciągałem z wody?

– Nie przesadzaj, nie było tak źle – upierała się.

– Tak źle nie było, było fatalnie! Uprzedzam cię, jeśli nie zareagujesz na mój znak od razu, to zawieszę ci nurkowanie na dwa tygodnie.

– Jasne. – Poddawała się. Wiedziała, że nie żartuje. Ostatnio rzeczywiście przegięła. Przez dłuższy czas po wypłynięciu była wiotka, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu, chociaż przytomna, wszystko słyszała i widziała.

Odetchnęła z ulgą, gdy zanurzyła się wreszcie w wodzie. Poczowała się znacznie lżejsza, znikł ciężar kombinezonu

i butli z tlenem, w ogóle nie czuła swojego ciała. Wokół niej robiło się coraz zimniej i ciemniej. Pojawiły się podwodne skały i grotty, przepływały kolorowe ryby, falowały wodorosty. To był jej świat: tajemniczy, fascynujący. Nagle jej uwagę przykuł jakiś czerwony przedmiot zaczepiony o skałę. Podpłynęła. To była chusta z bardzo delikatnego, cieniutkiego materiału. Ostrożnie ją odczepiła i zawinęła wokół nadgarstka. I wtedy poczuła szarpnięcie liny – wiedziała, że musi natychmiast wracać na górę. Obiecała.

– To niemożliwe, by dwadzieścia minut trwało tak krótko – buntowała się. Ale popłynęła w górę, w stronę światła i błękitu.

Tak naprawdę cały czas biegła po torowisku. Skąd nurkowanie? Panicznie bała się wody, nie umiała pływać. Zawładnął ją jakiś inny świat, równie realistyczny jak ten rzeczywisty. Skąd to wszystko? Z tego pędu? Z biegania? Wolą nie dociekać, ale też nikomu o tym nie mówiła, bo uznaliby, że zmyśla albo że jest wariatką. Lubiła to i nie zgłębiała, skąd się brało. Ostatnio Tadek, który uwielbiał fantastykę, opowiadał w szkole o światach równoległych. To by pasowało do jej przeżyć. I jeszcze to, że czasami te światy się wzajemnie przenikają. Na przykład ta czerwona chusta – zupełnie taką samą miała mama. Skąd apaszka mamy na dnie oceanu? Nieważne, zaakceptowała to, bo to było niesamowite, tylko nikomu o tym nie mówiła.

Poczuła, że mama sprawdza dłońią, czy nie ma gorączki. Nie otwierała oczu. Co miała jej powiedzieć? Że znowu ją naszło i popędziła torami przed siebie? Tylko by ją zmartwiła. A jej mama miała limit zmartwień szczerze wypełniony. To Stasiu był od problemów i martwienia jej, ona powinna być źródłem radości. Wszyscy wkoło jej to mówili.

Mama delikatnie głaskała jej włosy, w końcu westchnęła, zgasila lampkę nocną i zamknęła drzwi. Nie chciała sprawiać mamie kłopotów, nie chciała zawieść jej zaufania i nadziei, że wyrośnie na porządną, miłą, śliczną kobietę. Ale noszenie długich włosów, loków, kokardek, koralików nie pasowało do niej. Źle się w tym czuła. Na szczęście moda na dzinsy jej sprzyjała. Wszystkie nastolatki nosiły opięte spodnie i bluzeczki. Koleżanki w klasie zazdrościły jej długich nóg i wąskich bioder. Gorzej z biustem, nie miała się czym chwalić. Nie to, że był malutki, po prostu wcale go nie było. Chłopcy nie zwracali na nią uwagi. Jarek niestety też nie, a to bardzo bolało. Za to z przyjemnością patrzyła w lustro. Natura dała jej długie, gęste rzęsy i ładne brwi. Czarna oprawa podkreślała duże oczy, brązowe i błyszczące jak kasztany we wrześniu. Do smagłej twarzy pasowały równe białe zęby. Te atrybuty odziedziczyła w genach po krewnych od strony taty.

Wiele razy słyszała o tym na rodzinnych spotkaniach, ponieważ jej sporo młodszy brat był zupełnie inny. Wrodził się w rodzinę mamy. Jasnowłosy, niebieskooki, taki cherubinek z dołkiem w brodzie. Był słodki, wszyscy go rozpieszczali, bo często chorował. To przez niego mama zrezygnowała z pracy, a tatuś oprócz pracy w hucie dorabiał, pomagając w remontach mieszkań. Malował, tapetował, kładł kafelki. Stale chodził zmęczony, śpiący, nigdy nie było go w domu...

Zasnęła.

Obudził ją trzask. W pokoju było ciemno.

- Spokojnie, korek wybiło – usłyszała głos tatusia.
- To chyba ten dzbanek elektryczny, rano tak dziwnie brzęczał – tłumaczyła mama.
- Wyłącz go z kontaktu. O, mam latarkę, zaraz będzie jasno.

Kolejny trzask i światło z przedpokoju rozświetliło szybę w drzwiach jej pokoju. Słyszała, jak tatuś zamyka skrzypiącą skrzynkę z automatycznymi korkami.

– Trzeba kupić nowy dzbanek, ten już się wysłużył. Widziałam niedrogie na targu – mówiła mama.

– Poczekaj jeszcze, jutro sprawdzę, może da się ten naprawić.

– Nie będziesz miał kiedy. Był tu Zenek, macie pilną robotę od jutra. Remont kuchni i łazienki. Kafelki, podwieszane sufity, nowe baterie, wanna i umywalka. Facet podobno dobrze zapłaci, ale zależy mu na czasie.

– O... – Ojciec westchnął ciężko. – Ale w sumie to dobrze, każdy grosz się przyda.

– Może to za dużo, Piotrze? Tylko praca i praca, stale jesteś przemęczony.

– Teresa, rozmawialiśmy już o tym. Nie mamy wyjścia, musimy i nie ma o czym mówić.

Zgasało światło, a głosy rodziców przeniosły się do kuchni. Już nie słyszała słów. Biedny tatuś, znowu całe dni będzie pracował. Zbierają pieniądze na operację Stasia. Jej mały braciszek urodził się z jakąś paskudną wadą serca, potrzebny był zabieg. Robią takie, ale niestety w Austrii, nie w Polsce, a to kosztuje. To dlatego tak skromnie żyli, bo wszystkie pieniądze lądowały na specjalnym koncie. Nawet w jej szkole była zbiórka na tę operację, i w kościele po mszy. Mnóstwo ludzi im pomogło, ale to ciągle było za mało. Nie mogła się pogodzić z myślą, że życie jej brata zależało tylko od pieniędzy. Było tylu bogaczy, którzy jeździli wypasionymi samochodami i mieszkali w luksusowych domach otoczonych wysokim murem, z bramami strzeżonymi przez ochroniarzy.

Chłopcy z podwórka już wszystko spenetrowali. Opowiadali cuda o tarasach, basenach, grillowaniu... Widziała na zdjęciach zrobionych komórką. Ślicznie, luksusowo jak na amerykańskich filmach. Andrzej pokazywał im dziecięcy drewniany domek w ogrodzie, wózki dla lalek, huśtawki, drabinki do wspinania, zjeżdżalnie. Tamte dzieci cudownie się bawiły, a jej braciszek mógł w każdej chwili umrzeć, bo nie mieli dość pieniędzy.

Na szczęście czterolatek nie był świadomy swojej sytuacji i wesoło spędzał czas, a jego ciekawość trudno było zaspokoić. Zamęczał wszystkich pytaniami: dlaczego? Jak? Widziałas? Dlaczego nie patrzysz? Opowiedz jeszcze raz, wytłumacz mi... Chcę zobaczyć, chcę spróbować. Był niecierpliwy, odpowiedzi oczekiwał natychmiast. Bardzo rzadko płakał, raczej robił się błądy i zasypiał. Przedłużająca się cisza stawiała wszystkich na nogi, przerywali swoje zajęcia i sprawdzali, co robi. Jego łóżeczko nadal stało w pokoju rodziców, bo mama musiała słyszeć, że oddycha.

Wczoraj, gdy wróciła ze szkoły, zaaferowany obwieścił jej nowinę:

– Wiesz, ja już lubię miód!

– Fajnie, a jak to się stało?

– Noo, po prostu spróbowałem.

– Aha, widzisz, jakie to proste?

– Ale ja spróbowałem pierwszy raz i to było trudne – upierał się.

W sumie ten mały bąk miał rację – wszystko, co się robi pierwszy raz, jest trudne. Mały filozof, tak go czule nazywała mama. Często zaskakiwał dorosłych, zauważał szczegóły, które wszystkim umykały.

Zielony krokodyl

— **A**ldonza! Szef – dokończyła szeptem Nina, podając jej słuchawkę.

Aldona, zanim odebrała, ciężko westchnęła. Myśli w szaleńczym tempie analizowały sytuację w hotelu. Nie znalazła niczego nagannego, ale wszystkie z doświadczenia wiedziały, że niespodziewane telefony od zwierzchnika nie wróżyły nic dobrego. To dlatego Nina miała taką współczującą minę.

– O trzynastej. Oczywiście. Punktualnie – odpowiadała. Pan Rosario lubił krótkie, konkretne odpowiedzi. Zanim skończy dzisiaj pracę, miała się zgłosić w jego biurze. Oczywiście nie powiedział, w jakiej sprawie. Nigdy tego nie robił. Wiedział, że funduje pracownikowi stresujące chwile. Jego zdaniem „to cenny czas na kreatywne domysły i analizę swojego postępowania”.

– Czy ten kran w dwieście dwanaście został zrobiony? – upewniła się.

– No jasne, wczoraj, zaraz jak Japończycy oddali klucze – potwierdziła Nina.

– Świetnie. W takim razie nie mam pojęcia, po co mnie szef wzywa. A może ja o czymś nie wiem?

– No coś ty, nic się nie wydarzyło. – Nina wzruszyła ramionami.

* * *

„Mam to, mam to!”. Szła, starając się nie podskakiwać z radości; udało jej się też zapanować nad mimiką, ale zdradzały ją rozświetlone oczy. Wreszcie po siedmiu latach starań, wspinania się *step by step*, osiągnęła stanowisko, o którym samo myślenie wydawało się szaleństwem.

Właśnie została menedżerem hotelu Barcelo Santiago. Zdarzył się cud, inaczej trudno to wytłumaczyć. Nie była niczyją krewną ani nawet Hiszpanką. Nie знаła nikogo wpływowego. Wiedziała, że z samą pracą sobie poradzi: znała biegle pięć języków, miała spore doświadczenie, była obowiązkową perfekcjonistką. Istniał tylko jeden problem – nie ona jedna. Konkurencja była ogromna, sami ambitni, zdolni, pracowici.

Odkąd wylądowała na tej wyspie, praca musiała być zawsze na pierwszym miejscu, bez taryfy ulgowej. Nikogo nie obchodziły jej problemy ani to, że sama wychowywała swoje dziecko, że nie miała wsparcia w rodzinie, co było podstawą życia na Teneryfie. Jakże była teraz dumna z siebie;

osiągnęła cel, o którym marzyła, do którego dążyła przez ostatnie pięć lat.

Zatrzymała się na zakręcie – zawsze tak robiła, szczególnie gdy miała problemy – widok z tego miejsca dodawał jej energii.

Pracowała w hotelu usytuowanym w przepięknej scenerii, tuż przy słynnych klifach Los Gigantes, nad brzegiem oceanu, z dala od zgiełku miasta.

Duży, luksusowy hotel, przeznaczony dla najbardziej wymagających klientów, miał niesamowitą architekturę. Z tej odległości wyglądał jak statek dalekomorski, który właśnie przepływa obok ciemnej ściany wysokich na sześćset metrów klifów. Biały gigant na tle błękitu oceanu, bezchmurnego nieba i stalowej ściany skał. Zakochała się w tym zakątku od pierwszego wejrzenia, wtedy, siedem lat temu. To było zaskakujące, jak silnie odczuła, że oto jest, znalazła ten swój „kawałek podłogi”.

Dlaczego tu? Urodziła się przecież daleko stąd, w Polsce, na zadymionym, szarym Śląsku, w miejscu krańcowo różnym. A może właśnie dlatego?

Zaczynała w tym hotelu od samego dołu – opróżniała kosze na śmieci, trzy razy dziennie. Uczulano ją, by była „niewidoczna” dla gości. Ubrana na czarno, miała szybko i cicho zabierać śmieci i instalować czyste worki. Pół roku później awansowała – sprzątała hole i korytarze hotelowe, jeszcze później pokoje gości, a od dzisiaj...

Głęboko wciągnęła powietrze, miała ochotę wykrzyczeć swoją radość w bezkres oceanu, ale się powstrzymała – obok niej spacerowali turyści, wtuleni w siebie, rozmarzeni. Nie wolno jej było zakłócać ich spokoju i nastroju, płacili za to ciężką forszę.

„Koniec tego podziwiania siebie samej, czas wrócić do obowiązków” – nakazała sobie. Kilka kilometrów dalej czekał na nią jej czteroletni synek. Musi go odebrać z przedszkola, ugotować kolację, zrobić zaplanowane pranie.

Dzisiaj sama nacieszy się swoim sukcesem, da sobie czas, by te najsilniejsze emocje opadły. Jutro podzieli się z najbliższymi: Pepitą, sąsiadką i przyjaciółką, Eleną, którą uwielbiał mały Artur, i Doritą – właścicielką sklepiku na jej ulicy, która często dawała jej jedzenie na kredyt, zwłaszcza na początku jej pobytu na wyspie. A później już wiadomość o awansie rozniesie się bez jej udziału po całej okolicy.

* * *

W przedszkolu powiedziano jej, że dzieci były w pobliskim parku i właśnie wracają. Nie mogła spokojnie poczekać, roznosił ją nadmiar energii, postanowiła więc wyjść im naprzeciw.

Wychodząc zza zakrętu, zatrzymała się. Zobaczyła, jak zielony krokodyl, chwając się i zataczając, wychodził z parku na chodnik. Pani Marita ciągnęła głowę pluszowego zwierzaka, a za nią szły dzieci, trzymając się uchwytów w postaci nóg stworka. Pochód zamykała pani Benita, która niosła krokodyli ogon. Artur był ostatnim dzieckiem, on jeden nie trzymał się przypisanej mu łapki. Był

przywiązany do krokodyła sznurem, patrzył pod nogi zupełnie niezainteresowany tym, co się działo wokoło. Napięty sznur wyraźnie go ciągnął, spowalniając marsz wszystkich dzieci. Od czasu do czasu pani Benita opierała dłoń na jego plecach i popychała go do przodu.

Serce jej się ścisnęło na widok synka. Mały grubasek, powolny, zawsze nieobecny, żyjący w swoim świecie. Inne dzieci rozmawiały, kłóciły się między sobą. Sergio pierwszy ją zauważył, odwrócił się do tyłu i krzyknął z całych sił:

– Artur, twoja mama przyszła!

Chłopczyk podniósł głowę, uśmiechnął się, ale ani przez moment nie przyspieszył kroku. Dopiero teraz zauważyła, jak bardzo różnił się swoim zachowaniem od rówieśników. Właściwie nigdy nie widziała go podskakującego, krzyczącego, biegającego.

Od urodzenia był dzieckiem bardzo spokojnym, powolnym, niekłopotliwym. Bez problemu mogła go zostawiać w domu Pepity, która zajmowała się jej synem do południa, a w zamian ona gwarantowała jej opiekę nad chorą teściową w godzinach wieczornych. Wszyscy byli z tego układu zadowoleni. Pepita mogła wyjść z mężem na kolację, do znajomych, do kina, a ona spokojnie pracować i zarabiać na utrzymanie.

Arturk kochał spanie, właściwie głównie spał i jadł. Nie chorował, nie płakał, wszyscy jej zazdrościli takiego aniołka. Mogła kończyć studia i uczyć się języków. Niedawno obroniła dyplom na kierunku zarządzanie personelem. Wykorzystywała każdą możliwość podniesienia swoich kwalifikacji. Fakt, ciężko pracowała, nigdzie nie wychodziła, jej życie ograniczyło się do pracy, domu i nauki, ale wiedziała, że tak trzeba – taki etap w życiu. Obiecywała sobie, że później to nadrobi, gdy osiągnie swój cel. I właśnie dzisiaj go osiągnęła.

Hotel Barcelo, czterogwiazdkowy, komfortowy, liczył czterysta pokoi. Od przyszłego miesiąca będzie osobiście odpowiedzialna przed zarządem za osiemdziesiąt cztery z nich, dwa piętra. Tysiące problemów, nieustanna konserwacja i regularne odnawianie, dbałość o estetykę, a przede wszystkim czystość. Usłyszała dzisiaj, że to nie tyle ciężka, odpowiedzialna praca, ile służba. Od tego, jak sobie poradzi, będzie zależeć zadowolenie gości, a to ma bezpośrednie przełożenie na zyski. Jakość jej pracy i podległego jej personelu będzie miała główny wpływ na stan obłożenia pokoi hotelowych, a życzeniem zarządu było stuprocentowe! Musi być dyspozycyjna całą dobę. Oczywiście na takim stanowisku należą jej się odpowiednie gratyfikacje. Może się ubiegać o dofinansowanie do mieszkania, samochód służbowy, bardzo znacznie wzrośnie jej pensja. Czysty zawrót głowy – szykują się wielkie zmiany w jej życiu.

Na razie zapytała panią Benitę o ten sznur.

– Niestety jest niezbędny, by Artur w ogóle ruszył się z miejsca. Mając dziesięcioro maluchów do upilnowania, nie możemy każdego ciągnąć za rękę – tłumaczyła się. – Przecież zna pani syna, nie lubi spacerów ani żadnych zabaw ruchowych. Robimy wszystko, co można, by go trochę rozruszać.

– No tak. Jest odrobinę leniwy, ale taki sznur?

– To wyjątkowo dzisiaj, już zaplanowałyśmy kupno specjalnych szelek, bo w programie mamy więcej spacerów do parku. Uczymy teraz dzieci nazw roślin, kwiatów i drzew. A najlepiej nauczą się na żywych przykładach.

– Rozumiem, porozmawiam z synem, może te szelki nie będą potrzebne.

– Bardzo prosimy, to żadna przyjemność tak ciągnąć go i popychać do przodu. On nie może dezorganizować zajęć całej grupy.

– No tak – potwierdziła zniecierpliwiona – ale to jeszcze maluchy, są w przedszkolu, a nie w wojsku.

– Proszę nam wierzyć, staramy się indywidualnie podchodzić do każdego dziecka, ale one też muszą, chociaż w minimalnym stopniu, się dostosować. Tego wspólnego działania w grupie mamy ich właśnie nauczyć. Artur jest bardzo inteligentnym chłopcem, uwielbia gry i łamigłówki, zna już wszystkie litery i cyfry, chętnie współpracuje, ale pod jednym warunkiem: że nie jest to zabawa ruchowa.

– No dobrze, dobrze. – Poddała się. Trudno było nie przyznać Benicie racji. Znała swojego syna.

Gdy wychodzili z przedszkola, zmieniła plany na resztę dnia. Niech będzie wyjątkowy nie tylko dla niej. zaproponowała synowi kolację i lody w Daute, restauracji, którą tłumnie odwiedzali mieszkańcy Garachico. Bardzo rzadko tam bywali, tylko w uroczystych momentach, a nie było ich zbyt wiele.

Artur spojrzał na nią zdziwiony.

– Dzisiaj nie mam urodzin, ani Pepita, ani Elena. Ty też nie, mamusiu – stwierdził.

– Masz rację, ale wydarzyło się coś bardzo ważnego. Chciałam ci o tym opowiedzieć i to uczcić, bo to dobra wiadomość dla nas. Wrócimy tylko na chwilę do domu, zostawimy torby i się przebierzemy, zgadzasz się?

– No, ale ja jestem czysty – próbował się targować.

– Wiesz, że nie jesteś. Na twoich spodenkach widzę wiele plam. To przecież tylko sekunda, włożysz czystą koszulkę i spodenki.

– Ale myć się nie muszę?

– Musisz. No dobrze, tylko rączki i buzię – zgodziła się zrezygnowana. – Straszny z ciebie leniusek.

– Przecież wiesz, że i tak się pobrudzę – przekonywał ją.

– To znowu się przebierzesz. Nie marudź, musisz porządnie wyglądać, szczególnie teraz.

– Dlaczego teraz?

– To tajemnica, właśnie chcę ci wszystko opowiedzieć i uczcić to w Daute, a tam brudasów nie wpuszczają.

– No dobrze – zgodził się.

Początek końca

— Oddychaj! Oddychaj! Oddychaj, malutki, zrób to dla mamusi.

Usłyszała najpierw krzyki, później błagania, na koniec przerażający skowyt. Wpadła do łazienki. Mama tuliła Stasia z całych sił. Nie reagował. To był koniec jego życia na ziemi.

W wannie pływały kolorowe gumowe kaczuszeki, biała pianka otulała je jak bita śmietana. Stasiu bardzo lubił się tak kąpać. Wszystko było tak jak trzeba, tylko Stasia nie było.

To, co nastąpiło później, Ewa wspominała jak koszmar, z którego nie można się było obudzić. Ciśsza w domu, mama siedząca w kuchni twarzą do okna. Głucha na wszystko. Sprawdziła – z tego miejsca, gdzie siedziała, mogła widzieć tylko niebo.

Nie wiedziała, czy mama jej słucha. O nic nie pytała, więc sama opowiadała jej o tym, co się wydarzyło w szkole, kogo spotkała na ulicy, kto się z kim pokłócił na podwórku. Mówiła jak do ściany.

Babcia przychodziła gotować i sprzątać. Ojciec robił zakupy. Mama... była. Tak naprawdę było tylko jej ciało. Czasami łzy płynęły jej po policzkach, czasem pojawiał się uśmiech skierowany w stronę chmur, najczęściej jednak twarz mamy nie wyrażała niczego.

– Tereska, opamiętaj się. Jak długo to ma jeszcze trwać? Miesiąc minął. Ogarnij się trochę – prosił tata.

Mama milczała. Ojciec zaczął tracić cierpliwość.

– Myślisz, że tylko ty cierpisz? A ja? To był też mój syn. Trzeba żyć dalej, Ewunia cię potrzebuje, twoja matka się coraz gorzej czuje.

Był lekarz, przepisał jakieś pigułki, zrobił zastrzyk; przyszedł ksiądz, długo do niej mówił, pomógł się i poszedł. Odwiedziły ich wszystkie ciotki, kuzynki i sąsiadki. Po dwóch miesiącach już nikt nie wpadał do nich z wizytą, nawet babcia, bo się rozchorowała i sama potrzebowała opieki.

Ewa długo nie mogła się pogodzić z tym, że od śmierci Stasia mama ani razu jej nie przytuliła, jakby umarła razem z bratem. Dopiero po kilku latach uświadomiła sobie, że przecież ona też nie przytulała się do mamy. Coś ją trzymało na dystans, jakby to już nie była jej mamusia.

Dlaczego serce mamy umarło całkowicie? Część należąca do niej również, a przecież ona żyła i nadal była jej córeczką.

Dokładnie pamiętała rozmowę przed narodzeniem Stasia. Mama tłumaczyła jej, że każda matka kocha wszystkie swoje dzieci jednakowo. Kolejne dziecko nie zabiera uczucia poprzedniego, tylko

przynosi na świat swoją pulę miłości. Pamiętała, bo po tej rozmowie przez dłuższy czas obserwowała zachowania pani Haberlingowej z drugiego pietra, która miała siedmioro dzieci. Powinna być chodzącą miłością, a nie była. Wprost przeciwnie – wszystkie dzieci na podwórku się jej bały. Jak walała ścierką po głowach, to nie patrzyła, czyje to dziecko, ale jak rozdawała pajdy chleba z pasztem, to też dostawali wszyscy.

Przeprowadzka

— Nie chcę się nigdzie przeprowadzać! – krzyczał Artur. Po raz pierwszy w życiu chodził szybko wokół stołu i z niespotykaną u niego furią strącał z blatu kredki, zeszyty i książeczki.

– Uspokój się – prosiła zaskoczona reakcją syna.

– O nie, zapomniałaś ustalić to ze mną i nie będzie tak, jak ty chcesz. Ja też mam prawo głosu. Jesteśmy rodziną, zawsze tak mówiłaś.

– Jak ty się zachowujesz? Tak nie można rozmawiać z mamusią.

– Tak nie można traktować swojego syna. Ukochanego syna, jedyne, prawda?

Aldona z wrażenia usiadła na krześle. Nie wiedziała, czy się denerwować, czy śmiać. Jej pięcioletni syn dyktował swoje warunki. Do tej pory nigdy nie protestował. Było mu wszystko jedno, co je, jak jest ubrany, z kim i jak spędza czas. Znała jego upodobania i tak mu wszystko organizowała, żeby był zadowolony. Świetnie im to wychodziło, do dzisiaj.

– Kochanie, proszę, usiądź i wysłuchaj mnie – zaczęła.

Poczekala, aż zrobi jeszcze jedno okrążenie wokół stołu i w końcu usiadzie. Jego naburmuszona, zbuntowana mina nie wróżyła szybkiego porozumienia.

– Wiesz, że dostałam dobrą pracę, ale daleko stąd. Prawie od roku tracę bardzo dużo czasu na dojazdy, a ty częściej jesteś z Pepitą czy Eleną niż ze mną. Musiało tak być, ponieważ mieszkania w Santiago są bardzo drogie. Ale teraz wszystko się zmieniło. Zaoszczędziłam sporo pieniędzy i kupiłam dla nas niewielkie mieszkanie. Myślę, że ci się spodoba. Będziesz miał osobny pokój z własną łazienką. Nasze mieszkanko ma dwa poziomy. Twój pokój jest na górze, a mój pod twoim. Jest jeszcze kuchnia i pokój dzienny, i duży balkon – wyliczała. – Wszystko jest o niebo lepsze niż tutaj.

– Mnie się tu podoba, tu jest moje przedszkole, jest Pepita...

– Wiem, wiem i wcale ci się nie dziwię. Tutaj się urodziłeś, znasz wszystkich i ciebie wszyscy znają. Ale daj nam szansę. Jestem pewna, że jak pomieszkas trochę w Puerto de Santiago, to pokochasz to miasto tak jak ja.

– Nie chcę. Nie chcę i już! – protestował.

– Artur, przemyśl to sobie, obiecuję ci, że będziesz zadowolony. Wiesz przecież, że po wakacjach i tak musisz iść do szkoły. W Puerto szkoła jest większa, nowocześniejsza i niedaleko od naszego

nowego domu. Jesteś dużym chłopcem, za miesiąc nie będziesz już przedszkolakiem.

– Ale tutaj Antonio pozwala mi grać na swoim komputerze – pożałił się.

– A kto to jest Antonio?

– Mój nowy kolega, pracuje w pizzerii u Ignacia.

– Jak to pracuje? To ile on ma lat?

– Nie wiem – wzruszył ramionami – ale jest dorosły i ma komputer i fajne gry. Czasami pozwala mi grać.

– Arturze, dlaczego mi o nim nic nie powiedziałaś? Przecież tak cię prosiłam, byś uważał na obcych. Nie wszyscy są dobrzy, mogą cię bardzo skrzywdzić.

– Antonio jest dobry i chyba mnie lubi, skoro pozwala mi grać na swoim komputerze.

– Muszę go poznać, porozmawiać z nim.

– Czemu nie – znów wzruszył ramionami – on też chciałby cię poznać.

– Naprawdę? To pójdziemy do niego jutro, dobrze? A teraz do łazienki i spać, jest późno. A przed snem pomyśl o naszej przeprowadzce. Obiecuję, że szybko się przyzwyczaisz. Tutaj nie możemy zostać, bo ja to mieszkanie w Santiago już kupiłam, rozumiesz?

Całując syna na dobranoc, miała gotowy plan. Wiedziała już, czym go przekona do przeprowadzki – kupi mu komputer.

Rozdział VI

Gaz

Ewa znalazła się w ciemnym pomieszczeniu. Nie bała się, ale pojawiła się jakaś niepewność. Więcej w tym było jednak ciekawości niż strachu. Nie wiedziała, po co się tu zjawiała i czego mogła oczekiwać. Zrobiła krok do przodu, za chwilę jeszcze jeden, ciemność wokół niej się pogłębiła. I nagle coś błysnęło błękitnie i zgasło, za moment pojawiło się z drugiej strony małego okręgu, a potem to już była zabawa. Niebieskie wężyki wyskakiwały zniemacka i gasły, za każdym razem były coraz dłuższe, szersze, wiły się w rytm jakiejś melodii, której nie słyszała. Zaczęły się splatać, po dwa, trzy, w końcu wszystkie wystrzeliły w górę, dając jeden drgający, szeroki płomień. Roześmiała się radośnie, z ulgą. Rozpoznała potwora. To przecież kuchenka gazowa, zwykły palnik do podgrzewania zupy. Śmiało ruszyła w jego stronę i wtedy się obudziła.

Przez szybę w drzwiach pokoju widziała światło, ktoś był w kuchni. Wstała, a gdy otworzyła drzwi, poczuła smród. Mama siedziała na krześle, jej ramiona i głowa leżały na stole. Usłyszała syk uchodzącego gazu. Doskoczyła do kuchenki, zakręciła kurki i otworzyła szeroko okno, zrzucając wszystkie drobiazgi, które stały na parapecie. Podeszła do mamy, próbowała podnieść jej głowę, ale ta była bardzo ciężka, bezwładna.

– Mamo, mamo, obudź się! – krzyczała, potrząsając jej głową. Usłyszała jakiś bełkot, w końcu powieki mamy drgnęły i z trudem się uniosły.

– Mamo, obudź się, proszę – błagała. – Nie zamykaj oczu.

Mama zamknęła powieki i chciała ułożyć głowę na stole.

– Nie! Nie pozwolę ci teraz spać! Musimy wyjść z kuchni, proszę cię, mamo! – Potrząsała nią energicznie. Próbowała objąć ją w pasie i podnieść z krzesła. Nie poradziła sobie.

Mama była dość pulchna i ciężka. Po kolejnych gwałtownych szarpnięciach bezwładne ciało przechyliło się i zsunęło na podłogę, pociągając ją za sobą i przygniatając jej ramię.

Leżały na zimnych kafelkach właściwie przytulone do siebie. Dawno nie były tak blisko. Poczula znajomy zapach, wtuliła się w miękkie plecy mamy, przymknęła oczy. Słyszała jej chrapliwy oddech. Nie miała siły się podnieść, było jej dobrze.

Przypomniała sobie szkolenie przeciwpożarowe w szkole. Strażak tłumaczył im, że czyste powietrze jest cięższe, więc opada i w momencie zagrożenia najlepiej jest położyć się na podłodze. Dobrze, że tak sobie leżą. Ręka zaczęła jej drętwieć, mogła spróbować jakoś ją wydostać, ale wtedy

straciłaby tę bliskość. Zbyt cenną bliskość. Wtuliła się z całej siły w mamę, zamknęła powieki i próbowała sobie wyobrazić, że leżą w łóżku i jest im ciepło. Za chwilę mama wstanie i pójdzie do kuchni przygotować śniadanie...

Nagle poczuła silny powiew zimnego powietrza, usłyszała trzask zamykanych drzwi i kroki. Ojciec wrócił z pracy. Odetchnęła z ulgą, teraz będzie już dobrze.

– Ale przeciąg. Co się tutaj dzieje?

– Tato, pomóż mi. Moja ręka, nie czuję jej – poprosiła.

– Co, znowu się upiła?

– Nie, tato, trzeba ją ratować, szybko.

Ojciec podniósł mamę, stęknął i z trudem zaniósł ją do pokoju.

Czuła, że krew zaczęła boleśnie pulsować w żyłach, ramię jeszcze przez moment było bezwładne. Powoli wstała i poszła do pokoju rodziców.

Ojciec coraz energiczniej klepał dłonią twarz mamy, powtarzając w kółko:

– Otwórz oczy, nie śpij, otwórz oczy, do cholery, obudź się!

– Tato, mama odkręciła gaz.

– Gaz?! Trzeba wezwać pogotowie. – Zerwał się i podszedł do telefonu.

Przyklękła obok wersalki i delikatnie gładziła mamę po ręce. Zanim przyjechało pogotowie ratunkowe, mama otworzyła oczy i długo patrzyła na nią, a gdy ponownie je zamknęła, spod powiek wypłynęły łzy.

* * *

Przez trzy miesiące mama była w szpitalu, później wróciła i zajęła się domem. Wyszorowała całe mieszkanie, metodycznie, szafka za szafką, każda półka, szuflada, okna, drzwi, podłogi, żyrandole. Babcia była szczęśliwa. Uznała, że takie generalne porządki to dobry pomysł na nowy rozdział w życiu.

Znikły wszystkie rzeczy Stasia: łóżeczko, zabawki, ubranka. A któregoś dnia znikła również mama. Tak po prostu. Nikt nie widział, kiedy wyszła, dokąd poszła. W domu zostały wszystkie jej rzeczy, starannie wyprasowane i powieszzone w szafie. Torebka z dokumentami, pieniędzmi, kluczami. Nikt się nie włamał, nie okradł, nie napadł.

Gdy wróciła ze szkoły, zastała puste krzesło w kuchni. Szukali jej wszyscy: rodzina, znajomi, sąsiedzi i policja. Ślad po niej zaginął, jakby nigdy nie istniała. Nie uległa wypadkowi, nie została zamordowana, bo nie znaleziono ciała. Ile gdybań, przypuszczeń i fałszywych doniesień, że gdzieś ktoś ją widział...

– Jak kamień w wodę – opowiadała babcia sąsiadkom, machając za każdym razem energicznie dłonią w dół. – Wygląda to tak, jakby po prostu sobie wstała z krzesła i poszła. Tak się przecież nie

robi. Nie wolno tak bez słowa wyjaśnienia – żaliła się. – Zostawiła córkę, męża, no i starą matkę... Nie żyła przecież na bezludnej wyspie, kochaliśmy ją, dbaliśmy o nią. Fakt, przeżyła tragedię, straciła dziecko, ale przecież miała dla kogo żyć... – Babcine wywody nieodmiennie kończył płacz, nie-pohamowany, bezsilny.

Babcia coraz częściej zachowywała się jak małe, skrzywdzone dziecko. Słabła, miała coraz większe problemy z chodzeniem, straciła apetyt, sporo schudła, zmaląła, jakby się skurczyła.

Ewa miała teraz dużo swobody, mogła biegać, kiedy chciała i gdzie chciała, byle na *Wiadomości* była w domu. Nikt się specjalnie nie interesował tym, co robiła, z kim i gdzie. Ojciec tylko pytał, czy w szkole wszystko okej i czy odrobiła lekcje.

Któregoś wieczoru natknęła się w telewizji na serial *Noce i dnie*. Scena, w której Basia po śmierci Piotrusia stale uciekała na cmentarz, leżała na grobie syna, nawet w mróz i śnieg, nasunęła jej myśl, że mama też pewnie chodzi do Stasia, tak bardzo go przecież kochała.

Przez jakiś czas codziennie po lekcjach odwiedzała grób braciszka. Rzeczywiście ktoś bardzo o niego dbał. Marmurowa płyta lśniła, w wazonie zawsze były świeże kwiaty, a któregoś dnia ze zdziwieniem odkryła, że leżą tam także żelki owocowe, które Stasiu uwielbiał. Była prawie pewna, że to mama. Postanowiła, że nie pójdzie do szkoły, zaczai się w pobliżu, przyłapie mamę na gorącym uczynku i zmusi ją, by jej wytłumaczyła, dlaczego przestała ją kochać.

Niestety, choć spędziła na cmentarzu wiele godzin, nie spotkała mamy. Za to ze zdziwieniem obserwowowała, jak wielu ludzi odwiedzało swoich bliskich, chociaż nie było to żadne święto zmarłych. Niektórzy przychodzili codziennie, zapalali znicze, modlili się i rozmawiali z nieżyjącymi krewnymi.

Grób Stasia najczęściej odwiedzała opiekunka babci – tego się spodziewała, wiedziała, że babcia pamięta o wnuku i przysyła Czesię, bo sama nie może.

Czasami zapalała lampkę sąsiadka z dołu, gdy wracała od grobu swojego dawno zmarłego męża. Zadziwiające, jak długo ludzie pamiętają o bliskich. Ewa nie poznała sąsiada, bo zginął w kopalni, zanim ona się urodziła, a jego żona odwiedzała go kilka razy w tygodniu przez te wszystkie lata.

Odkryła też, że to ojciec przychodził do Stasia. Dokładnie wycierał marmurową płytę i kładł te żelki. Coś mu szeptem opowiadał. A może się modlił? Tylko że od jakiegoś czasu przestał chodzić do kościoła.

Poczuła się trochę zazdrosna. Stasiu zawsze był ukochanym dzieckiem rodziców.

Mama nie pojawiła się ani razu, a to przecież dla niej grób Stasia powinien być najważniejszym miejscem pielgrzymek. Zerwała również tę więź? Nie, to wszystko razem nie było do niej podobne. O Stasiu na pewno nigdy by nie zapomniała. Musiało stać się coś złego.

Sąsiadki coraz rzadziej pytały, czy wiadomo coś o mamie. A później rozpoczęła naukę w liceum, w centrum miasta. Dojeżdżała codziennie tramwajem. W tej szkole nikt nie pytał jej o mamę ani o Stasia, nie byli wtajemniczeni. Dzień mijał za dniem. Wszystko było nowe: nauczyciele, koledzy

i koleżanki, dojeżdżający z różnych dzielnic miasta, wymagania, o wiele więcej nauki.

Czasami nie chciało jej się wracać do domu. Puste mieszkanie stawało się pułapką. Nie pomagało natychmiastowe włączenie telewizora. Głosy z ekranu drażniły. To byli obcy. Ojciec przychodził coraz później, zdarzało się, że nie wracał na noc. Nikt nie gotował, nie sprzątał. Raził ją kubek po mleku zostawiony rano na stole, bo stał i dawał świadectwo, że przez te wszystkie godziny jej nieobecności nikt go nie dotknął.

Nauczyła się sama dbać o siebie. Gdy jej się chciało, wracając ze szkoły, robiła zakupy. Jakiś chleb, kielbasa czy kawałek sera. Przyrządzała zupę, najczęściej rosół, bo tani i łatwy do zrobienia. Kupowała porcje rosółowe z kurczaków, obierała marchewkę, pietruszkę, seler i gotowała to w garnku na małym ogniu. Do drugiego wrzucała to, co było w domu: makaron, ziemniaki lub ryż. Czasami czekała ją niespodzianka. Ktoś, tata lub babcia, bo oni mieli klucze do mieszkania, zostawiał jej w lodówce gotowe potrawy. W plastikowych pojemnikach po lodach czy margarynie znajdowała pierogi, gołąbki, ziemniaki z kotлетem schabowym. Takie dni uznawała za szczęśliwe, nie tylko dlatego, że było coś dobrego do zjedzenia – cieszyła ją świadomość, że ktoś o niej pomyślał, zadbał o jej potrzeby. Niestety coraz częściej w kubku z Kubusiem Puchatkiem, ulubionym kubku Stasia, znajdowała pieniądze, dwadzieścia, trzydzieści złotych.

Dzisiaj nic jej się nie chciało, wracała zrezygnowana, miała za sobą bardzo nieciekawy dzień. Nie interesowały jej stopniowanie angielskich przymiotników ani losy Balladyny. Była obolała i senna. W dodatku wychowawczyni zażądała, by ktoś z dorosłych przyszedł koniecznie na zebranie szkolne.

Była wymieniona w grupie uczniów, z których rodzicami nauczycielka szczególnie chciała się spotkać. Ciekawe dlaczego? Nikomu nie podpadła, uczyła się dobrze, z żadnego przedmiotu nie była zagrożona. Bardzo się starała, by w niczym nie zwracać na siebie uwagi; nie chciała kłopotów w życiu szkolnym, za dużo ich miała w prywatnym.

Wiele razy słyszała w telewizji, w różnych kontekstach, że sztuka życia polega na umiejętnym odzieleniu sfery zawodowej od osobistej. Uznała tę zasadę za swoją, wprowadziła ją w życie i musiała przyznać, że wspaniale się sprawdzała.

Żadna z nowych koleżanek ani nikt z nauczycieli nie wiedzieli o jej sytuacji w domu. Nie miała z tym żadnego problemu, od dawna zauważyła, że większość ludzi zdecydowanie wolała mówić niż słuchać, najważniejsze dla nich było to, co sami myśleli, przeżywali, robili. Wystarczyło zapytać: no i co twoja mama na to powiedziała? Pójdiesz na spotkanie z...? Podobał ci się ten film? A później słuchać, słuchać i potakiwać. I było się fajną koleżanką, a nawet wporzo przyjaciółką.

Dzisiaj musi się skontaktować z ojcem – tak go teraz nazywała, odkąd nieoficjalnie wyprowadził się do tej kobiety i zostawił ją samą. Słowo „tatuś” nie chciało jej przejść przez gardło; zresztą zauważyła, że ojciec od razu zaakceptował tę formę, była dla niego wygodna, nie chciał w niej widzieć małej dziewczynki. Czasami jej tego brakowało...

Nie lubiła tylko być sama w nocy, spała przy zapalanej lampce nocnej, którą kiedyś przeniosła

z pokoju rodziców. W tym starym domu zawsze coś trzeszczało, szeleściło, wiatr wciskał się przez nieszczęsne okna. Im mocniej wiało na zewnątrz, tym więcej dźwięków pobudzało jej wyobraźnię. Dręczyły ją w snach sceny z filmów, które oglądała bez żadnej cenzury i ograniczeń. A już najtrudniej było, gdy w akcję wplątana była postać mamy. Budziła się przerażona, spocona, zdyszana. Czasami płakała, tuląc się do pluszowego misia. Nikomu by się nie przyznała, że śpi z pluszakiem, który naprawdę dawał jej poczucie bezpieczeństwa.

Ciągle siebie karciała: masz prawie siedemnaście lat, jesteś dużą dziewczynką. Masz metr siedemdziesiąt dwa wzrostu, gdybyś się urodziła sto lat temu, pracowałabyś od rana do wieczora w hucie czy fabryce, może byłabyś już mężatką. O szkole mogłabyś tylko pomarzyć. Harówka od świtu do zmroku za miskę zupy i kromkę chleba, przez cały tydzień oprócz niedziel.

Po wycieczce do Muzeum Śląskiego doceniła to, że urodziła się w tak dobrych czasach. W domu łazienka, woda, ciepło i sucho, własny kąpielownia, szkoła, książki, telewizja. W porównaniu ze swoją rówieśnicą urodzoną sto lat wcześniej żyła luksusowo. Nie mogła narzekać na nieobecność rodziców, brak obiadu czy samotne noce. Głupio byłoby się skarżyć. Zresztą komu, na kogo?

Największy problem miała z mamą. To było tak bolesne, takie nie do przyjęcia, że omijała ten temat, spychała go gdzieś poza świadomość. Ból był nie do zniesienia. Jak mama mogła wstać, wyjść z domu i zniknąć? Tak zwyczajnie, tak po prostu. Zakazała sobie rozmów, a nawet myślenia na ten temat. To dlatego coraz rzadziej odwiedzała babcię, bo staruszka patrzyła na nią z takim współczuciem i zawsze przy tym wspominała swoją Tereskę. Często miała łzy w oczach, a czasami skarżyła się pełna żalu, że jedyna córka opuściła ją – starą, schorowaną. A już nie do wybaczenia było to, że porzuciła własne dziecko!

– Nie tak ją wychowywałam, nie tak. – Szlochała. – Jedyńczę była, chuchałam na nią, dbałam, kochałam.

Ewa nie chciała tego słuchać. Nawet z ust babci nie przyjmowała krytyki, oskarżeń wobec mamy. Była pewna, że istnieje jakieś wytłumaczenie tej wyjątkowej sytuacji i potem wszyscy będą żalowali, że tak źle ją ocenili. Ona taka nie będzie, chciała przytulić się do mamy z czystym sumieniem.

Artur

— **M**oją siłą jest mózg, nie nogi! Ile razy mam ci to tłumaczyć? – krzyczał rozwścieczony Artur.
– Ale lekarz...

– Nie obchodzi mnie, co ten twój lekarz ma do powiedzenia – przerwał jej brutalnie. – Ja wiem, co jest dla mnie dobre, mam swoją wizję życia, nie będę robił tego, co wszyscy. Taki się urodziłem, nic na to nie poradzisz! Pogódź się wreszcie z tym. A teraz wyjdź, bo wkurzyłaś mnie na maksa, a podobno nie wolno mi się denerwować.

Rzeczywiście czuł, że oddech ma niebezpiecznie płytki, z coraz większym trudem łapał powietrze. Pewnie usta zaczęły mu fioletowieć. Widział lęk w oczach matki. Jeszcze zrobiła ruch w jego stronę, ale zdecydowanie machnął ręką, nakazując jej wyjść. Zrobiła to.

Nienawidził siebie za to, co jej robił. Kochał ją bardzo, ale musiała wreszcie zrozumieć, że żąda od niego za wiele.

Oddychał głębiej, starał się uregulować oddech, uspokoić. Znowu go poniosło, a tyle razy sobie obiecywał, że nie pozwoli nikomu wyprowadzić się z równowagi. Miał być jak głaz, niewzruszony, z kamienną twarzą, na której nikt nie odczyta jego uczuć. Niestety z matką jeszcze przegrywał, przed nią jedną nie potrafił zatrzasnąć drzwi.

Popatrzył na ekran monitora. Już nie pamiętał, co chciał powiedzieć jako Ricardo. Tak się kończyło wkraczanie na jego teren, wtrącanie się w jego życie. Wszystkim przeszkadzało, że siedział sobie w swoim pokoju. Co w tym złego? Pokój cztery na pięć metrów i mała łazienka. To całe jego królestwo. Nie miał dużych wymagań, matka nie powinna narzekać. Coraz częściej sam zamawiał sobie jedzenie w restauracji Fabricia. Jego syn Benito, wielbiciel gier komputerowych, dostarczał mu je i zabierał worki ze śmieciami. Dostawał w zamian płytki z następnymi gramami. Wszyscy byli zadowoleni.

Lubił proste, tradycyjne potrawy. Świeżutką bagietkę z *mojo rojo*, *potaje* z dużą ilością *gofio*, kurczaka w pikantnym sosie, ryby we wszystkich wariantach, skalne ślimaki, no i czarne *papas*. Miał też dużą słabość do słodczy, szczególnie pralinek o smaku mojito. Czasami zamawiał sobie chińskie jedzenie lub pizzę.

Uważał, że nie wchodził nikomu w drogę i nie był ciężarem. Miał swój wirtualny świat, a w nim wszystko, czego potrzebował. Niedawno skończył szesnaście lat, czuł się dorosły, był w stanie sam

się utrzymywać. Internet to nie tylko zabawa, jak twierdziła jego mama, to także miejsce, w którym można całkiem nieźle zarobić. Ale co ona o tym wiedziała? Ignorantka. Jej całym światem był ten hotel – Barcelo Santiago. Zawiązał jej oczy, ograniczył potrzeby do hotelowych spraw.

I to ona jemu zarzucała, że marnuje swoje życie, bo przywiązał się do komputera, uzależnił od Internetu. A Internet w przeciwieństwie do hotelu to szerokie okno na świat, to nieograniczony dostęp do wiedzy.

Jeszcze dwa, trzy lata temu męczył się okrutnie, bo sam nie wiedział, czego chce, a właściwie wiedział – chciał mieć jakąś dobrą kryjówkę, takie miejsce, w którym mógłby nic nie robić. Ale był smarkaty i różni dorośli mieli prawo rządzić jego życiem, decydować, co jest dla niego lepsze. Miał być takim, jak oni oczekiwali. Wszyscy lepiej wiedzieli, co jest dla niego dobre, jego nikt nie pytał o zdanie.

Tymczasem dostawał mdłości na samą myśl, że miałby zostać inżynierem, adwokatem czy lekarzem, że miałby się ożenić i mieć dzieci. Pracować, prowadzić życie towarzyskie, być społecznie użytecznym. Nie zamierzał się dostosowywać, przeciwnie – postanowił walczyć o to, by żyć tak, jak chce. Stąd ten permanentny bunt.

Dopiero po ostatnim pobycie w szpitalu nagle wszyscy sobie odpuścili, przestali go do czegokolwiek zmuszać. Jeszcze przekonywali, niepotrzebnie strzępili języki, ale już nie naciskali. Rozkładali ręce i uśmiechali się zażenowani. Zrozumiał, że jego koniec był bliski. Dopiero teraz stracił nadzieję. Musiało być z nim bardzo źle, skoro świat dorosłych się poddał i mu odpuścił. Teraz on wpadł w panikę, bo potrzebował czasu, a los mu go gwałtownie ograniczył. Nie zdąży, nie doczeka...

Wiedział, że w najlepszych laboratoriach świata pracuje się nad tym, by wgrać ludzki umysł do superkomputera. Skopiuje się każdą synapsę, każdy neuron. Takie stuprocentowe przeniesienie umysłu człowieka: jego wiedzy, myśli, wspomnień, uczuć. Kalkulował, że skoro jest jeszcze bardzo młodym człowiekiem, a świat nauki pędzi do przodu, doczeka tych rozwiązań i pozbędzie się wreszcie znienawidzonego ciała. Tej skorupy, która go tak absurdalnie ograniczała.

Ciało ludzkie napawało go obrzydzeniem. Miękkie, wrażliwe, cholernie kruche. Wymagało tylu zabiegów i starań, tak łatwo można je było uszkodzić, złamać, chorowało z byle powodu. Co to w ogóle za ochrona dla mózgu?!

Nie rozumiał, jak Bóg mógł stworzyć coś tak niedoskonałego. Bo jednak wierzył w jakąś Moc silniejszą od człowieka, przewyższającą go inteligencją, wiedzą, rozumieniem wszelkich zjawisk. Większość ludzi nazywała ją Bogiem i różnie Go sobie wyobrażała, dla niego to po prostu inteligentna energia o niewyobrażalnej mocy.

Jednego był pewny – to przez słabość ciała człowiek miał ciągle za małe możliwości i za mało czasu. Żył zdecydowanie za krótko, by mógł coś realnie zmienić. Dopiero połączenie supertechnologii z umysłem człowieka otworzyłoby przed ludzkością nieskończone możliwości rozwoju. Był przekonany, że kiedyś ludzie osiągną ten etap, to logiczna konsekwencja ewolucji.

Jasne, że taki miks komputera z ludzkim mózgiem pociągnie za sobą wiele niebezpieczeństw, problemów, których w tej chwili nie można nawet przewidzieć, ale postępu nie da się przecież zatrzymać.

Niestety, cały ten pomysł na życie przekreślili Bóg lub jakieś cholerne Przeznaczenie. Okazało się, że jego serce jest jak stary, rozczłapany kapeć i on wcale nie ma przed sobą wielu lat życia. Znacznie mniej niż przeciętny młody człowiek. Więc tym bardziej nie widział potrzeby, by się dostosowywać do powszechnie uznawanego stylu życia. Prawda była taka, że po prostu nie zdąży niczego osiągnąć, niczego udowodnić. Ten kawał mięcha w piersi pokrzyżuje wszystkie jego plany. Właściwie już na starcie dostał cios poniżej pasa. To nieuczciwe, nie fair. Dlaczego los gra tak nieczysto?

Dosyć tych rozważań, to są pytania, na które nikt mu nie da odpowiedzi. W końcu nie musi być Arturem. Może być Ricardem. Sam go stworzył. To świetnie zbudowany, szybki, przebiegły i nie-ludzko inteligentny facet. Żyje w świecie, który sam urządził. Zbudował sobie dom-twierdzę. Samo wejście było naszpikowane zaskakującymi zabezpieczeniami, których nie rozgryzie byle cymbał. Tylko wybitne umysły docierały do jego drzwi. Wpuszczał nielicznych i nawet oni nie wiedzieli, że pozwalał im zobaczyć zaledwie fragment. By przejść do najbardziej prywatnej części, on sam musiał zmienić swoją postać, przeobrazić się.

Tak, w tym wirtualnym świecie czuł się u siebie. Był wolny od ograniczeń. Nieustannie go modyfikował. Miał w nim wszystko, co najlepsze, najnowocześniejsze, najdroższe. Wiele podróżował, poznawał inne kraje i kontynenty – ba, inne planety i nietypowe światy alternatywne. Stale się doskonalił, współzawodniczył z najpotężniejszymi mózgami. Miał wiernych przyjaciół i piękne dziewczyny, które dorównywały mu inteligencją.

To dlatego był taki wściekły, gdy matka wchodziła do jego pokoju i wyrywała go brutalnie z tamtego świata. Od razu czuł się fatalnie, brakowało mu powietrza, każdy ruch sprawiał przykrość. Potrzebował czasu, by zrozumieć, czego ona od niego chce. To zawsze były dla niego jakieś nieważne sprawy.

Nie chciał być w tym świecie. Gruby, chory, we wszystkim ograniczany. Niestety, przeniesienie się na stałe do wirtualnego świata nie było jeszcze możliwe, ale to się zmieni, był o tym przekonany, ludzkość zmierzała w tym kierunku. Podejrzewał, że razem z nim cała armia młodych ludzi zrobiłaby to bez wahania.

* * *

Aldona ze łzami w oczach schodziła po schodach, trzymając się poręczy. Czym zasłużyła sobie na takie traktowanie? Przecież chciała tylko, by zszedł na kolację. Od kilku dni praktycznie się nie widzieli. Fakt, pracowała całymi dniami, bo to najgorszy okres, pełnia sezonu. Ale wieczorami mogliby porozmawiać, zjeść razem, pooglądać telewizję. Tak było, gdy Artur był młodszy. Teraz kom-

pletnie ją ignorował. Pozwalała mu na wiele, bo był bardzo chory.

Widywała syna wyłącznie w tej niebieskiej poświacie ekranu komputera. Siedział zamknięty w swoim pokoju, zaangażowany bez reszty w jakąś wirtualną walkę. Jego palce przemieszczały się po klawiaturze szybko, lekko, mistrzowsko. Nie odpowiadał na jej pytania, ze wzrokiem wbitym w ekran i słuchawkami na uszach nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Nie mogła się pogodzić z tym, że zamiast miłego chłopczyka ma w tej chwili zmutowanego nastolatka, który porzucał rzeczywistość dla swojego cyfrowego świata.

Dręczyły ją wyrzuty sumienia; skupiona na swojej pracy i nauce za mało czasu poświęcała synowi. Dopuściła do tego, że stracili ze sobą bliski kontakt. Artur nigdy nie narzekał, sprawiał wrażenie zadowolonego. I było dobrze, dopóki nie pojawiła się ta straszna choroba.

Zupełnie się pogubiła. Chciała go chronić, ratować, dać mu wszystko, tylko on niczego od niej nie chciał, nie była mu już potrzebna.

Anorektyczka

- Słuchaj no, byłem wczoraj na tej wywiadówce. Nie jest źle. – Ojciec się uśmiechnął. – Uczysz się dobrze, nie opuszczasz lekcji, nawet się nie spóźniasz. Bardzo mnie to cieszy, córeczko.
- Więc po co cię wzywali? – spytała podejrzliwie.
 - No właśnie. – Chrząknął. – Wychowawczyni odesłała mnie do pani pedagog.
 - Do szkolnej pedagog? Nigdy u niej nie byłam. Co ona chciała?
 - Podejrzewa, że jesteś... no... tą... anorektyczką – wykrztusił.
 - Bzdura – skwitowała krótko. – Głupia baba.
 - Nie, spokojnie. Była bardzo delikatna. Ona tylko się o ciebie martwi. Podobno jesteś za chuda. Pytała, czy masz apetyt, czy dużo jesz. Czy nie wymiotujesz po jedzeniu... A ja... mnie tu właściwie nie ma. Ja nic nie wiem...
 - I powiedziałeś jej o tym? – Ewa się zdenerwowała.
 - No nie.
 - Całe szczęście. – Odetchnęła.
 - Ale musiałem jej obiecać, że pójdziesz do lekarza i zrobisz badania. – Sięgnął do kieszeni i wyjął jakąś kartkę. – Tu jest skierowanie. – Przesunął je na jej stronę stołu. – Będzie czekała na opinię lekarza i powiedziała, że nie odpuści.
 - Niepotrzebnie się wtrąca w nie swoje sprawy. Przecież jestem zdrowa, nie choruję, nawet grypy nie miałam.
 - Tak jej powiedziałem. Ale się uparła i uwierz mi, jak tego nie załatwimy, to się nie odczepi – tłumaczył. – Ewuniu, teraz gdy tak patrzę na ciebie, to widzę, że ty naprawdę jesteś bardzo chuda. Dobrze by było zrobić jakieś badania. Niektóre choroby długo rozwijają się w ukryciu.
 - Nic mi nie jest, przecież bym zauważyła – przekonywała. – Nie mam gorączki, nie wymiotuję, nie chodzę głodna.
 - Dobrze, dobrze. Nie denerwuj się. Też jej tłumaczyłem, że szybko rośniesz i pewnie dlatego.
 - I to powinno jej wystarczyć. Jesteś ojcem i wiesz najlepiej.
 - No nie – zaprotestował. – Nie jestem dobrym ojcem, a poza tym ona naprawdę nie odpuści. Tak sobie pomyślałem, że może byś po lekcjach wpadała do nas na obiady? To w końcu tylko kilka przystanków tramwajem.

– Odpada, tato! – zaprotestowała. – Nie lubię tej twojej Marleny i wiesz, że ona za mną też nie przepada. Chcesz mieć problemy? Sama sobie poradzę. Obiecuję, że będę więcej jadła.

– A może będziesz chodziła do babci? – nie ustępował. – Ta jej Czesia będzie więcej gotowała, dam pieniądze.

– Nie. Ona nie robi tego, co ja lubię. Tylko zupki, mielone mięso i papki, które jada babcia. Jestem duża, sama sobie gotuję, nie martw się.

– A obiady w szkole?

– Na to nawet pieniędzy szkoda. Odpada!

– To dobrze, jak tam chcesz. – Westchnął ciężko. – A do tego lekarza pójdziesz sama?

– A z kim?

– Może jakaś kobieta by z tobą poszła?

– Daj spokój. Poradzę sobie. Nie jestem już dzieckiem.

– Jak uważasz. Tylko zrób to szybko, obiecujesz?

– Obiecuję. A czy pytała o mamę?

– Pytała, ale tak jak się umówiliśmy, powiedziałem, że wyjechała do pracy za granicę i teraz mamy słaby kontakt, lecz pomaga nam babcia.

– I co ona na to?

– Nic, westchnęła tylko i pokiwała głową. Teraz to się podobno często zdarza, że jedno z rodziców albo nawet oboje pracują za granicą, a dziećmi zajmują się dziadkowie.

– To fajnie. – Ewa się ucieszyła. – Nie chcę, by się ktoś do nas wtrącał. Im mniej szumu, tym lepiej.

– No dobrze, będę się zbierał. – Wstał z krzesła. – A, jeszcze jedna sprawa. Niedługo twoje urodziny. Jaki prezent byś chciała?

– Myślałam o tym. – Popatrzyła mu w oczy. – To cię będzie sporo kosztowało. Muszę mieć laptop i Internet. Stale biegam po koleżankach i blokuję miejsce w bibliotece, tak dłużej już się nie da, powoli wszyscy tracą cierpliwość.

– Rozumiem. To rzeczywiście drogi prezent. – Podrapał się po brodzie.

– Nie musi być nowy, ze sklepu. Widziałam całkiem fajne w komisach; słyszałam też, że w lombardach można kupić tanio nawet takie na gwarancji.

– Pomyślę o tym. Ale ty jak najszybciej pójdziesz do lekarza, umowa?

– Umowa. – Roześmiała się.

Ojciec, wychodząc, przytulił ją do siebie. Czują, jak palcami bada jej żebra, na koniec poklepał ją po plecach. Dawno nie byli tak blisko.

– O, znowu bym zapomniał. – Zawrócił od schodów. – Zaplątała się między moje koszule – tłumaczył, wyciągając z kieszeni kurtki czerwoną apaszkę mamy. – Marlena się wściekła, bo myślała, że celowo ją zabrałem, z sentymentu i tęsknoty za żoną.

Rozwinęła chustkę i wtuliła w nią twarz. Nie pachniała już perfumami mamy. Marlena musiała ją wyprać i wyprasować. Pozbyła się kolejnego śladu rywalki. Ewa chciała ją sobie zawiązać wokół szyi, ale zrezygnowała. Stasiu lubił ją nosić, gdy bawił się w kowbojów. Poskładała apaszkę równiutko w kostkę i schowała do szuflady.

* * *

Zrobiła te badania – wszystkie wyniki w normie. Dostała to na piśmie. Lekarz był bardzo zadowolony, pani pedagog mniej. Zatrokana, jakby nie dowierzała opinii lekarza.

– Miesiączki masz regularne?

– Tak.

– Bolesne?

– Trochę.

– A nie odchudzasz się przypadkiem?

– Myślę, że nie muszę. – Uśmiechnęła się i spojrzała wymownie na kobietę, której dieta przydałaby się na pewno.

– No to dobrze, kochana. Cieszę się, że jesteś zdrowa. Musiałam to sprawdzić, chyba rozumiesz?

– Rozumiem, taka praca. – Ewa wzruszyła ramionami.

– Nie tylko praca, naprawdę martwię się o was i chcę wam pomagać. Gdybyś miała jakieś problemy, chciała z kimś porozmawiać, na przykład o mamie, to przyjdź...

– Będę pamiętała – przerwała jej szybko. – Dziękuję. Do widzenia.

– Do widzenia. – Kobieta westchnęła.

* * *

Swoje siedemnaste urodziny wspomina z wielką przyjemnością. Po raz pierwszy poczuła się jak gospodyni. Sama zrobiła zakupy, przygotowała dwie sałatki, upiekła udka z kurczaka i przyrządziła deser z galaretek i bitej śmietany. Sernik kupiła gotowy. Było nawet wino. Zaprosiła babcię i jej opiekunkę Czesię oraz ojca z Marleną. Tak wypadało. Razem z ojcem przyszedł pan Tadeusz, ten od telewizji kablowej. Dostała fajny laptop, szybki, kupiony z odzysku u pana Tadeusza. Zanim dopili kawę, miała już zamontowany router i podłączony Internet.

Babcia rozglądała się dokładnie, zajrzała do każdego pomieszczenia, każdej szuflady. Ostatnio rzadko tu bywała, miała duże problemy z chodzeniem. Dzisiaj przywiózł ją ojciec, dorobił się czarnego przechodzonego golfa. Gdy w końcu usiadła na krześle, uśmiechnęła się i powiedziała:

– Ładnie tu u ciebie, wnusiu, i tak czyściutko. Mama byłaby z ciebie dumna.

– To normalne, przecież to już dorosła kobieta – zauważyła Marlena.

– Co ty mówisz? Jaka dorosła? Dzisiaj kończy siedemnaście lat – zaprotestował ojciec.

– A co ty tam wiesz, dla ciebie zawsze będzie malutką córeczką tatusia. Tłumaczę ci, że to już dorosła panna jest i świetnie sobie radzi – nie ustępowała Marlena.

– To, że świetnie sobie radzi, to prawda – potwierdził pan Tadeusz – ale dorosła to na pewno nie jest. Mój syn ma osiemnaście lat, a taki głupol z niego, że szkoda gadać. Jakby mu matka nie naszykowała, to głodny i brudny chodziłby do szkoły. A gdzie tam, z lenistwa wcale by nie chodził. – Machnął ręką. – Możesz być dumny, Piotrze, z takiej córki, wypijmy za jej zdrowie.

– Wypijmy. – Babcia podniosła kieliszek. – Biedna ty, moja wnusiu, szybko musiałaś dorosnąć, za szybko – westchnęła. – Ale teraz jestem spokojniejsza, bo widzę, że jesteś bardzo rozsądną dziewczyną i naprawdę dobrze sobie sama radzisz. Niech Matka Boska czuwa nad tobą.

Pani Czesia pomogła jej pozmywać. Gdy tylko drzwi zamknęły się za gośćmi, Ewa usiadła do laptopa i buszowała po Internecie prawie do rana.

Rozdział IX

Hałda

Teresa wstała z krzesła i okręciła się wokół własnej osi. Coś nią sterowało, nagle poczuła nieodpartą chęć poruszania się. Skoro musiała, zrobiła to.

„Jak mus, to mus” – mówił jej ojciec.

Pamiętała, że dla niego wszystko było obowiązkiem i przymusem, jakby życie nie stanowiło też przyjemności, radości. Podobno zawsze taki był, stale narzekał i krytykował. Dobrze, że okazał się przy tym pracowity i obowiązkowy. W pracy go cenili, był dokładny i odpowiedzialny, ale przyjaciół nie miał. Wszyscy w rodzinie dziwili się, co takiego Trudzia w nim zobaczyła. Ona, taka energiczna i serdeczna, lubiąca towarzystwo. Byli jednak dobrym małżeństwem. Ojciec nie wtrącał się w sprawy domowe, uważał, że jego zadaniem jest przynoszenie żonie wypłaty i na tym jego rola się kończyła, a mama robiła całą resztę i dbała o jego potrzeby.

Zdyszana dotarła na szczyt najwyższej hałdy. Nie pamiętała, jak się tu dostała. Usiadła na trawie w plamie słońca. Powoli opuszczało ją to dziwne rozdygotanie ciała. Głośno przełknęła ślinę, chętnie napiłaby się wody. Położyła się na trawie i zamknęła oczy. Gdy była w stanie półsnu, uświadomiła sobie, że wybiegła z domu jak wariatka. Niczego ze sobą nie wzięła, torebka leży pewnie na szafce w przedpokoju razem z dokumentami, pieniędzmi i kluczami. Nie mogła sobie przypomnieć, czy zamknęła drzwi, a może zostawiła mieszkanie szeroko otwarte. Jakoś nic, ale to nic ją to nie obchodziło.

Tak po prostu zerwała się i wybiegła z silnym poczuciem, że musi ratować, zapobiec jakiemuś nieszczęściu... A teraz wszystko odpłynęło. Słońce tak cudownie grzało. Uśmiechnęła się radośnie. Poczuli się wolna, naprawdę wolna od wszystkiego i wszystkich, jakby ktoś jednym cięciem oddzielił ją od życia, tamtego niechcianego życia. Bardzo jej się to spodobało.

„Niech się trochę pomartwią, poszukają mnie”. Zachichotała z nutką złośliwości. A może się ucieszą? Może już tak im dała popalić, że z ulgą odetchną? Że też jej to wcześniej do głowy nie przyszło. Teraz niektóre zachowania, sytuacje zaczęły nabierać innego sensu.

Szczególnie jej mąż może się poczuć szczęśliwy. Był osobą, która cierpiała przy niej najbardziej, bo to na nim przede wszystkim wyżywała się za swoje dramaty, niespełnione marzenia i nieudane życie. Nie mogła mu darować, że tak szybko godził się z sytuacją. Zawsze taki był, przyjmował pokornie to, co mu los dawał – żadnego buntu, żadnej walki.

Ich Stasiulek, złoty cherubinek, umarł w jej ramionach. Jego małe serduszko nie doczekało ratunku. Wszystko przez brak pieniędzy, a wkoło tylu bogaczy. Ona nigdy się z tym nie pogodzi, nigdy! Do końca życia będzie miała wielki żal – do tego kraju, systemu, przepisów, do ludzi, którzy tak rządzą tym krajem, że uczciwy człowiek nie ma szans.

Piotr robił, co mógł, pracował nawet po czternaście godzin dziennie, ale sumy potrzebnej na operację nie zarobiłby nawet przez dziesięć lat.

Tłumaczyli jej jak dziecku, że świata nie zmieni, że niesprawiedliwość była od zawsze i zawsze będzie.

Ksiądz kazał jej się modlić. Oj, ile złości się w niej wtedy narodziło, żółć jej chyba mózg zalała i przeżarła.

Dostawała tabletki, po których spała i nie miała świadomości, gdzie jest. Wszystko jej z rąk leciało, nie mogła się na niczym skupić, zresztą nic ją nie interesowało, życie straciło sens. Po co się starać? Po co pracować, zabiegać, walczyć? Tyle poświęcenia, wyrzeczeń na darmo. „Bóg dał, Bóg wziął”. To niech się teraz ten Bóg martwi, co będzie z jej dalszym życiem. Jej już nie zależy na nikim i niczym, nie boi się śmierci, może jej tam zaplanować, co chce, nie będzie się sprzeciwiała.

Życie ludzkie nic nie jest warte. Stasiu umarł i co? Nic się nie zmieniło, świat dalej się toczy. Komu to dziecko zawiniło? A taki mądry był, pamięć miał świetną, błyskawicznie się uczył. Mógłby wiele dobrego zrobić dla ludzi. Gdyby dano mu szansę.

Nie było takiej rzeczy, której by dla tego aniołka nie zrobiła, nikogo tak na świecie nie kochała jak jego. Teraz już wie, że nie wolno oddać się całej nikomu, bo taką osobę łatwo unicestwić, jednym cięciem. Tak jak z nią się stało. Wokół niej powstała czarna dziura, wielkie nic. Chciała się zabić, dogonić Stasiulka. Odratowali. Ale teraz ta czarna dziura jest w niej.

Usłyszała gwizd lokomotywy, przekręciła się na brzuch i popatrzyła. Toczył się pociąg towarowy, koła zgrzytały o szyny, bo hamował przy zwrotnicy. Słońce grzało jej teraz plecy i tyłek, było jej tak leniwie, tak dobrze. Już zapomniała, jaki świat jest przyjemny – drzewa, zielona trawa, śpiewające ptaszki. Od tyłu miesiący siedziała zamknięta w czterech ścianach, niepotrzebnie. Położyła głowę na rękach i chyba przysnęła na dłużej. Gdy obolała próbowała wstać, zobaczyła, że słońce chyli się do horyzontu. Wstała i otrzepała sukienkę.

Stała na tym usypanym przez kopalnię wzgórzu i zastanawiała się, w którą stronę iść. Wiedziała jedno: nie chce wracać, skąd przyszła. Przeżyła tam głęboki wstrząs, który postawił pod znakiem zapytania wszystko, co stanowiło do tej pory treść jej życia. Nikt nie był w stanie dodać jej otuchy, nie potrafiła być wdzięczna za trud i troskę innych. To już nie był jej świat.

I wtedy pojawiła się ta myśl, że musi się odciąć od wszystkiego, co było. Zacząć życie od nowa z czystą kartą. Zdecydowanym krokiem zesza ze wzgórza w kierunku przeciwnym, niż przyszła. Usłyszała gwizd lokomotywy, przyspieszyła. Gdy rozsiadła się wygodnie na schodach wagonu towarowego, pomarańczowe słońce pięknie chowało się za horyzontem.

Rozdział X

Organy

Aldona zastała syna w jadalni – to był niecodzienny widok, zwykle całymi dniami siedział w swoim pokoju. Mieszkali razem, ale od wielu miesięcy miała poczucie, że jest sama. To bardzo bolesne dla matki, nie akceptowała tego, buntowała się, chciała chociaż wspólnych posiłków od czasu do czasu i zwykłej rozmowy. Rozmowy matki z synem. Niestety, Artur był nieugięty. Gdy tylko słyszał, że wchodziła do domu, zamykał się na klucz w swoim pokoju.

Wiedziała, że to jeden z wielu objawów okresu dojrzewania, że jedynym logicznym wyjściem było cierpliwe przeczekaanie. Tak to tłumaczyła pani psycholog szkolna. Jej zdaniem Artur i tak w porównaniu z innymi przechodził ten czas wyjątkowo łagodnie, spokojnie. Najważniejsze, że się uczył, chodził regularnie do szkoły, nie palił, nie pił i nie ćpał. Tak, dla wszystkich był niekłopotliwym dzieckiem. Tylko ją przerażało to jego wyobcowanie, upodobanie do samotności i świętego spokoju.

Dzisiaj siedział niedbale w fotelu naprzeciw dużego ekranu telewizora, na którym cała gromada mrówek transportowała dużego żuka. Zastanowiła ją otaczająca ich cisza. Telewizor miał wyłączony głos.

„Jak on to ogląda? To bez sensu” – przemknęła jej myśl. I wtedy zauważyła kabelki słuchawek biegnące do uszu ukrytych w gęstwinie włosów, opadających na czoło i policzki. To dlatego jej nie słyszał.

Wykorzystywała te sekundy jego nieświadomości, by mu się dokładnie przyjrzeć. Był gruby, naprawdę gruby, T-shirt opinał jego wielki brzuch, podkreślając fałdy tłuszczu, szorty sięgające kolan odsłaniały ogromne łydki. Duże stopy były po prostu brudne, bo lubił chodzić boso.

Kochała go bardzo i tym mocniej cierpiała. Był najbliższą jej osobą, całą jej rodziną. Tak naprawdę mieli tylko siebie.

Przykro było patrzeć na to niezdarne cielsko siedemnastolatka. Nie rozumiała tego. I ona, i jego ojciec byli szczupli, nie pamiętała też, by któryś z krewnych miał aż takie problemy z tuszą. To musiała być jakaś choroba, tylko lekarze upierali się, że to kwestia nieodpowiedniej diety i stylu życia. Bzdura, próbowali przecież wszystkiego, bez efektu. Artur był tłuściutki od niemowlęcia. Pызata buzia, dołeczki, wałeczki. Od zawsze. Tylko że teraz to już nie było milutkie, no i zagrażało jego życiu.

W szkole średniej dostał ksywę Humbak, która natychmiast do niego przyłgnęła. Była oburzona, gdy kiedyś usłyszała, że nawet nauczycielka tak się do niego zwróciła. Przepraszała ją później wielokrotnie, tłumacząc się niezręcznie, że Arturów mają w szkole kilku, a jej syn nigdy nie protestował, bo lubił te zwierzęta. Nie przyjęła tego tłumaczenia. Artur lubił większość zwierząt.

Nagle przypomniała sobie, że syn miał na dzisiaj wyznaczoną wizytę u kardiologa. To niemożliwe, by wybrał się do kliniki w tym stroju. Może wcale się nie zgłosił? Zdenerwowała się, nie wiedziała, którą z możliwości bardziej.

– Artur, byłeś w klinice? – zapytała, podnosząc głos.

Drgnął i powoli odwrócił głowę w jej stronę. Jednym pociągnięciem dłoni wyrwał słuchawki z uszu.

– Nie, nie byłem – odpowiedział ostro. Uniósł rękę, uciszając pretensje, które cisnęły jej się na usta. – Nie będę już odwiedzał tego konowala. On nie potrafi mi pomóc. Nie będę jego królikiem doświadczalnym. Zostawcie mnie wreszcie wszyscy w spokoju, chcę przeżyć swoje krótkie życie na swoich zasadach. Zrozum to wreszcie!

Wstał, ciężko wspierając się na poręczach fotela, i wyszedł z pokoju, trzaskając drzwiami.

Stała bezradna, zrozpaczona, z otwartymi ustami i słowami protestu, których nie pozwolił jej wykrzyczeć. „Nie wolno ci się poddawać, nie możesz przestać walczyć! Trzeba działać!”.

Nagle zrozumiała, że tyle razy powtarzane słowa już nie działały. Jej syn się pogodził, zaakceptował śmierć. Ale ona nie!

Patrzyła bezmyślnie na ekran. Mrówki, świetnie zorganizowane, zwijały w rulon duży zielony liść. W pokoju było bardzo cicho.

„Jak to?! To jest nieludzkie, wbrew naturze! Siedemnastolatek i śmierć?!”. Odwróciła się, chciała biec na górę i mocno nim potrząsnąć. A później go przytulić, osłonić przed całym światem.

Nagle zauważyła porzucone słuchawki. Podeszła do fotela, podniosła je z podłogi i przyłożyła do ucha. Zadudniło jej w głowie. Znieruchomiała zaskoczona. Muzyka organowa? Zniewoliło ją to głośnie, metaliczne brzmienie wielu piszczałek, chyba tych największych, najgrubszych.

Jej syn słuchał muzyki organowej?! Czegoś takiego się nie spodziewała. To był prawdziwy nokaut. Opadła na fotel. Cała energia z niej uleciała. Poczowała mdłości. Huśtawka emocji, które rozrywały ją od środka, była nie do zniesienia.

Zamknęła oczy, poddała się. Napłynęły niechciane, zepchnięte do podświadomości wspomnienia.

Krzyk matki próbującej osłonić głowę, rozcięta warga, krew z nosa zalewająca jej twarz.

Furia ojca i te rytmiczne uderzenia matczynej głowy o framugę drzwi.

Obserwowała to ukryta za zasłoną, czekała na właściwy moment. Teraz! Napięła mięśnie i wystarowała w stronę przedpokoju najszybciej, jak mogła. Chciała zniknąć, by nie być ani sekundę dłużej świadkiem tej sceny, zniknąć, zanim ojciec ją zauważy i stanie się jego kolejną ofiarą.

Dopadła drzwi, chwilę się z nimi szarpała, były ciężkie, przedwojenne. A potem to już tylko pę-

dziła przed siebie z całych sił, na oślep, byle dalej. Od domu, od ojca. Bała się odwrócić i sprawdzić, czy biegnie za nią. W końcu zaczęło jej brakować tchu, czuła ostre klucie w prawym boku. Wiedziała, że musi się gdzieś ukryć.

Nagle zobaczyła kościół, światło, usłyszała organy. Poczowała, że to jest miejsce ratunku. Tam może ojciec nie odważy się wtargnąć.

Główne wejście było zamknięte, znalazła boczne. Wśliznęła się cicho i usiadła na ławce w najciemniejszym kącie. Kościół był pusty, ale wypełniała go ogłuszająca muzyka. Ktoś z furją naciskał klawisze, wydobywając z instrumentu całą jego moc. Skuliła się, zamknęła oczy.

Po chwili poczuła dłoń na swojej głowie. Zobaczyła nachyloną nad sobą twarz mężczyzny. Ogarnął ją paniczny strach. Organy zamilkły, ale przeraźliwy, paralizujący krzyk wypełniał kościół zwielnokrotniony echem. Minęła długa chwila, zanim uświadomiła sobie, że to ona krzyczy.

Mężczyzną okazał się ksiądz Michał, znany jej z lekcji religii. Zdjął swoją kurtkę i otulił ją. Dopiero wtedy zauważyła, że jest w piżamie, boso, i przypomniała sobie, dlaczego się tu znalazła. Wrócił obraz zakrwawionej matki. Rozpłakała się i szlochając, opowiedziała o wszystkim księdzu. Błagała o pomoc.

Tę noc i kolejne trzy tygodnie spędziła w pogotowiu opiekuńczym. Miała trzynaście lat. Mama leżała w szpitalu. Długo była nieprzytomna, miała złamane obydwie ręce i wstrząs mózgu. Aldona nigdy nie zapomni jej zniekształconej twarzy, sinej, opuchniętej, z zadrutowaną szczęką. Przysięgła sobie wtedy, że nigdy nie wyjdzie za mąż, nie zaufa żadnemu mężczyźnie. I dotrzymała słowa.

Ojca złapano po trzech dniach. Siedział w więzieniu osiem miesięcy.

To były najlepsze miesiące w ich domu. Mogła się spokojnie uczyć, zdążyła skończyć szkołę podstawową i zdać egzamin do liceum ogólnokształcącego. Tak, zaskoczyła wszystkich. Niektóre sąsiadki tłumaczyły mamie, że to czysta fanaberia, że córka powinna myśleć, z czego będzie żyła, powinna jak najszybciej zdobyć praktyczny zawód i iść do pracy. Fryzjerka, kelnerka, sprzedawczyni w sklepie – to było ich zdaniem najlepsze rozwiązanie. Przecież za chwilę z więzienia wróci ojciec i cyrk zacznie się od nowa.

I wtedy okazało się, że mama popierała jej plany, że po to zносиła tę gehennę, by dzieci miały się lepiej, mogły się uczyć. Co prawda nie odważyła się wnieść pozwu o rozwód, ale zaczęła korzystać z pomocy opieki społecznej, znaleziono jej pracę w kuchni w pobliskim barze. Już nie brakowało im jedzenia. Mogły ich wreszcie odwiedzać babcia i ciocia Kryśka, siostra mamy. Życie stało się dobre, normalne.

Tylko brat Aldony, Rafał, zmienił się na gorsze. Zaczął wagarować, musiał powtarzać klasę. W domu stał się arogancki, kłótniwy, buntował się przeciwko babskim rządóm. Chciał przejąć po ojcu władzę w domu. Nie pozwoliły mu na to, więc zniknął na długie godziny i nikt nie wiedział, gdzie jest, z kim, co robi. Miał dopiero dwanaście lat, ale wyglądał na dużo starszego. Był wysoki, chodził do klubu na treningi, ćwiczył boks.

Powiedzenie, że poszedł w ślady ojca, byłoby niesprawiedliwe. Wiele razy stawał w ich obronie, w końcu wymusił na ojcu, by trzymał łapy przy sobie, bo ten rzeczywiście po odsiadce wrócił do domu. Na szczęście jakiś spokojniejszy. Bał się, że wezwą policję i znowu trafi do więzienia, tym razem na dłużej. Nie mógł im tylko darować, że nikt z rodziny przez te osiem miesięcy nie odwiedził go w więzieniu. Żaden z kumpli też o nim nie pamiętał. Żalił się na to, gdy tylko trochę wypił: „Pies z kulawą nogą”. Nie lubił już tak bardzo towarzystwa kolegów, częściej zostawał w domu. Za to polubił kibicowanie z synem: mecze piłki nożnej, żużel i oczywiście boks.

Zaczął pracować na złomowisku i, o dziwo, nie porzucił pracy po paru tygodniach, jak dotąd bywało. Nie oznaczało to wcale, że stał się aniołem. Miewał jeszcze od czasu do czasu te swoje pijackie ciągi, ale awantury ograniczały się do krzyków i demolowania mebli. Nie było aż tak źle, skoro udało jej się skończyć liceum w terminie.

Z maturą w kieszeni i błogosławieństwem mamy uciekła z domu i z kraju. Wiedziała, że może liczyć tylko na siebie. Zwłaszcza że parę miesięcy później mama zmarła. Rak mózgu zabił ją w dwa miesiące po rozpoznaniu. Wtedy Aldona ostatecznie przecięła wszystkie więzy z krajem, nie miała już po co wracać.

Koronkowy trel fletu wypełniał teraz jej uszy. Westchnęła z ulgą, rozluźniła się, zanurzyła głębiej w fotelu. Wtedy poczuła szturchnięcie w ramię.

– To moje – usłyszała głos Artura.

Otworzyła oczy.

– Muzyka organowa? Zaskoczyłeś mnie, synu. Świetne – powiedziała, kładąc słuchawki na jego wyciągniętej dłoni.

– Podoba ci się?

– Tak, bardzo. Ma moc przenoszenia duszy w inne miejsca. – Uśmiechnęła się smutno.

– Też to lubię. Organy to ekstrainstrument, największy. Przewyższają pod względem brzmienia, barwy, dynamiki nawet całą orkiestrę symfoniczną. A gra tylko jeden człowiek.

– Tak, to niesamowite. A wiesz, że nigdy bym się nie domyśliła, że mój syn słucha takiej muzyki? Byłam pewna, że to będzie raczej ostry rock lub rap.

– Tak bardzo się nie pomyliłaś. Słucham różnych rzeczy. – Wzruszył ramionami i zdecydowanie skierował się w stronę drzwi.

„Koniec rozmowy, koniec dobroci dla matki” – pomyślała. Był taki inteligentny i taki... Nie wiedziała, jakiego użyć słowa – taki nieszczęśliwy? Człapał ciężko z pochyloną głową. Jego za długie, wijące się włosy zasłaniały mu twarz. W tym też różnił się od swoich kolegów. Panowała teraz moda na bardzo krótkie włosy albo wręcz łysą głowę, na tatuaże na karku, ramionach i łydkach. Dlaczego był taki inny? Choroba nie wszystko tłumaczyła.

Musi go uratować. Na pewno jeszcze coś da się zrobić, inaczej to uczucie bezradności ją zniszczy.

Ona, postrzegana przez innych jako silna, kierująca armią ludzi kobieta sukcesu, nie poradziła

sobie z jednym dzieckiem. Pozwoliła, by rządził w ich domu, sam decydował o swoim losie, nie potrafiła być w stosunku do niego wymagająca. Musiała się przyznać do totalnej porażki wychowawczej.

Pomyślała o matce, po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna. Ona też była bezradna, pozwoliła się zdominować, podporządkowała się despotce w imię miłości do dzieci. Dopiero teraz zrozumiała, co mama musiała czuć – bezsilność, niemoc, bezradność.

Nie, tak nie może być, ona nie chce, nie może się tak czuć! Musi coś wymyślić. Nie wolno jej bierze przyglądać się samozagładzie syna. Co mogłaby jeszcze zrobić? Kogo jeszcze poprosić o pomoc?

Nagle, jak objawienie, pojawiło się rozwiązanie. Tak, czas najwyższy powołać do życia jego ojca. Do tej pory zupełnie nie brała go pod uwagę, bo myślała, że sama sobie ze wszystkim poradzi. Musi przestać się oszukiwać – nie poradziła sobie, sytuacja ją przerosła. To będzie bardzo trudne, była tego świadoma. Nic nie wiedziała o tym człowieku. A on nie miał pojęcia, że jest ojcem. Tak kiedyś zadecydowała. Teraz stał się nadzieją, szansą i już nic nie mogło jej powstrzymać.

* * *

„Co matki wiedzą o swoich dzieciach? Tyle, ile im pozwolimy wiedzieć” – odpowiedział sam sobie. Jakie to żalosne, szkoda czasu i energii na tłumaczenie. Dla matki zawsze ważne było, czy zjadł posiłek, odrobił lekcje, sprzątnął swój pokój. Na nic innego nie miała czasu. Była taka zajęta i zestresowana. Jakiś kapiący kran potrafił wyprowadzić ją z równowagi, jakby od tego zależały losy świata. Praca, praca, praca. Żeby jeszcze jakaś naukowa, twórcza, ale takie tam pilnowanie sprzątaczek, żeby jakiemuś gościowi niczego nie zabrakło, bo płaci i żąda?

On nigdy nie pozwoliłby się wciągnąć w takie trybiki. Teraz zresztą nie miał już wyboru i ten jego osobisty bunt właściwie stracił rację bytu.

Był skazany. Wiadomo było, że może sobie odpuścić przekonywanie kogokolwiek do własnej wizji życia – i tak wzbudzał tylko litość. Właściwie już niczego od niego nie oczekiwano. Nikogo nie interesowało, czym się pasjonuje, co robi, jakie ma plany, marzenia.

Od kilku lat śledził wszelkie nowinki dotyczące transhumanizmu, zafascynowały go nanotechnologia, biotechnologia i robotyka.

Zaczął, jak większość chłopców, od gier komputerowych, zachwycił się robotami i cyborgami, ale poszedł dalej, znacznie dalej. Gdyby nie Internet, o niczym by nie miał pojęcia. W szkole tego nie uczyli. Wiedza wykładowców była żenująca. Nauczycielka biologii powiedziała, że naczytał się fantastyki i opowiada bzdury.

Przez tę ogólną ignorancję miał wielkie problemy. Zrozumienie w sumie prostych procesów zabierało mu za dużo czasu. Nikt mu nie chciał pomóc, dlatego często wyważał otwarte drzwi. Potrzebował przewodnika, nauczyciela, kogoś, kto interesowałby się tym samym, ale był lepszy

od niego i chciałby pociągnąć go za sobą, pokazać mu drogę na skróty.

W jego otoczeniu nie było takiej osoby. Liczył na internetowe kontakty, ale dla naukowców był nikim, smarkaczem, ignorowali go, a rówieśnicy skupiali się na grach. Kiedyś jeden z fizyków, a pisał do wielu, był łaskawy i wysłał mu odpowiedź. Jasno wyjaśnił to, o co Artur pytał, odesłał do właściwej literatury, a na koniec dodał: „Zadawaj sobie pytania, dużo pytań, szukaj niewidzialnego, by wyjaśnić widzialne”. Uznał to za swój życiowy drogowskaz, przykleił sentencję nad biurkiem.

Niedawno zrozumiał, że nie doczeka tych nadchodzących zmian. Musiałby pożyć jeszcze jakieś dwadzieścia lat, no, może piętnaście. Każdy z jego rówieśników mógł spokojnie poczekać, ale nie on, i to go wkurzało najbardziej.

Nie lubił swoich kolegów, drażnili go tym, że marnowali tyle czasu. Głupcy, kopali piłkę, włóczyli się po plaży, pili wino, palili. Interesowali się dziewczynami, cyckami i seksem. Uchodził wśród nich za dziwaka, machali ręką, gdy próbował tłumaczyć możliwość skanowania ludzkiego mózgu do komputera, kopiowania na twarde dyski wspomnień i przeżyć.

Dla nich był fajtłapą, grubasem, za którym żadna dziewczyna się nie obejrzy. To go dyskwalifikowało, nie chcieli go w swojej grupie. A on nie miał z nimi o czym rozmawiać. Byli zdrowi, sprawni i głupi. Ale to Artur w oczach świata był kaleką.

Urodził się na pięknej wyspie. Był otoczony kobietami, które go kochały, ale nie potrafiły mu pomóc. Czuł się więźniem tego miejsca i swojego cielska, którego szczerze nienawidził.

Kiedyś obejrzał film o Dolinie Krzemowej, o tym, że czternastoletni studenci mieli do swojej dyspozycji w pełni wyposażone laboratoria i opiekę naukowców. Zrozumiał, że to byłby dla niego raj. Jego największym marzeniem była przeprowadzka do Ameryki, do tej czarodziejskiej Doliny Krzemowej. Wierzył, że nowoczesne technologie usprawnią ludzkie ciało, zwiększą jego wydajność. Czytał o tym, że specjaliści z Uniwersytetu Stanforda w Kalifornii już opracowali matematyczny algorytm, który rozszyfrowuje sygnały pochodzące z ludzkiego mózgu odpowiadające za ruch, prędkość oraz dokładność. To osiągnięcie miało służyć przede wszystkim poprawie jakości życia osób sparaliżowanych, ale nie miał wątpliwości, że zaraz potem zostanie wykorzystane do stworzenia superludzi do zadań specjalnych.

Jak miał o tym wszystkim rozmawiać z mamą? Gdy był młodszy, próbował, ale mama myślała, że on ciągle mówi o grach komputerowych, o cyborgach, androidach, czyli o świecie fantastyki, której ona nie lubiła i nie starała się zrozumieć. Nie chciała uwierzyć, że świat od dawna dążył w tym kierunku, że to się już dzieje. W laboratoriach dokonywano epokowych odkryć, których zwykli ludzie nie byli świadomi. Artur wiedział, że on sam ledwo liznął temat, zobaczył wierzchołek góry lodowej. Ale to było to, co chciał poznawać, zgłębiać, chciał brać w tym udział.

Niestety teraz już wiedział, jak mało życia mu pozostało, i było mu obojętne, czy mama zrozumie, dokąd zmierza nauka. Niech sobie żyje w nieświadomości, zajęta swoimi problemami, rzeczy-

wistością, którą zna. Coraz częściej martwił się nią. Gdy on odejdzie, będzie naprawdę samotną kobietą, bez męskiego wsparcia. Powinna sobie kogoś znaleźć. Kiedyś próbował z nią o tym porozmawiać. Usłyszał: „Może później, teraz nie mam na to czasu. Nie martw się, mężczyzn nie zabraknie”. Zażartowała, że to nie jest deficytowy towar.

Miała rację – tak, jak dotąd żyli, było im dobrze, dodatkowy mężczyzna wprowadziłby za dużo zmian. Wiedział jednak, że to z jego strony bardzo egoistyczne podejście.

Od jakiegoś czasu stopniowo odsuwał się od niej, chciał, żeby pustka po jego śmierci była mniej odczuwalna. Celowo się izolował, powolutku wycofywał z jej życia, świadomy, że ją to boli, ale trucizna podawana w małych dawkach przez długi czas nie zabija. Jemu to oddalenie również było potrzebne, ułatwiało godzenie się z niesprawiedliwością losu, z koniecznością odejścia. W końcu każdy przechodzi na drugą stronę w samotności.

Przyjęcie urodzinowe

Ewa podeszła do sprawy profesjonalnie, czyli najpierw opracowała strategię działania. Nauczyła się tego na wykładzie jakiegoś studenta zarządzania i marketingu, który zastępował przez dwa dni ich polonistkę. Wyznaczyła sobie cel główny i cele pomocnicze, ustaliła plan działania i przeszła do realizacji.

Celem głównym był Jarek. Tylko na nim jej zależało. Chciała, by był obecny na imprezie, którą zamierzała zorganizować u siebie w domu. Jako gospodyni miałyby wiele możliwości, aby w naturalny, niewymuszony sposób się do niego zbliżyć.

Wiedziała, że sam nie przyjdzie, musi więc zaprosić całą jego paczkę. Problem polegał nie na tym, że to ponad dziesięć osób, tylko na tym, że ona do tej paczki nie należała. Musiała najpierw osiągnąć cel pomocniczy – zostać członkiem jego grupy.

Z początku wydawało jej się, że to niemożliwe do osiągnięcia. Chodziła do liceum już prawie dwa lata i bardzo się starała, by zachować dystans do wszystkiego i wszystkich. I udało jej się. Była, a jednocześnie jakby nie była ich koleżanką. Obserwowała ich z boku, uczestniczyła w życiu klasowym, ale z nikim się nie zaprzyjaźniła. Wiedziała, że nie może pozwolić, aby ktoś poznał jej tajemnice – to mogłoby bardzo skomplikować jej życie.

Pomysł na rozwiązanie problemu pojawił się nagle, w czasie biegania. To było olśnienie, jak błyskawica. Droga najprostsza i najszybsza w realizacji.

W poniedziałek miały się odbyć zawody lekkoatletyczne, w których chciano wyłonić reprezentantów szkoły na spartakiadę młodzieżową w Chorzowie. Gdyby zdobyła pierwsze miejsce, od razu znalazłaby się w gronie wybrańców, czyli w grupie Jarka, bo on należał do czołówki, był chlubą szkoły, jak podkreślano na wszystkich akademiach. Swoją sławę sportowca przyniósł z gimnazjum.

Zwycięstwa w biegach była pewna, i w sprincie, i w biegu długodystansowym. Zastanawiała się tylko, czy warto ujawniać swoje umiejętności. Rozważała wszystkie argumenty za i przeciw. Udział w zawodach niewątpliwie zwróci na nią powszechną uwagę, niestety nie tylko uczniów, ale przede wszystkim nauczycieli i dyrekcji, a właśnie tego do tej pory unikała jak ognia. Nie znalazła jednak innego sposobu na zbliżenie się do grupy Jarka.

Jarek nie miał stałej dziewczyny jak niektórzy chłopcy w ich klasie. Spotykał się okresowo raz z jedną, raz z drugą. Trzymał się chłopaków. To jej się podobało, bo znaczyło, że nie trafił jeszcze

w swoim życiu na tę jedyną. Dużo czasu spędzał na sali gimnastycznej: ćwiczył biegi, skoki wzwyż i w dal. Był naprawdę dobry. No i miał w sobie to coś.

Dyskretnie obserwowała go na przerwach, lubiła słuchać jego głosu, lekko ochryplego, niskiego, męskiego. Miał ciemne włosy ostrzyżone tradycyjnie, po męsku, bez modnych zygzaków czy łysej pały, jak nazywała tych ogolonych prawie do gołej skóry. Wysoki, szczupły, wyprostowany. Chodził ładnie, nie kołysał się, nie podrygiwał jak niektórzy chłopcy. W jego ruchach były spokój, jakaś precyzja.

Wiedziała, że beznadziejnie się zakochała. A to jej głupie serce mierzyło bardzo wysoko, w jednego z najprzystojniejszych chłopaków w szkole. Zdawała sobie również sprawę, że teraz jest ten właściwy moment, by spróbować zbliżyć się do niego, być z nim. Za trzy miesiące skończą naukę i rozjadą się na wakacje. Jarek wspominał coś o wyjeździe do ojca do Londynu. A jeśli nie wróci?

Dlaczego czekała tak długo? Po pierwsze, stale jej się wydawało, że to chłopak powinien o nią zabiegać – tak jej tłumaczyła kiedyś mama. Ale ostatnio, gdy rozmawiała na ten temat z dziewczynami, została wyśmiana.

– Nie te czasy, dziewczyno, mamy równouprawnienie. Jak ci się któryś podoba, to go bierz, bo inne sprzątną ci go sprzed nosa – tłumaczyła Grażyna.

– Teraz to my decydujemy, z kim będziemy blisko; chłopcy to wieczne dzieciaki, sami nie wiedzą, czego chcą – podsumowała Stenia. – Zresztą powiem ci szczerze, nie sztuka kogoś poderwać, sztuka go utrzymać na dłużej. Ale tym się na razie nie przejmuję. Nie szukam jeszcze męża, lubię zmiany, bo większość chłopaków jest po prostu nudna. Na szczęście tyle tego towaru biega, że jest w czym wybierać. – Roześmiała się.

Może i było ich wielu, ale co zrobić, gdy tylko on jeden Ewę interesował?

A poza tym była przekonana, że Stenia nie rozmawiałaby z nią w ten sposób, gdyby wiedziała, o kim ona myśli. Wszyscy wiedzieli, do kogo wzdycha serce Steni. Od dawna krążyła wokół Jarka jak satelita.

Po drugie, do tej pory uznawała to swoje bieganie za rzecz bardzo osobistą i z nikim nie chciała go dzielić. To była jej tajemnica. Biegała po to, by nie zwariować, kiedy mózg gotował się od nauki albo przeżywała jakieś nieuzasadnione lęki, lub by wyrwać się z beznadziejnej szarości codziennego życia. Bieg działał na nią jak potężny lek przeciwdepresyjny, pozwalał ustabilizować wahania nastroju. Uwielbiała to robić, musiała czuć wiatr we włosach, by być naprawdę wolną.

Nigdy nie myślała o uczestnictwie w wyścigach, o sławie, medalach. A teraz miała ujawnić swój sekret całemu światu. Zdecydowała się jednak, robiła to wyłącznie dla niego. Miała nadzieję, że nie na próżno.

W piątek zgłosiła swój udział w zawodach. Wuefista był zaskoczony i nie ukrywał tego. Wiele razy zachęcał ją przecież do treningów i udziału w zawodach, bo, jak twierdził, czuł jej potencjał. Zawsze zdecydowanie odmawiała. Jeszcze bardziej się zdziwił, gdy zapisała się na trzy konkurencje: sprint oraz średni i długi dystans.

– Dasz radę bez treningów?

– Trochę biegałam.

– W sumie im więcej zawodników, tym lepiej. – Uśmiechnął się i poklepał ją po plecach. – Musimy wyłonić najlepszych na spartakiadę, może to będziesz ty?

W sobotę biegała po torowisku i mierzyła sobie czas. Była w świetnej formie. Osiągała lepszy wynik na sto metrów niż reprezentantki szkoły na sześćdziesiąt. Na długim dystansie była najlepsza. W sumie obawiała się nie zawodów, lecz tego szumu, który miał nastąpić później. Stanie się osobą publiczną. Od tego momentu już się nie wymiga, będzie musiała startować we wszystkich zawodach szkolnych.

Czy Jarek jest tego wart? Wierzyła, że tak. Miała już dosyć tego bujania w obłokach, fantazjowania na jego temat, czuła, że osiągnęła stan gotowości do działania. Wykorzysta swoją szansę, dokładnie się do tego przygotowała. Jak pokerzysta postawiła wszystko na jedną kartę.

* * *

W poniedziałek weszła niezauważona do szatni dziewcząt. Hałas był tak potworny, że miała ochotę uciekać gdzie pieprz rośnie. Cała szkoła była uroczyście przystrojona, nie było lekcji, ci, którzy nie startowali, rozsiadali się na ławkach wokół boiska szkolnego, by oglądać zawody. Dziewczyny się rozbierały, paplały podniecone.

– Cześć, Ewka, przyszłaś nam kibicować? – zapytała Patrycja. – Fajnie z twojej strony.

– Nie. Pobiegam sobie z wami – odparła.

– Żartujesz! – naskoczyła na nią Beata. – Co to znaczy „pobiegam sobie”? To są ważne zawody, nigdy z nami nie trenowałaś. Odbiło ci?

– Może trochę. – Wzruszyła ramionami.

– Ty tak na serio? – dopytywała się Stenia.

– Jasne, to przecież tylko zawody naszej szkoły, wolno mi, no nie?

– Bez treningów nie masz szans – stwierdziła Patrycja.

– Okaże się.

– Jak tak, to się rozbieraj, zaraz będzie rozgrzewka na sali gimnastycznej – ponaglała Stenia.

Ich dyskusję przerwał gwizdek wuefisty. Stał w drzwiach do sali gimnastycznej i rozdawał numery startowe.

Szybko zdjęła dres i włożyła tenisówki. Dostała ostatni numer, siedemnasty.

– Widzę, że nie żartujesz. – Stenia podeszła do niej. – Daj, pomogę ci zawiązać te tasiemki.

– Dzięki.

Czuła na sobie spojrzenia wszystkich zawodników, słyszała szepty i chichoty, widziała, że sobie z niej żartują. Nikt nie potraktował jej poważnie, nie poczuł się zagrożony. Jarek nie podeszedł do niej, tak jak to sobie wymarzyła, tylko się jej przyglądał, a gdy ich oczy się spotkały, uśmiechnął się i podniósł kciuk, życząc jej tym gestem szczęścia. Podziękowała skinieniem głowy.

Reszta przebiegła zgodnie z jej planem. Trzy razy stawała na najwyższym stopniu podium, by odebrać złote krążki i dyplomy. Stała się sensacją dnia. Zaskoczyła całe grono pedagogiczne i wszystkich uczniów. Gratulacjom nie było końca. Najpiękniejszy był jednak moment, gdy podeszedł do niej Jarek. Mocno uściśnął jej dłoń i popatrzył zachwycony w oczy. On również był obwieszony medalami, ale jego zwycięstwa nikogo nie zdziwiły.

Dwa dni po zawodach zaproszono ich do pokoju nauczycielskiego; były ciastka, sok i przemówienia. W „Dzienniku Zachodnim” ukazał się duży artykuł o szkole i jej osiągnięciach wraz z relacją z zawodów i zdjęciami zawodników. Dyrektorka była bardzo zadowolona, a wuefista ogłosił oficjalny skład reprezentacji na spartakiadę.

Znalazła swoje nazwisko na liście. Nie miało to dla niej znaczenia. Tak naprawdę co innego sprawiało jej radość, coś bardzo ulotnego. Jarek, mijając ją na korytarzu szkolnym, uśmiechał się do niej tak jakoś ciepło, czasami zatrzymywał się i pytał o coś. Instynkt podpowiadał jej, że zaistniała w jego życiu. A na ile, przekona się niedługo. Cel pomocniczy osiągnęła w stu procentach, teraz czas na cel główny.

* * *

Układała na tacy stos minikanapek. Szklane miski pełne chipsów, paluszki, koreczki z sera, szynki i oliwek. Banany, mandarynki i musujące cukierki Zozole. Butelki z coca-colą i lemoniadą 7 Up. Kupiła dwa wina, ale na razie stały zamknięte w kuchennej szafce. Miała jeszcze wiaderko lodów waniliowych i orzechowych.

Na dzisiejszą imprezę zaprosiła wszystkich, którzy będą reprezentowali szkołę na spartakiadzie. Taki wymyśliła powód spotkania. Skład grupy był jej zupełnie obojętny, liczył się tylko Jarek. Wszyscy się znali, w końcu uczyli się w tej samej szkole, ale z nikim nie była naprawdę blisko.

Razem z nią będzie dzisiaj czternaście osób. To dwupokojowe mieszkanie od kilku lat nie gościło tylu osób naraz. Wszystko miała już przygotowane, musiała czymś zająć ręce, bo bardzo się denerwowała. Powodów do niepokoju było kilka, ale najważniejszym było spotkanie z Jarkiem.

To niesamowite, że już niedługo On wejdzie do jej mieszkania, usiądzie na wersalce lub krześle, będzie coś mówił, coś robił, czegoś dotykał, a gdy wyjdzie, pozostawi po sobie wspomnienia. Oby takie miłe, jak sobie wyobrażała. Nie, nic specjalnego, życie to nie filmowy romans, ale miała na-

dzięć na chwilę rozmowy w cztery oczy, taniec, może przytulenie... Będzie go dyskretnie obserwo-
wała, zapamięta każdy szczegół. Od dzisiaj już nie będzie w tym domu sama. Jarek zostawi tu tro-
chę siebie.

Pierwszy raz organizowała taką młodzieżową imprezę. Liczyła na dziewczyny, na ich obycie i do-
świadczenie. W końcu chyba wystarczy, że ona udostępniła lokal i zorganizowała wyzerkę? Wie-
działa, że powinna z każdym porozmawiać, sprawić, by dobrze się czuli w jej domu, że nie wolno
jej skupić uwagi tylko na jednej osobie. Ale chciała też dać sobie samej szansę, czuła, że to będzie
najważniejszy dzień w jej życiu. Zadbała o każdy szczegół.

Ubrała się w nowe dzinsy biodrówki i bluzeczkę trochę odsłaniającą brzuch. Musiała wyekspono-
wać to, co miała najlepsze: płaski brzuch i długie nogi. Wytuszczyła porządnie rzęsy, przez co jej
oczy zrobiły się wyraziste i ogromne, mogła nimi czarować. Nałożyła trochę różowego błyszczyku
na usta. Babcia powiedziałyby, że wytoczyła wszystkie działa. Ozdobiła nadgarstek trzema srebrny-
mi bransoletkami, które dostała rok temu na urodziny od Marleny. Nie nosiła ich, bo były od niej.
Dzisiaj nie miało to znaczenia.

Goście przychodzili grupkami w kilku rzutach. Dziewczyny ku jej zaskoczeniu przyniosły ciastka
i sałatki. Była babka murzynek upieczona przez mamę Tomka. Chłopcy mieli ze sobą wino i piwo.
Stenia od razu podłączyła do jej laptopa pendrive'a i cały dom wypełniła muzyka.

Atmosfera zrobiła się swobodna, fakt, że rodziców nie było i jak się upewniła Patrycja, nie wróca
na noc, bardzo się wszystkim spodobał. Ewa uprzedziła sąsiadów z naprzeciwka, że będzie miała
gości, a pani Pastuszkowa z parteru i tak była głucha.

Ona sama była bardzo spięta. Gdy tylko Jarek zbliżał się do niej, czuła, że się rumieni. To było ta-
kie niesamowite, że chodził po jej kuchni, układał puszki z piwem w jej lodowce i często się
do niej uśmiechał.

– Gdzie masz szklanki? Gdzie talerzyki? Pokroję tę babkę. Masz korkociąg? – Kuchnia była pełna
chętnych do pomocy.

W końcu większość zgromadziła się w pokoju, siadając, na czym się dało. Jedli, rozmawiali,
co chwilę wybuchali śmiechem.

Wreszcie Jarek poświęcił również jej trochę czasu. Wykorzystał moment, kiedy Grażyna zwolniła
krzesło obok niej, bo poszła do łazienki.

– Jest super! Fajnie to wszystko przygotowałaś. – Wskazał na zastawiony stół.

– To nie tylko moja zasługa, każdy coś przyniósł.

– Oj, jak zwykle skromna i nieśmiała. – Uśmiechnął się ciepło.

Ewa poczuła, że coś w jej brzuchu przyjemnie się rozpływa. Czyżby to były te słynne motyle?

– Wiesz, bardzo mnie zaskoczyłaś na zawodach. Pojęcia nie miałem, że jesteś aż tak dobra. Daw-
no o tym wiesz?

– O czym?

– No o tym, że tak świetnie biegasz. To nie spada ot tak, z nieba. Cały czas zastanawiam się nad tym, dlaczego trzymałaś to tak długo w tajemnicy.

– Biegać uwielbiam od zawsze, ale nie lubię tego szumu, no wiesz, medialnego. – Roześmiała się.

– W takim razie jesteś wyjątkowa. My wszyscy tutaj – machnął ręką – bardzo to lubimy, w końcu same z tego pożytki. Nauczyciele inaczej na ciebie patrzą i sporo ci wybaczą. Kumpłom to imponuje, a dziewczyny zabiegają o twoje względy. Rozumiesz? Jesteś kimś w szkole.

– Tylko dlatego, że biegam? To głupie.

– Nie dlatego, że biegasz. Tylko z tego powodu, że jesteś najlepsza, lepsza od innych, to się liczy.

– Ja biegam, bo tego chcę, bo lubię. I nie obchodzi mnie, czy to się komuś podoba, czy nie.

– A ta adrenalina na zawodach cię nie rajcuje? Wiesz, rywalizacja, udowadnianie, że jesteś lepsza od innych, choćby o ułamek sekundy. Potem stoisz na pudle, medal, zdjęcia, twoje nazwisko napisane dużymi literami...

– Nie wiem.

– Już niedługo się dowiesz. Spartakiada to dopiero wyzwanie. Twoimi przeciwnikami będą najlepsi biegacze z różnych szkół. A ty będziesz reprezentowała nasze barwy. Wiesz, jak to zobowiązuje? Poczujesz tę odpowiedzialność, gdy wszyscy na ciebie liczą.

– I tego właśnie nie lubię, to nie ma nic wspólnego z przyjemnością biegania.

– Bieżnia jest jak życie, żeby na mecie coś osiągnąć, mieć satysfakcję, odnieść sukces, musisz dać z siebie wszystko. Wystarczy, że troszeczkę sobie odpuścisz i czeka cię porażka. A to boli, bardzo boli.

– Nie, bieżnia to nie życie, to zabawa. W końcu zawsze się znajdzie ktoś, kto będzie lepszy od ciebie, to nie ma sensu. Sam bieg jest ważny, a nie zwycięstwo w wyścigu. Liczy się ta dzika radość z tego, że możesz tak pędzić przed siebie...

– Dostyc tego gadania – wtrąciła się Stenia. – Przyszliśmy się tu bawić!

– Nie przeszkadzaj nam. – Jarek był zły, że im przerwała.

– O nie! Skończcie już – poparła ją Grażyna. – Zagarnęłaś go tylko dla siebie, a mieliśmy potańczyć – zaatakowała Ewę.

– Tak. Zapraszam cię – powiedziała Stenia i wyciągnęła rękę do Jarka.

Na ten sygnał więcej osób wstało. Poprzesuwali krzesła, by zrobić miejsce do tańca. Bawili się wspólnie, wszyscy z wszystkimi, szybkie rytmy, dzika gimnastyka ciała, wygłupy, dużo śmiechu.

Ewa, spocona, poszła do kuchni, żeby napić się wody. Wszędzie wały się puste butelki. Wyjęła duży worek na śmieci i wrzuciła do niego puszki po piwie, kartony po sokach i butelki po napojach. Chciała to schować w rogu za drzwiami, ale okazało się, że Basia z Piotrkim namiętnie się tam całowali. Szybko opuściła kuchnię. Wkrótce się przekonała, że każdy kąt w mieszkaniu był okupowany przez jakąś parę. Największym powodzeniem cieszył się jej pokój. Pary między sobą ustalały kolejność.

Wybuchem szalonej radości przywitano okrzyk Grażyny, która szukając w kuchni cukru, znalazła w szafce dwie butelki wina. Ewa zupełnie o nich zapomniała. Ich zawartość została błyskawicznie rozlana i rozdana. Ona sama uświadomiła sobie, że nie wypła jeszcze ani kropli alkoholu, choć wcale nie dlatego, że go unikała. Jej kieliszek opróżnił ktoś inny.

Z czasem zmieniła się muzyka, popłynęły wolne kawałki dla tulących się par. Przygaszono światło.

Wreszcie uwagę wszystkich skupił telewizor. Andrzej znalazł na którymś z kanałów transmisję z meczu męskiej siatkówki. Grali nasi z Włochami. Zaczęło się wielkie kibicowanie, wyłączono nawet muzykę.

Ewa zorientowała się, że w pokoju brakowało Jarka i Steni. Sprawdziła – nie było ich w kuchni, przedpokoju ani łazience. Na drzwiach do jej pokoju ktoś przykleił taśmą kartkę z napisem „zakaz wstępu” i rysunkiem czaszki z piszczelami.

Wycofała się do kuchni. Nalała sobie wody z kranu. Dużo by dała za szklankę wina. Ręce jej się trzęsły, serce biło jak szalone. Była wdzięczna siatkarzom, że grali dobry mecz i skupiali na sobie uwagę wszystkich. Już miała wrócić do pokoju, gdy nagle usłyszała stłumione głosy przy drzwiach wyjściowych, czyjs płacz i trzaśnięcie drzwi. Chwilę później do kuchni wszedł Jarek. Bardzo się ucieszył na jej widok. Kładąc palec na ustach, chwycił ją za rękę i poprowadził do małego pokoju.

Przed drzwiami zatrzymała się i nie chciała dalej iść. Co on jej proponował?

– Proszę cię – mówił błagalnie. – Mam wielki problem.

– Jaki problem?

– Wielki. Sama zobacz.

Szybko podprowadził ją do jej tapczanu i odsłonił koc oraz kołdrę. Na prześcieradle widniała duża czerwona plama krwi, znaczna jej część odbiła się na odsuniętej teraz kołdrze.

– Musimy coś z tym zrobić, zanim wrócą twoi rodzice – wyszeptał bardzo przejęty. – Tak mi przykro. Pomożesz mi to wyprać?

Stała sztywna, sparalizowana jedną myślą. On uprawiał w jej łóżku seks z inną! Jarek, ten Jarek, dla którego zrobiłaby wszystko?

– Przepraszam. Jestem tak samo zaskoczony jak ty. Nie wiem, jak to się stało. Chyba za dużo wypiliśmy. Ona była taka chętna. Zawsze się chwaliła, że miała już wielu chłopaków. Dopiero teraz się okazało, że ja byłem pierwszy.

Przełknęła głośno ślinę i skinęła głową. Zrozumiał to po swojemu. Zaczął zdejmować prześcieradło i poszwę z kołdry.

Podeszła do komody i wyjęła z szuflady czystą pościel. Jarek zwinął brudną i sprawdziwszy, czy droga jest wolna, zamknął się w łazience. Zmieniła pościel, zaścieliła łóżko i przykryła kocem. Zapukała do łazienki. Płukał pranie w wannie.

– Polałem plamy vanishem.

Skinęła głową i otworzyła drzwiczki automatu. Wepchnął pościel i zamknął, głęboko przy tym wzdychając. Sięgnęła po ścierkę, by wytrzeć podłogę, gdy nagle drzwi do łazienki się otworzyły.

– Co wy tu robicie? – zapytała zaskoczona Grażyna.

– Ciii – powiedział Jarek. – Stenia za dużo wypila i obrzygała całą łazienkę.

– A gdzie ona jest?

– Uciekła do domu, a nam zostawiła sprzątanie.

– Coś ty?

– Tak. Ale nie mów nikomu, okej? Ja też zaraz znikam, muszę sprawdzić, czy dotarła bezpiecznie do domu.

– Dobra, dobra. Nie moja sprawa. Chciałam się tylko wysikać, można?

– Za chwilę. Zaraz skończymy.

Jarek wypchnął Grażynę za drzwi.

– Ewka. Jeszcze raz bardzo cię przepraszam. Będiesz miała kłopoty z rodzicami? Jak ci mogę pomóc?

– Poradzę sobie – wykrztusiła.

– To cześć, zmywam się. Uwierz mi, też jestem w szoku. Zaskoczyła mnie kompletnie. Później porozmawiamy.

Po meczu siatkówki zabawa już się nie kleiła. Chłopcy komentowali poszczególne sety. Basia z Grażyną pomogły jej zanieść naczynia do kuchni. Jakoś tak wyszło, że wszyscy jednocześnie zaczęli się zbierać do domu. Było już późno, chłopcy ustalali, kto którą dziewczynę odprowadzi. Romek zabrał ze sobą olbrzymi worek ze śmieciami, żeby jej rodzice nie widzieli tych butelek i puszek. Wszyscy dziękowali jej za wspianą imprezę.

Ewa z wielką ulgą zamknęła za nimi drzwi. Miała nadzieję, że chociaż oni dobrze się bawili, bo dla niej była to totalna klęska.

Zabrała swój koc i przeszła do dużego pokoju. Nie chciała się położyć do swojego łóżka. Nie po tym, co zobaczyła. Ta plama krwi... To cios w jej serce. Jakby kogoś zamordowano. Ale kogo? Nie kogo, tylko co. Jej miłość do Jarka. Wiedziała, że już go nie chce. Nie potrzebuje nikogo. Jaka była naiwna. Teraz nigdy nikomu nie zaufa.

Pogasiła światła w całym mieszkaniu, zostawiła włączony telewizor, wyłączyła tylko głos. Skuliła się na wersalce i nakryła kocem. Czuła się fatalnie. Została skrzywdzona. Nie po raz pierwszy. Los zawsze zabierał jej to, co było dla niej najważniejsze. Nigdy się nie skarżyła – przeciwnie, starała się nie sprawiać kłopotów i sama radziła sobie z problemami. Teraz miała dość. Dlaczego? To pytanie tłuło jej się po głowie.

Obudziła się, nie bardzo wiedząc, gdzie jest. Zesztywniała jej szyja, ręka zdrętwiała, pulsując tyściami igiełek. Usiadła. Było jej zimno, koc zsunął się na podłogę. Już miała sięgnąć po niego, gdy nagle jej wzrok przykuła scena na ekranie telewizora. Jakaś para kopulowała ze sobą. Mężczyzna

przytrzymał biodra kobiety i wykonywał rytmiczne ruchy, a jej duże piersi dyndały jak dzwony. Poczula gwałtowny skurcz żołądka i zanim zdołała temu zapobiec, wymiotowała na koc leżący pod stopami. Zerwała się na równe nogi, popatrzyła z obrzydzeniem na pobrudzone stopy i poczuła się potwornie zbrukana. Musiała natychmiast zmyć to wszystko z siebie. Pobiegnęła do łazienki, nerwowo zdejmowała z siebie ubranie, cała się trzęsła, drżące dłonie nie potrafiły odpiąć guzika przy dzinsach. W końcu się rozplakała, całkowicie bezradna. Szlochała z głową opartą o wannę. Zawodziła długo, rozpaczliwie. Ostatni raz jej się to przydarzyło, gdy wkładano trumnę Stasia do grobu, ale wtedy kilka osób starało się ją pocieszyć, przytulić, a teraz była przerażająco samotna.

Ocknęła się z uczuciem przejmującego zimna. Leżała skulona na kafelkach z lastriko. Trzęsła się, szczękała zębami. Błyskawicznie się rozebrała i weszła do wanny. Długo polewała się ciepłą wodą. Stopniowo dreszcze opuszczały rozgrzane ciało, robiło się spokojnie, sennie. Wrócił spokój. Mocno wytarła się ręcznikiem. Ubrała się i zaparzyła kubek herbaty.

„W domu jest bałagan. Muszę to wszystko pozmywać, wyprać, posprzątać. Nikt tego za mnie nie zrobi. Muszę to zrobić teraz, natychmiast” – myślała, ale nie ruszyła się z miejsca. Mózg rozumował prawidłowo, znalazł problem i jego rozwiązanie. Tylko ciało nie otrzymywało właściwych impulsów. Siedziało rozleniwione, trochę obolałe.

„Muszę usunąć wszystkie jego ślady, wyszorować każde miejsce, w którym był, każdą rzecz, której dotknął...”. I wtedy poczuła napływ energii. Zerwała się ochotczo, a jej ręce i nogi doskonale wiedziały, co robić. Zgarnęła cuchnący koc – to on sprawiał, że całe mieszkanie wypełniał ten fetor. W łazience zorientowała się, że najpierw musi wyprać zakrwawioną pościel. Tak, trzeba dokładnie usunąć wszystkie ślady. Zakasała rękawy swetra. Wypłukała wstępnie koc, umieściła go w misce, a do pralki wsypała proszek i dużo pachnącego płynu, włączyła odpowiedni program. I tak wypełniała punkt po punkcie. Zmywała, odkurzała, myła. Późnym popołudniem mieszkanie lśniło. W małym pokoju przy szeroko otwartym oknie wietrzył się koc, suszył wyszorowany tapczan. W łazience na sznurach pod sufitem wisiła pościel. Na koniec wymyła podłogi w całym mieszkaniu, nie mopem, lecz ręcznie ścierką, na kolanach, dokładnie. Stała przy drzwiach wyjściowych i lustrowała całe mieszkanie krytycznym okiem. Nagle coś jej się przypomniało. Pobiegnęła po ścierkę i wytarła wszystkie klamki w drzwiach. Koniec. Nigdy go tutaj nie było! Usunęła wszystkie ślady. Przebrała się w strój do biegania i wyszła z domu.

* * *

Pierwsze kilometry były trudne. Czowała opór mięśni i narastający ból głowy. Przed oczami przesuwały się sceny z mieszkania. Widziała Basię i Piotrka całujących się za drzwiami w kuchni, Andrzeja łaskoczącego roześmianą Grażynę, Kasię, która podwinęła koszulkę pod stanik i prezentowała tanię brzucha przed nosem zachwyconego Romka. Tyle szczegółów wylaniało się z jej mózgu. Kiedy

się to wszystko nagrało? A potem zobaczyła kopulującą parę, ostre pchnięcia mężczyzny i rytmicznie podskakujące wielkie piersi, oraz ten zmieszany, rozbiegany wzrok Jarka, gdy ciągnął ją za rękę do małego pokoju. Plamy świeżej krwi na prześcieradle i niezadowoloną minę Steni, której nie podobało się, że rozmawia z Jarkiem i „zagarnia go tylko dla siebie”. Nagle poczuła, że traci oddech. Pędziła przed siebie z taką siłą, taką prędkością, że serce nie nadążało i chciało wyskoczyć jej z gardła. Zwolniła. Wiedziała, że nie może się nagle zatrzymać, bo zemdleje. Już to przerabiała.

W oddali widziała światła lokomotywy. Dopiero teraz zauważyła, jak się ściemniło, nie miała pojęcia, która jest godzina. Odzyskała równy oddech, w końcu się zatrzymała. Zeszła z torowiska i próbowała ustalić, gdzie się znajduje. Po raz pierwszy miała z tym trudności, nie wiedziała, jak długo już biegła na oślep ani w którą stronę wystartowała. Jej mózg, zajęty odtwarzaniem, nie zarejestrował niczego. Wokół niej roztaczał się typowy widok śląskich torowisk, z jednej i drugiej strony nieużytki, hałdy porośnięte krzakami i chudymi drzewami. Z prawej strony widziała blaszane dachy garaży. Zaczęła iść w tamtym kierunku, może będą tam ludzie albo jakieś napisy informacyjne?

W jednym z garaży świeciło się światło, słyszała głosy kilku osób, zbliżała się powoli. I wtedy usłyszała ten krzyk:

- Odpierdol się, chuju, zabieraj swojego jebasa!
- Zamknij się, kurwo! Wszystkim dałaś, to i mnie się należy.
- Gównu prawda!
- A myślisz, że się byda pytoł?

Ewa zatrzymała się i schowała za pniem drzewa. Na trawie szarpały się dwie osoby, dwóch innych mężczyzn siedziało na jakichś drewnianych skrzynkach i się przyglądało. Usłyszała plaśnięcie, kobieta spoliczkowała mężczyznę, co doprowadziło go do furii. Uderzył ją mocno kilka razy, przytrzymał jedną ręką, a drugą manipulował przy spodniach. Kobieta wyła jak ranne zwierzę, ale już się nie szarpała. Mężczyzna kopulował ostro, jego jasny tyłek poruszał się rytmicznie, a widownia rechotała.

Nagle zza rogu wyłonił się jakiś mężczyzna. Rzucił torbę na ziemię i ruszył biegiem. Siedzący mężczyźni zerwali się ze skrzynek i zaczęli uciekać dokładnie w jej stronę. Tamten dopadł kopulującego, jednym ruchem oderwał go od kobiety, odrzucił na bok i zaczął z furią kopać.

Ewa nie wiedziała, co robić. Biegnący mężczyźni byli już zbyt blisko, by mogła niezauważona uciec. Instynktownie przytuliła się do pnia i wstrzymała oddech. Przebiegli obok, nie widząc jej. Dyszeli jak lokomotywy, w powietrzu unosił się fetor niestrawionego alkoholu.

Poczekwała jeszcze chwilę i cichutko wycofała się w stronę torowiska. Niewiele widziała, zrobiło się naprawdę ciemno. Zaczęła powoli biec przed siebie, byle dalej od tego miejsca. W końcu dobiegła do jakiejś stacji. Maksymalnie skupiła się na swoich stopach i podkładach kolejowych, żeby tylko nie kopnąć w coś i się nie przewrócić. Po jakimś czasie wiedziała już, że wybrała właściwy kieru-

nek. Czekala ją jeszcze jakaś godzina biegu.

Gdy tylko było to możliwe, opuściła torowisko, dalej poruszała się ulicami opustoszałego o tej porze miasta. Tu przynajmniej latarnie oświetlały jej drogę. Dotarła do domu zupełnie wyczerpana. Po szybkim, gorącym prysznicu owinęła się w szlafrok i natychmiast zasnęła.

Ojciec Artura

— Aldona, jak ty to robisz, że jesteś taka spokojna? Ja spać nie mogę, często boli mnie brzuch, głowa i wiem, że to stres, niepewność jutra. Zarząd zmienia pracowników jak rękawiczki. Już nikt nie może być pewny, że utrzyma pracę. Ciągłe tylko słyszymy „kryzys, bezrobocie”. Ludzie patrzą na siebie wilkiem – żaliła się Nina.

– No cóż, mówię sobie: „Ja jestem najlepsza” i tyle. – Uśmiechnęła się.

– Zazdroszczę ci, musisz być bardzo silna. Większość z nas żyje w nieustannym strachu, coraz więcej ludzi chodzi do psychoanalityka, pije jakieś ziółka uspokajające albo bierze tabletki. A co ty robisz?

– No wiesz, jak sobie z czymś nie radzę, to się modlę. – Wzruszyła ramionami. – Człowiek z czasem uczy się panować nad emocjami i rozwiązywać swoje problemy, ale jeżeli mnie coś przerasta, nie mam na to wpływu, to proszę o pomoc siły wyższe. Głową muru nie przebijesz, prawda?

– Mnie modlitwy nie pomagają, widać moja wiara jest za słaba.

– Wiesz, kiedyś gdzieś przeczytałam coś w tym stylu: „Gdy kończy się wiara, zaczyna się strach”. To mnie przekonało. Nie lubię się bać, wolę wierzyć.

– No, niegłupie – przyznała Nina. – Nie wiedziałam, że jesteś taka religijna, nie zauważyłam, że byś często chodziła do kościoła.

– Bo modlić można się wszędzie. – Aldona się uśmiechnęła. – Nina, a ty niepotrzebnie martwisz się na zapas, przecież na razie nikt nas nie wyrzuca i mamy umowę na czas nieokreślony. Pozbycie się nas drogo by ich kosztowało. To te nowo przyjęte mają się czym przejmować.

– Masz rację – odparła z uśmiechem. – Dobrze czasami porozmawiać. Moja babcia zawsze mi mówiła, że problem, którym się z kimś podzielisz, jest o połowę mniejszy i łatwiej go znieść. Miała rację.

Aldona przytaknęła, zgadzała się z tym, ale jednocześnie życie ją nauczyło, by o swoich problemach nie opowiadać. Im ludzie mniej wiedzą, tym lepiej, szczególnie w pracy. Bardzo lubiła Ninę, pracowały w tym hotelu najdłużej, ale nawet jej nie powiedziała o swoim największym zmartwieciu – Arturze.

Nie potrafiła o nim rozmawiać z nikim. Na szczęście Nina nie miała własnych dzieci i nie był to jej ulubiony temat do rozmów. Wiedziała tylko tyle, że Aldona sama wychowuje syna, który

ma problemy z nadwagą i choruje na serce.

Wracając z pracy, myślała o porannej sprzeczce z Arturem. Nie była miła. Od dawna przypominali dwoje obcych sobie ludzi, którzy chociaż używają tego samego języka, nie potrafią się zrozumieć. Tak bardzo brakowało jej jego ciepłego spojrzenia, przytulenia, rozmowy, wspólnego oglądania telewizji. Dlaczego dzieci tak szybko dorastają? Przestają nas potrzebować i robią się takie niedotykalskie.

Artur odziedziczył dużą inteligencję – nie, nie myślała, że po niej, choć uważała się za bystrą. Już jako naprawdę małe dziecko błyskawicznie opanował tajniki komputera i Internetu. Dzisiaj osiągnął taką biegłość, że nie była w stanie kontrolować jego działań. Patrzyła z podziwem, jak jego grubiotkie palce dosłownie tańczyły po klawiaturze, a obrazy na dużym monitorze migwały tak szybko, że jej wzrok prawie nie nadążał. Teraz to on przygotowywał dla niej niektóre materiały, błyskawicznie docierał do potrzebnych jej informacji. Miał zdolności językowe, biegle operował angielskim, hiszpańskim, polskim i japońskim. Sam się uczył, nigdy nie płaciła za lekcje. Zarabiał nawet jakieś pieniądze, które w całości przeznaczał na doskonalenie swojego sprzętu. Nie miała na to żadnego wpływu, przysiągł jej tylko, że to nie jest nic nielegalnego. Świat rozwijał się w takim tempie, że dorosłym coraz trudniej było nadążać za młodymi. Ostatnio częściej myślała o jego ojcu. To w końcu naukowiec, polski fizyk jądrowy. On z pewnością lepiej pokierowałby zdolnościami syna, tylko nie wiedział, że go ma.

Prawie osiemnaście lat temu spędzał tygodniowy urlop na Teneryfie. Niesamowita historia im się przytrafiła. Historia jednej nocy. Można by powieść o niej napisać.

To był dzień jej urodzin, dwudziestych dziewiątych. Tradycyjnie spędzała ten wieczór samotnie, podsumowując całe swoje życie i robiąc plany na najbliższy rok. Wypiła prawie całą butelkę wina i poszła na spacer wzdłuż brzegu oceanu. Był wyjątkowo upalny wieczór. Małą uroczystość z okazji urodzin zaplanowała na sobotę – zamówiła stolik w restauracji dla przyjaciół. Dzisiaj spędzała czas tak, jak lubiła najbardziej, sama w bliskim kontakcie z naturą.

Jej życie było dobre, pracowite, pozytywne. Małymi krokami budowała swoją przyszłość. Już jakiś czas temu zrobiła kreskę, a właściwie grubą czerwoną krechę w swoim życiorysie. Uznała datę wyładowania na Teneryfie za swój początek, swoje narodziny. Wszystko, co się działo pod kreską, zepchnęła w niepamięć. Chociaż czasami podświadomość robiła jej psikusy, jak dzisiejszej nocy.

Śniło jej się podwórko, rodzinny familok w Chorzowie. Schodziła po schodach. Na ceglany murku siedziały okrakiem jej koleżanki i plaskając w dłonie, wybijały rytm i głośno deklamowały:

Pani Zo, pani sia

Pani Zosia męża ma

A ten mąż, mąż, mąż

Pije wciqż, wciqż, wciqż

A co?

Wódkę.

Na jej widok dziewczynki przyspieszyły wyliczankę i prawie krzyczały, a potem śmiały się złośliwie. Uciekała w stronę ulicy. Czuła się podle, bo to jej mama miała na imię Zosia, a jej ojciec pił wódkę i często wracał pijany do domu, zataczając się na oczach sąsiadów. A potem wybuchała u nich awantura na całą kamienicę.

Ta zwykła zabawa podwórkowa pasowała do ich sytuacji i piętnowała ją dosadnie. Chciała uciec z tego podwórka jak najdalej, ale z jakiegoś powodu, mimo że biegła z całych sił, nie mogła dotrzeć do ulicy. W końcu, zdyszana, się obudziła.

Nie rozumiała tego podarunku urodzinowego swojej podświadomości – po co podsuwała jej te sceny z dzieciństwa? O śmierci ojca dowiedziała się przypadkiem, zapił się pół roku po pogrzebie mamy. Podobno nie mógł bez niej żyć, a przecież bił ją, znęcał się nad nią, zamienił jej życie w koszmar. Na szczęście ulubione wino poprawiło jej nastrój, piękne słońce, palmy, widok oceanu sprawiały, że ten sen szybko stał się niewiarygodny – jakiś koszmar z innej bajki, którym nie warto się przejmować.

Spotkała Wiktora na plaży, między skałami, ze spuchniętą, poranioną stopą. Starszy od niej, czterdziestolatek, szpakowaty, zadbany i... mówiący po polsku. To była miła niespodzianka. Przyjemnie im się rozmawiało. Mówił tak ładnie, pełnymi zdaniami, taką poprawną polszczyzną. Od razu wyczuła, że pochodził z tak zwanego dobrego domu. Grzeczny, kulturalny, jak określała takich Nina – z górnej półki. Był bardzo ciekawy, jak się żyje Polce na tej rajskiej wyspie. Jak tu dotarła? Czym się zajmuje?

Po godzinnej rozmowie zaprosiła go do swojego domu. Postanowiła opatrzyć mu stopę, zanim go wsadzi do taksówki. Rozcięcie skóry nad kostką wyglądało na mocno zanieczyszczone.

Wypili jednak kolejną butelkę wina i stało się. Złamała wszystkie swoje zasady. Jakaś niesamowita chemia ich połączyła. Wiktor miał magię w oczach. Gdy tylko na nią spojrzał, uśmiech natychmiast rozświetlał jej twarz. Nie była w stanie nad tym zapanować. Sprawdzała więc ich działanie nieustannie i uśmiechała się, i czuła się bardzo szczęśliwa. Jego oczy były zawsze gotowe, by mogła w nie zajrzeć. Ciepłe, brązowe jak kasztany jesienią. Otwarte i szczere.

Kochali się tylko raz. Kilka tygodni później zorientowała się, że jest w ciąży. Ten prezent od losu – urodzinowy – przyjęła z wielką wdzięcznością. Pragnęła dziecka, ale nie chciała mieć męża. Zbliżyła się do trzydziestki i to był najlepszy moment na potomka. Miała świadomość, że jej zegar biologiczny bije coraz głośniejsze. Miewała mężczyzn, ale pamięć o życiu matki skutecznie ją blokowała. Bała się trwałych związków, bardzo sobie ceniła swoją niezależność oraz spokój i bezpieczeństwo w domu. A może po prostu nie spotkała tego jedyne?

Nie poinformowała go o tym, że zostanie ojcem, chociaż miała jego wizytówkę – Wiktor Malewski. Nie starała się dowiedzieć o nim czegokolwiek. Nawet nie zainteresowała się, czy był żonaty, czy miał już dzieci. Nie chciała budować życia na czymś, co było niepewne, kruche i zmienne.

Za to była wdzięczna losowi, że jej syn odziedziczył bardzo dobre geny. Miał przystojnego, kulturalnego i bardzo mądrego ojca. Czego chcieć więcej?

Zachowała tylko tę wizytówkę – dowód, że istniał, że to nie było niepokalane poczęcie. Nie pamiętała jego twarzy, tylko te oczy i ich moc. Do dzisiaj na samo wspomnienie o nich uśmiech natchmiast pojawiał się na jej twarzy. Takimi oczami patrzył na nią Artur, do czasu. W którymś momencie, trudnym do ustalenia, zabrakło w nich tych ciepłych iskier.

Milczała do teraz. Kiedy dowiedziała się o chorobie syna i wykorzystała wszystkie dostępne możliwości ratunku, uznała, że z tak dużym problemem sama sobie nie poradzi. Szukała pomocy dla Artura wszędzie. I chociaż wiedziała, że ten ruch to ostateczność, zdecydowała się również na to.

* * *

Poszperała w Internecie i bez większego problemu namierzyła Wiktora. Takich osób jest w końcu niewiele. Instytut Fizyki Jądrowej Polskiej Akademii Nauk w Krakowie. Profesor doktor habilitowany Wiktor Malewski. Centrum Cyklotronowe. Od samego czytania tych wszystkich nazw i tytułów w głowie się kręciło.

Napisała do niego e-maila, wpisując w temacie słowo „Teneryfa”. Chciała, by jej wiadomość wyróżniła się w jego korespondencji, by wzbudziła zainteresowanie i odświeżyła jego pamięć.

Przedstawiła się, poinformowała go, że jest ojcem biologicznym jej syna, i poprosiła o pomoc w ratowaniu jego życia. W załącznikach przesłała zeskanowaną diagnozę lekarzy, wykaz leków i zabiegów, wyniki ostatnich badań.

Trzy dni pisała i kasowała tekst, starała się, żeby był rzeczowy, pozbawiony zbędnych emocji, konkretny. Wreszcie przerażona świadomością rewolucji, jaką ten list może wywołać w życiu adresata, kliknęła „wyślij”.

Przez kolejne trzy dni czekała, sprawdzając po kilkanaście razy dziennie swoją pocztę. Cisza z jego strony na początku wydawała się usprawiedliwiona, później zaczęła niepokoić, drażnić, a na koniec wywołała wielkie rozgoryczenie i złość. Przecież chodziło o życie jego syna! Spodziewała się oczywiście, że Wiktor zażąda badań DNA na potwierdzenie ojcostwa albo wyśle list z pretensjami (w końcu pozbawiła go uroków rodzicielstwa), a nawet taki obraźliwy, pełen wyzwisk, z żądaniem, by się od niego odczepiła. Wszystko byłoby lepsze od tego lekceważącego milczenia.

Po tygodniu wysłała tę samą wiadomość jeszcze raz. Może wyjechał albo był na jakimś sympozjum? W końcu to naukowiec. Może jej e-mail utonął w masie korespondencji? Kolejne dni bez odpowiedzi były już ciężką zniewagą. Czyżby aż tak się pomyliła w ocenie tego mężczyzny? Nie mogła jednak uwierzyć, że przez tyle lat żyła w mylnym przekonaniu, że tę najważniejszą noc w życiu spędziła z uczciwym, sympatycznym człowiekiem.

Poczuła się bezsilna, zlekceważona, nie była w stanie się z tym pogodzić. Od czasów dzieciństwa

nikt jej tak nie potraktował. Była osobą szanowaną, lubianą, docenianą. Jak on śmiał? Nie była nikim. Gdyby nie choroba Artura, jak najszybciej wyrzuciłaby go z pamięci, ale niestety był jej ostatnią szansą. Nie mogła się unieść honorem i zrezygnować. Ceną byłoby życie syna. Co mogła zrobić?

Uparcie wysyłała mu ten list codziennie, a później po kilka razy dziennie. Postanowiła, że zaleje mu pocztę. Przynajmniej nie będzie mógł udawać, że tego e-maila nie dostał.

W nocy analizowała swoje życie, podejmowane decyzje i ich skutki. Rozumiała siebie z tamtych lat i była dumna, że postawiła na niezależność, samowystarczalność. Przypomniła sobie, jaka poczuła się niegodna, gdy dowiedziała się, że urodzi dziecko znanego naukowca. Sama sprzątała wtedy hotelowe pokoje. Żyli w tak różnych światach. Ale dzisiaj miała świadomość własnej wartości i szacunek dla samej siebie.

Minęło piętnaście dni, aż wreszcie doczekała się odpowiedzi. List był grzeczny, suchy, z instrukcją. Tak jak się spodziewała, chciał badań potwierdzających jego ojcostwo. Miała przyjechać z dzieckiem do Polski, ponieważ on nie mógł podróżować ze względu na zły stan zdrowia. Na koniec poprosił o kilka zdjęć chłopca.

Tego, że on może być chorym człowiekiem, zupełnie nie brała pod uwagę. Doszukała się informacji, że ma pięćdziesiąt sześć lat. To na dzisiejsze czasy nie był podeszły wiek. Nie napisał, na co choruje, ale bardzo prawdopodobne, że na serce. Pewnie to po nim Artur odziedziczył tę wadę.

Niestety nie mogła wyjechać do Polski. Nie wiedziała, jak taki długi lot wpłynie na stan Artura, musiała go chronić od takich emocji i przeżyć. Napisała o tym Wiktorowi.

Tym razem odpowiedź przyszła szybko. Zdecydował, że w zaistniałej sytuacji jednocześnie wyślą sobie materiał do badań i zrobią je równolegle, on w Polsce, ona na Teneryfie, a następnie podzielią się ich rezultatami.

Ona nie miała żadnych wątpliwości, dla niej to była formalność, ale wyobrażała sobie, co przeżywał Wiktor. Czuła się z tym fatalnie.

Czekał ją też koszmar poinformowania Artura o całej sytuacji. Gdy był mały i zapytał o ojca, powiedziała mu, że zginął w wypadku samochodowym, zanim wzięli ślub i zanim w ogóle zdążyła mu powiedzieć o tym, że będą mieli dziecko, i dlatego Artur nosi nazwisko matki. Zapewniła go, że był owocem wielkiej miłości i dlatego ona nie wyszła za mąż za nikogo innego, a on nie miał rodzeństwa. Malec zaakceptował tę wersję i więcej o ojca nie pytał.

Teraz musiała się przyznać do kłamstwa i wyjawić mu prawdę. Nie miała pojęcia, jak zareaguje nastolatek, z którym i tak miała trudny kontakt. To najgorszy czas w życiu dziecka, te buzujące hormony, dojrzewanie fizyczne i psychiczne. Wiele czytała na ten temat.

Jeszcze jej ufał, ponieważ nigdy dotąd go nie okłamała – teraz wszystko mogło się zmienić. Musiała to jednak zrobić, bo chciała ratować jego życie. Postawiła wszystko na jedną kartę, ponieważ Artur nie pozostawił jej wyboru. On się poddał, zrezygnował z walki, stracił nadzieję.

Wiedziała, że jedynym ratunkiem dla syna jest przeszczep serca. Pół roku temu wpisano go na listę oczekujących, bardzo długą listę. Mieli nie tracić nadziei, ale jednocześnie lekarze nie ukrywali, że szanse są niewielkie.

Afera treningowa

Na pierwszą lekcję nie zdążyła. Chciała w ogóle odpuścić sobie dzisiaj szkołę, ale jak pomyślała, że zostanie w domu sama ze swoimi myślami, to szybko się ubrała i wyszła. Na ulicy zapach pieczywa wywołał silny skurcz żołądka, wstąpiła więc do Żabki i kupiła dwie drożdżówki. Rzuciła się na pierwszą zgłodniała, uświadamiając sobie jednocześnie, że ostatni raz jadła... tak, w sobotę na imprezie. Wczoraj nawet nie pomyślała o jedzeniu.

Woźna pogroziła jej palcem, musiała specjalnie dla niej otworzyć szatnię. Powiesiła tylko kurtkę, nie chciało jej się zmieniać obuwia. Na szczęście miała na sobie adidas, nikt nie powinien się czepiać.

Poszła w stronę sali gimnastycznej, bo właśnie tam, w rogu korytarza, stała szafa z napojami, a bardzo chciało jej się pić. Wybrała puszkę coli i butelkę wody mineralnej. I wtedy ryk dzwonka na przerwę niemal ją ogłuszył. Do tej pory, a przychodziła tu codziennie przez prawie dwa lata, nie zauważyła, że był tak przeraźliwie głośny. Korytarze na wszystkich piętrach wypełniły się uczniami. Szum wielu głosów odbijał się w jej mózgu głośnym echem.

Wszystko ją drażniło: trzaskanie drzwiami, nawoływania, wybuchy śmiechu. Wypiła łączywie całą puszkę coli, gaz wstrząsnął ostro jej żołądkiem i podrażnił nos. Ruszyła w stronę schodów, następną lekcję miała na pierwszym piętrze. Wchodząc do klasy, omal nie zderzyła się z Grażyną.

– O, jesteś. To fajnie, bo już się martwiliśmy, że coś ci się stało.

– Spoko, zasnęłam.

– Dobrze ci, moja matka stawia mnie na nogi o wpół do siódmej, bo muszę jeszcze odprowadzić siorę do przedszkola.

– Ewa, jesteś – zawołała Patrycja, machając do niej z ławki. – Już się bałam, że będę sama siedziała na tej kartkówce.

Zanim dotarła na swoje miejsce, zatrzymała ją jeszcze Beata.

– Słuchaj, Jarek cię szukał. I wuefista chciał z tobą rozmawiać, by ustalić godziny treningów. Myśleliśmy, że to jakaś epidemia was zdziesiątkowała, bo Stenia też nie przyszła, pochorowała się. I Romka nie ma.

Kolejny dzwonek zagłuszył wszystko. Nie musiała nic mówić. Z ulgą usiadła na swoim krześle.

Teraz wołała czas lekcji – toczyły się utartym schematem. Za to przerwy w niczym nie przypominały.

nały tych sprzed zawodów. Nagle stała się rozpoznawalna, wszyscy się do niej uśmiechali, zagadywali, nawet dziewczyna z młodszej klasy uparła się, by koniecznie skorzystała z toalety przed nią, chociaż była kolejka.

Ona sama unikała wszystkich miejsc, w których mogła spotkać Jarka. Znała je dokładnie. Chodził do równoległej klasy, miał swoje przyzwyczajenia, Ewa mogła z pamięci wyrecytować jego plan lekcji. Do tej sobotniej imprezy chciała być blisko niego, by móc go obserwować, dyskretnie oczywiście i tak jakby mimochodem, żeby się nie domyślił, jaki jest dla niej ważny. Prychnęła pogardliwie do swoich myśli – jaka była naiwna, głupia!

Teraz zrobiłaby wszystko, by go nie oglądać. Wiedziała, że w szkole nie jest to do końca możliwe, ale mogła ograniczyć kontakty do minimum, wykorzystując właśnie dotychczasową wiedzę o nim. Do piątej lekcji udało jej się go nie spotkać. W końcu czekał na nią przed drzwiami jej klasy i nie miała już pola manewru.

– Cześć. Nie wiedziałem, że tak trudno cię namierzyć w szkole, szukałem cię od rana.

– Coś się stało?

– Oczywiście, że tak. Jak możesz pytać! Nie mogę sobie z tym wszystkim poradzić, nie jestem w stanie przestać o tym myśleć.

– Spokojnie, wszystko wyprałam i posprzątałam. Rodzice o niczym nie wiedzą. Nikt o tym nie wie.

– Dzięki. Nie chciałbym, żebyś miała przeze mnie jakieś problemy. – Zamilkł.

– Jak widzisz, nie musisz się o nic martwić. – Uśmiechnęła się i chciała szybko odejść.

– Ewka, zaczekaj. – Przytrzymał ją za ramię. Popatrzył jej w oczy i się zarumienił. – Nie mam z kim o tym pogadać, mógłbym z tobą? Tylko do ciebie mam zaufanie...

– Nie. Właśnie ze mną nie możesz – przerwała mu ostro.

– Dlaczego? – zdziwił się szczerze.

– Domyśl się.

– Nie rozumiem.

– Trudno. To twój problem. Myślę, że przede wszystkim powinieneś porozmawiać o tym, co się stało, ze Stenią. – Poprawiła pasek torby wiszącej na ramieniu i zdecydowanie ruszyła w stronę szatni. Zostawiła go kompletnie zdezorientowanego.

Boże, on naprawdę niczego się nie domyślał. Co ona sobie wyobrażała? Dlaczego wydawało jej się, że coś ich łączy? Bo był dla niej miły, kilka razy się uśmiechnął? Idiotka, idiotka do kwadratu! Mama miała rację, to chłopak powinien zabiegać o jej względy, powinien udowodniać, jak bardzo mu na niej zależy.

Szybko opuściła szkołę. Na trening się nie wybierała, chociaż wiedziała, że będą z tym duże problemy. Przemyślała sobie wszystko. Prawdą jest, że zobowiązała się reprezentować szkołę na spartakiadzie, ale nikomu nie obiecywała, że będzie z nimi trenować. Bieganie zawsze było jej prywatną

sprawą, najbardziej osobistą, którą zdradziła dla Jarka, niestety. Nie zniosłaby żadnych uwag na ten temat. Jeśli chcą, żeby startowała, to będzie, ale na własnych warunkach.

* * *

Tak jak się spodziewała, rozpętała się burza. Gdyby mogła przewidzieć, jak się to wszystko skończy, gdyby wiedziała, jakim człowiekiem jest Jarek, nigdy nie wystartowałaby w tych szkolnych zawodach. Bardzo żałowała, że nie można cofnąć czasu.

– Jak się powiedziało A, to trzeba powiedzieć B – denerwował się ojciec.

Został wezwany w trybie pilnym do szkoły.

– Oni ci teraz nie dadzą spokoju, zrozum to wreszcie. Pokazałaś, że coś umiesz, że mogą to wykorzystać i nie pozwolą sobie tego odebrać. Musisz chodzić na te treningi i tyle.

– Nie muszę! – Starła się mówić cicho, spokojnie, ale zdecydowanie. – Zgodziłam się na start w zawodach, ale nie obiecywałam, że będę chodziła na treningi.

– Tak, ten wuefista to potwierdził. Ale jego zdaniem bez treningów nie dasz sobie rady. Ważna jest technika biegania, dobry start, prawidłowe rozłożenie sił i takie tam. To nawet logicznie brzmi. Dyrektorka myśli tak samo, w ogóle nie rozumieją tego twojego uporu. Nikt ci nie chce zrobić krzywdy, wszyscy chcą pomóc. A ja ci tylko przypominam, że za rok zdajesz maturę.

– Wiem, ale ja nie potrzebuję ich pomocy. Nie będę traciła czasu ani sił na trenowanie. Wiesz, ile to godzin tygodniowo? Zrozum, tato, mnie nie obchodzą medale i dyplomy. Leżą te blaszki w szufladzie i co z tego mam? Same kłopoty. Wszyscy nauczyciele, z różnych przedmiotów, próbują mnie namówić na treningi. Nikogo już nie interesuje, że powinnam się przede wszystkim uczyć? Wiesz, że chcę studiować psychologię i że nie stać nas na prywatne lekcje. Połowa klasy już chodzi na korepetycje, a ja muszę im dorównać. Biegam od dziecka, bo lubię, a nie po to, by jakieś dyplomy wisiały mi na ścianach.

– Ale ty jesteś uparta, córeczko, ciężko ci z tym będzie. A nie pomyślałaś, że z tymi medalami łatwiej by ci było w życiu? Masz taki dar, to go wykorzystaj.

– Nie, tato. To by oznaczało, że jakiś trener będzie sterował moim życiem, będzie mi mówił, jak mam biegać, kiedy biegać, a nawet co jeść i kiedy iść spać. To nie jest życie dla mnie. Ja się na olimpiadę nie wybieram.

– I co z tobą zrobić? – Ojciec się wycofywał. – Oni myślą, że jak ja ci każę, to ty tak zrobisz. Ale córeczko, dla mnie najważniejsze jest, żeby tobie było dobrze. Przemyśl jeszcze raz, co ci się bardziej opłaci. Teraz jesteś sama przeciwko wszystkim. Ja nigdy taki nie byłem, zawsze starałem się nie wychylać. Ty widać nie we mnie, lecz w matkę się wrodziłaś. Ona potrafiła się uprzeć.

– A gdzie ona jest teraz? – wyrwało się jej.

Ojciec zmieszał się i spuścił głowę.

– Nie wiem. Ale zdaję sobie sprawę, że boli cię to, że ja już na nią nie czekam. Młoda jesteś, nie zrozumiesz. A poza tym, matka to matka, dla ciebie zawsze będzie dobrym człowiekiem, choćby nie wiem, co zrobiła.

– A nie była?

– Była, tylko życie ją złamało... A mówi się, że Bóg nie zsyła człowiekowi krzyża większego, niż może unieść... Widać nie do końca tak jest.

– No dobrze, a gdyby nagle się znalazła, to co byś zrobił? Byłbyś z mamą czy z Marleną?

– Nie wiem, nie pytaj mnie o to, wystarczy, że Marlenka ciągle pyta. Widzisz, żyje ze mną, a nawet nie wie, czy z wdowcem, czy z żonatym. Jej też nie jest łatwo.

– Wybacz, ale ona doskonale wie, co robi. Wszystkim mówi, że do niej należysz, że za kilka lat sąd uzna w końcu mamę za zmarłą i weźmiecie ślub – zaprzeczyła stanowczo.

– Tak, ale w Polsce trzeba na to czekać dziesięć lat. To ją wykańcza, bo chciałyby być legalną żoną, chciałyby mieć ze mną dziecko.

– A, rozumiem.

– Wszystkim nam jest trudno – powiedział cicho. – A wiesz, co o mnie ludzie mówią? Że się świetnie urządziłem. Mam kobietę o sześć lat młodszą od żony, mieszkam sobie w domku jednorodzinny, a jedyne dziecko zostawiłem na łasce starej teściowej...

– Tym się nie przejmuj – przerwała szybko tę wyliczankę. – Ja mam wszystko, czego potrzebuję, i świetnie sobie radzę. Wiesz, bardzo żałuję, że brałam udział w tych głupich zawodach. To było zupełnie niepotrzebne, teraz za dużo ludzi się nami interesuje. Nie lubię, jak się ktoś wtrąca w moje życie.

– Tak, nie pozwolisz sobie w kaszę dmuchać. – Uśmiechnął się z podziwem. – Chociaż jeszcze dzieckiem jesteś...

– Przestań, tato, jakim dzieckiem? Już to przerabialiśmy, mamy umowę, pamiętasz? Ja się uczę, jestem grzeczną dziewczynką, czyli nie piję, nie palę i się nie puszczam, a ty dbasz o resztę. Przyznaj, że dotrzymuję słowa. Nie możesz narzekać.

– Za to ty możesz. Nie mogłem przewidzieć, że babcia się tak nagle rozchoruje i zostaniesz sama. A z Marleną nie potraficie się dogadać...

– Czasami tak bywa. – Wzruszyła ramionami. – Musimy wytrzymać jeszcze te parę miesięcy, później będę pełnoletnia i nikt się już nie będzie czepiał. Dobrze jest, jak jest. A poza tym, gdyby mama się jednak odnalazła, to będzie miała dokąd wrócić, pilnuję mieszkania.

Ojciec pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Zadzwoń, proszę, do szkoły i powiedz im, że ja wolę trenować sama. Udowodniłam przecież, że dobrze to robię, skoro zdobyłam wszystkie ich medale. Jak chcą, to mogę ich reprezentować, a jak nie chcą, to też nieźle, bo nie planuję sportowej kariery.

– Dobrze – westchnął ciężko.

– A, i wspomnij jeszcze, żeby już na mnie nie naciskali, okej?

– Dobrze, dobrze. – Machnął ręką. – A ty zajrzyj do babci, bo skarży się, że rzadko ją odwiedzasz.

– Obiecuję, że jutro po szkole do niej wpadnę.

Po wyjściu ojca od razu się położyła. Nie czuła się najlepiej, rozboleła ją głowa. Bała się rozchorować, bo wtedy czuła się naprawdę bezradna, bardziej tęskniła za mamą i rozklejała się zupełnie. To nieprawda, że świetnie sobie radziła, były takie dni, a szczególnie wieczory, gdy myślała, że oszaleje z samotności. Oddałaby wtedy wszystko, by ktoś ją przytulił, pogłaskał po głowie, powiedział, że jest śliczna, mądra, dobra, żeby zrobił jej gorące kakao i zapewnił, że wszystko będzie w porządku.

Mama zniknęła prawie sześć lat temu, a ona ciągle miała wrażenie, że za chwilę wróci. Wiedziała, że to irracjonalne myślenie. Minął w jej życiu czas dzieciństwa, ale w jej mózgu zakodowało się wielkie czekanie na powrót mamy, na wyjaśnienie tajemnicy jej zniknięcia, na matczyną miłość, która jej się po prostu należała.

* * *

W szkole się uspokoilo, znikł temat treningów. Niby było jak dawniej, jednak czuła, że to tylko pozory. Obserwowano ją, nauczyciele częściej wywoływali ją do odpowiedzi, i to ze wszystkich przedmiotów. Teraz rzeczywiście dużo się uczyła. Nie chciała dostarczać im tematów do komentarzy. Wreszcie sama zauważyła, że systematyczna, solidna nauka daje jej coraz więcej satysfakcji. Im więcej wiedziała, tym więcej chciała się jeszcze dowiedzieć. Odwiedzała też częściej babcię. Jadła u niej obiady, grała w remika. Dużo rozmawiały – teraz chciała się dowiedzieć jak najwięcej o mamie. Uważnie słuchała historyjek z dzieciństwa i młodości mamy, nie przeszkadzało jej, że niektóre słyszała już po raz kolejny. Babcia uwielbiała te wspominki i nie dopuszczała do siebie myśli, że jej córka nie żyje. Codziennie czekała na wiadomość od niej i się modliła.

– Wiesz, Ewuniu – mówiła – teraz, gdy otworzyli wszystkie granice, mogła wreszcie wyjechać. Zawsze marzyła o dalekich podróżach. Tylko czasy były wtedy inne. O tych dziwnych krajach mogła tylko w książkach przeczytać albo posłuchać u Toniego Halika w telewizji. Podobno dziś każdy może wyjechać za granicę, kiedy tylko chce.

Ewa nie protestowała, kiwała głową, nie chciała zabierać babci nadziei.

Trochę sama pragnęła w to wierzyć. Niech mama żyje, pracuje i mieszka sobie gdzieś. Chciałaby tylko wiedzieć, dlaczego o niej zapomniała. Dlaczego? Co takiego zrobiła, że własna matka ją porzuciła? Czy kiedyś pozna prawdę?

Gdy dopadały ją takie pytania, wkładała tenisówki i znikła na torowisku. Wiatr musiał chłodzić jej głowę, mięśnie musiały omdlewać ze zmęczenia, a pot zalewać oczy – wtedy odzyskiwała spokój, demony zniknęły. Bieg ją wyzwalał, uwalniał moc. Czuła się tak, jakby mogła uciec od wszystkiego,

co obce i niemiłe.

Jarek przestał ją interesować. Jeszcze parę razy czekał na nią po szkole i chciał rozmawiać, ale zdecydowanie odmawiała, więc w końcu zaczął ją ignorować. Czasami spotykała go w towarzystwie Steni, ale najczęściej chodził z chłopakami. Wiedziała, że intensywnie trenują, zbliżał się czas spartakiady, a równocześnie koniec roku szkolnego.

Któregoś wieczoru zmęczona powtórką z chemii obejrzała w telewizji jakieś zawody lekkoatletyczne. Obserwowała z uwagą zachowania zawodników, napięcie przed startem widoczne na ich twarzach. Wielkie skupienie, sposób, w jaki trzymali ręce, stawiali stopy. Na pierwszy rzut oka potrafiła rozpoznać, który zawodnik źle rozłożył siły i przepadnie przed metą. Wykonywał coraz gwałtowniejsze wymachy ramion, coraz niżej pochylał sylwetkę, a otwarte usta z trudem łapały powietrze. Bardzo ją to zainteresowało. Teraz codziennie przed snem oglądała jakieś zawody, podglądała, jak biegali najlepsi. Sporo materiału bez trudu znalazła w Internecie. Sama próbowała wprowadzić korekty do swojego biegania, jednak większość po kilku próbach odrzucała. Od lat miała wypracowany swój sposób biegania, który najlepiej minimalizował zmęczenie. Postanowiła zaufać instynktowi.

Coś jednak zmieniła. Obcięła krótko włosy, ubierała się teraz w ciemne dżinsy i bluzy, szczególnie gdy wybierała się na torowisko. Starła się, by nie wyglądać jak dziewczyna. Polubiła swoje małe piersi, prawie niewidoczne pod luźną koszulką. To nie tylko zmniejszało opór powietrza w czasie biegu, ale dawało jej większe poczucie bezpieczeństwa.

W końcu przejrzała swoje ubrania i wyrzuciła wszystko, co nie było czarne lub białe. I tak zupełnie niespodziewanie narodził się jej nowy, świadomy styl ubierania się. Manifestował jej czarno-białe widzenie świata. W szkole szybko to zauważono, od razu dostała nową ksywkę: Zebra.

Kupiła sobie nawet dodatki w tych kolorach na specjalne okazje, znalazła wisiorek i kolczyki w czarno-białe pasczki, białe i czarne bransoletki. Nosiła do czarnych dżinsów na zmianę biały lub czarny pasek. Szaliki, buty, swetry, torebki – wszystko w czarno-białe paski, kratki, koła, kropki.

Pasowało to do jej nowej filozofii życia. Teraz lubiła jasne sytuacje. Bardzo chciała mieć pewność, co jest dobre, a co złe. Co może zaakceptować, a co zdecydowanie odrzucić. Żadnych kolorków i podbarwień, żadnych różowych okularów. Skończyła z naiwnością, ufnością, łatwowiernością.

* * *

– Ewa, oszalałaś! Co ty robisz, drożdżówka?! – zaatakowała ją Patrycja. – Nie wolno ci teraz przytyć.

– Hej, uspokój się. Kto przytyje od jednej drożdżówki? – Popatrzyła na koleżankę. – A tobie by się nawet trochę przydało, bardzo schudłaś ostatnio – zauważyła.

– Tak trzeba. Im mniej wazysz na starcie, tym szybciej biegniesz, nie wiesz o tym? Zero tkanki tłuszczowej, to podstawa. Tylko mięśnie. Dieta i treningi...

– Gadanie! – przerwała jej. – Popatrz na siebie. Jeśli nie będziesz jadła, to skąd weźmiesz siłę, by dobiec do mety?

– Boże, jak ty nic nie rozumiesz – zdenerwowała się Patrycja.

– O co się kłóćcie? – wtrąciła się Grażyna.

Ewa machnęła ręką zniecierpliwiona i chciała odejść, rozdrażniła ją ta rozmowa.

– Poczekaj, na dużej przerwie masz się zgłosić do wuefisty – poinformowała ją Grażyna.

– Nie wiesz, o co chodzi?

– Pewnie o ten weekendowy wyjazd do Wisły, tak myślę.

– Jaki wyjazd?

– Ty nic nie wiesz? Ci, którzy startują w spartakiadzie, jadą na taki dwudniowy obóz kondycyjny.

Fajnie będzie, a w dodatku szkoła za wszystko płaci.

Na przerwie zeszła do sali gimnastycznej. Musiała poczekać, aż wszyscy przejdą do szatni.

– Siadaj, Ewa. – Nauczyciel wskazał jej ławkę pod drabinkami. Sam usiadł obok. – Pewnie już słyszałaś o wyjeździe do Wisły?

Kiwnęła głową.

– Na pewno się zastanawiasz, dlaczego ty nie jedziesz.

Spojrzała na niego, ale nie patrzył w jej stronę, bawił się tasiemką, na której wisiał gwizdek. Wzruszyła ramionami. Była niemile zaskoczona.

– Widzisz, tak sobie pomyślałem, że skoro z nami nie trenujesz, to widać nie potrzebujesz mojej pomocy. Ten wyjazd to nie zabawa, będziemy biegać po lesie i szlifować kondycję. Rozumiesz?

– Rozumiem – odpowiedziała spokojnie.

– No chyba, że zmienisz zdanie i będziesz z nami trenowała, wtedy oczywiście pojedziesz.

Milczała przez chwilę. Czuła, że teraz nauczyciel patrzy na nią, ale nie odwzajemniła spojrzenia, z uwagą poprawiała sznurówkę.

– Ma pan rację, nie potrzebuję pomocy – odparła cicho.

– Może to sobie przemyślisz i zmienisz zdanie?

– Nie sądzę, ale dziękuję.

– W porządku. W takim razie zobaczymy się na zawodach. Wystawiłem cię na tych samych dystansach, co u nas. Masz jakieś uwagi?

– Nie wiem. Teraz nie.

– Jakby co, to wiesz, gdzie mnie szukać.

– Dziękuję.

– Jeszcze nie miałem do czynienia z takim uparciuchem – westchnął. – Mam nadzieję, że dotrzymasz obietnicy i będziesz startowała. Szkoła bardzo na ciebie liczy.

– Będę startowała – potwierdziła i wstała.

Nauczyciel też podniósł się z ławki i poklepał ją po ramieniu.

– Wiesz, będziesz na tych zawodach taką moją kinderniespodzianką. Nikt cię nie zna i nie wie, na co cię stać. Najzabawniejsze jest to, że ja też nie wiem. – Roześmiał się.

Nowa rodzina

Teresa wysiadła przed jakąś stacją, gdy tylko pociąg stanął na czerwonym świetle. Słońce wstało już jakiś czas temu. Nie wiedziała, gdzie jest, i niewiele ją to obchodziło. Ruszyła w stronę ścian zieleni. Wciągnęła powietrze pełną piersią. Odurzająco pachniały trawy i zioła. Czowała się wolna, niezależna od nikogo i niczego. Kiedy spod jej nóg wyskoczył zając, najpierw się przestraszyła, a później roześmiała radośnie. Nie pamiętała, że to takie duże zwierzę.

Dotarła na brzeg lasu i od razu utknęła wśród krzaczków jagodowych. Kucnęła i z wielką przyjemnością pochłaniała czarne kulki. Nic nie jadła od wczorajszego ranka, ale nie była głodna, raczej chciało jej się pić. Gdy się nasyciła, ruszyła w głąb lasu. To był piękny iglasty las, pachniał intensywnie i świeżo. Ptaki śpiewały, owady głośno bzykały. Nie wiedziała, dokąd dojdzie, co jakiś czas patrzyła w niebo i uśmiechając się prowokująco, pytała:

– Boże, co zrobisz z moim życiem? Ja sama już niczego nie planuję, jest mi obojętne, co się ze mną stanie. Teraz to ty masz problem.

Szła bardzo długo, nie miała zegarka, czas przestał mieć znaczenie. Często przystawała, by podziwiać otaczające ją piękno. Od tylu lat nie opuszczała miasta. Ścieżki w lesie rozchodziły się w różne strony, skręcała instynktownie, nie zastanawiając się nawet sekundę, dlaczego wybiera tę, a nie inną. W końcu poczuła się zmęczona – niewiele spała tej nocy. Umościła sobie legowisko na ściółce pomiędzy korzeniami drzewa i spokojnie zasnęła.

– Kupa – usłyszała dziecięcy głosik.

Co się stało? Otworzyła oczy.

– Kupa. – Dziewczynka potrząsnęła majteczkami.

Stała boso, niedaleko leżały rozrzucone sandałki. Teresa rozejrzała się wokoło. Nie widziała nikogo dorosłego.

„Co to dziecko robi samo w lesie?” – pomyślała, uśmiechając się jednocześnie do dziewczynki, by jej nie przestraszyć.

– Pokaż, co tam masz?

Mała podała jej majteczki, które rzeczywiście były pobrudzone. Brudną miała też pupcię i nóżki.

– Bardzo dobrze, że zrobiłaś kupkę, tylko co my z nią zrobimy? – Rozglądała się w poszukiwaniu rozwiązania problemu. W końcu, wykorzystując majteczki małej i kilka liści, doprowadziła trochę

dziewczynkę do porządku, założyła jej sandaalki i ruszyły.

– Gdzie jest twoja mama? – pytała kilka razy, ale miała tylko ufnie patrzyła jej w oczy, wyglądała na śpiącą. Teresa wzięła ją na ręce i szła dalej przed siebie.

Dziewczynka wtuliła się w jej ramię i zasnęła.

Dotarły na skraj lasu, nigdzie nie widziała ludzi. Szła przez pole kartofli i wtedy usłyszała:

– Zuzia, Zuzia!

Nie dostrzegła nikogo, ale zawróciła w stronę lasu, nasłuchując słabnącego wołania.

Na trawie pod drzewem siedziała młoda kobieta w zaawansowanej ciąży. Trzymała rękami brzuch i jęczała z bólu, od czasu do czasu rozglądała się i wołała.

– Twoja ta mała? – zapytała Teresa. – Znalazłam ją w lesie.

– Zuzia. – Kobieta kiwnęła głową. – Boli mnie brzuch.

– Widzę. Jak mogę ci pomóc? Gdzie mieszkasz, kogo zawołać?

– Nikogo – odpowiedziała szybko, rozglądając się nerwowo wkoło.

Teresa zrozumiała, że dzieje się coś niedobrego. Młoda kobieta, prawdopodobnie będąca w bardzo dramatycznej sytuacji, potrzebowała natychmiastowej pomocy, a jednocześnie panicznie się bała.

– Nie bój się. Pomogę ci, tylko powiedz, co mam robić.

– Nie wiem, cholera, co zrobić! – odpowiedziała z nagłą wściekłością. – O to właśnie chodzi, że nie wiem, co robić!

– Spokojnie, po kolei – próbowała ją uspokoić. – Najpierw powiedz, gdzie mieszkasz. Dziecko trzeba wykapać i nakarmić. Ty potrzebujesz lekarza.

– Nie mogę wrócić do domu. Oni już tam pewno są. Wczoraj w nocy zwinęli mojego Waldka.

– Kto zwinął?

– Policja. Obławę zrobili, przetrzepali całe mieszkanie, nic nie znaleźli, ale Waldka zabrali.

– No to kogo się boisz?

– Tych zbirów, z którymi Waldek robi interesy. Już wcześniej rano dzwonili, chcieli, bym im przekazała to, co niby miał mieć Waldek, a do nich należało. Powiedzieli, że mi nie darują. Musiałam uciekać z dzieckiem i tym brzuchem. – Poprawiła swoją pozycję, podkurczyła nogi. – Już przestaje boleć, za wcześniej na poród, to dopiero początek siódmego miesiąca.

– Naprawdę? Wielki ten brzuch.

– Bo to będą bliźniaki, chłopcy. Waldek jest taki dumny. Koniecznie chciał syna, a pierwsza urodziła się Zuzia.

– Jasne, każdy chłop chce mieć syna.

– No. A co tak śmierdzi?

– Mała zrobiła kupę, trzeba ją umyć i przebrać.

– Trzeba. Nie wiem, co robić.

– Nie masz jakiejś rodziny, matki?

– Nie. Uciekłam z domu, gdy byłam w ciąży z Zuzką. Ojciec mnie przeklął. Powiedział, że raczej mnie zabije, a za próg z brzuchem nie wpuści. No to uciekliśmy z Waldkiem na Śląsk.

– A rodzina Waldka?

– E, tam dopiero nie ma po co jechać. Matka nie żyje, a ojciec to największy ochlapus w okolicy.

– Rozumiem – powiedziała Teresa i wymownie popatrzyła w niebo. „Boże, więc to taki mi zaplanowałeś los? Ściągnąłeś mnie tutaj, bym pomogła tej biedaczce?” – pomyślała, wzdychając.

Dziewczynka zaczęła się niespokojnie wiercić w jej ramionach, skrzywiła buzię w podkówkę. Przytuliła ją i pokoiysała chwilę.

– Słuchaj, potrzebujesz pomocy, a ja, tak się złożyło, jestem wolna. Mam czas. Zaprowadzę cię do domu i zostanę z tobą. Zajmę się małą, przebiorę ją i nakarmię.

– Nie pójdę, boję się. Pani nie wie, co to za ludzie. To prawdziwi bandyci, bez wahania mogą mnie zabić albo pobić. A jak Zuzi krzywdę zrobią? – Rozplakała się.

Pozwoliła jej się wypłakać. Kołysała dziecko, by się nie obudziło. Kobieta powoli się uspokajała.

– Jak się czujesz? Dasz radę iść? Daleko mieszkasz? W tym lesie się przecież nie ukryjesz. Musisz zadbać o siebie i dziecko.

– Już mi lepiej, przestało boleć. – Chlipnęła.

– No to spróbuj wstać. Wracamy do domu. Zostanę z tobą jakiś czas, pomogę ci. Nie możesz być teraz sama.

– Naprawdę mi pomożesz?

– Jasne, my, kobiety, musimy się wspierać. Jak masz na imię? Bo ja Teresa.

– Lidka.

– Fajnie. No to, Lidziu, wstajemy powolutku, siedzenie na trawie nie jest dla ciebie dobre.

* * *

Powoli dotarły do ulicy. Okazało się, że Lidka wsiadła do zaparkowanego samochodu. Ładny niebieski golf był chyba jej własnością. Na tylnym siedzeniu dostrzegła rozsypane zabawki i umocowane krzeselko dla dziecka. Zapięła małą, która się nie obudziła. Jechały około pół godziny, w końcu Lidka zaparkowała przed ładnym czteropiętrowym budynkiem.

Teresa ze zdziwieniem patrzyła na pięknie przystrzyżone trawniki i klomby z kwiatami. To był dostatni, porządny dom. Na pierwszym piętrze, przed solidnymi drzwiami stał dziecięcy wózek. To wszystko nie pasowało jej do tego, co zdążyła sobie wyobrazić, sugerując się opowiadaniem Lidki. Ale dopiero wystrój wnętrza zaskoczył ją zupełnie. Był jak z katalogu meblowego albo z filmu. Stała w przedpokoju, tuląc do siebie śpiące dziecko. Lidka rzuciła torbę na podłogę i pobiegła do łazienki.

Teresa delikatnie zsunęła swoje półbuty i weszła do przestronnego pomieszczenia, które było połączeniem nowoczesnej kuchni, jadalni i salonu. Na niziutkiej komodzie stał duży płaski telewizor. Widziała takie tylko w reklamach. Całą ścianę naprzeciw drzwi tworzyły szyby osłonięte pięknie udrapowanymi firankami.

– Co tak stoisz? Połóż małą do łóżeczka, tam jest jej pokój, obok sypialni. Ja wstawię wodę na kawę – powiedziała Lidka, podtrzymując brzuch.

– A jak się czujesz? Dalej cię boli?

– Nie, to już nie jest ból, ale czuję takie parcie na pęcherz.

– Połóż się, z nogami do góry, a kawę zrobię ja. – Przejęła rządy w domu. – Nie chcesz chyba zacząć rodzić?

– Nie chcę, ale poradzisz sobie?

– Powoli dojdę do wszystkiego, a ty marsz do łóżka, póki Zuzia śpi.

Weszła do pokoju małej. Białe mebelki, ciemnozielona wykładzina na podłodze. Ułożyła dziecko w białym łóżeczku z kolorową pościelą. Mała przewróciła się na bok i dalej spała. Delikatnie zdjęła jej sandaalki i nakryła ją kołderką.

Przeszła do sąsiedniego pomieszczenia. To była sypialnia parzenie, które w jej życiu nigdy się nie spełniło. Szerokie łóżko, szafki po obu stronach. Z lewej cała ściana zabudowana szafą z olbrzymim lustrem. Z prawej śliczna toaletka. Popatrzyła na swoje odbicie. Włosy potargane, twarz i ręce brudne. No tak, od wczoraj się nie myła, a nie siedziała przecież na kanapie. Jej sukienka też nie grzeszyła świeżością i do kompletu brudne nogi. Koszmar. Ale nie ona jest teraz ważna, musi pomóc tej biedulce. Lidka leżała blada z zamkniętymi oczami. Pojękiwała cichutko. Teresa podłożyła jej pod stopy poduszkę i nakryła ją kocem.

– Będziesz tutaj? – usłyszała ciche błaganie.

– Nigdzie się stąd nie ruszę, postaraj się zasnąć. Zrobię coś do jedzenia, bo wszystkie jesteśmy głodne.

– A jak oni przyjdą?

– O nic się nie martw, ja sobie z nimi poradzę – odpowiedziała zdecydowanym tonem. Poglądziła ją po tym dużym, sterczącym brzuchu i poszła do kuchni.

Lodówka na szczęście była dobrze zaopatrzona. Postanowiła wykorzystać kurczaka, który leżał rozmrożony na półce. W szafce nad zlewem znalazła kawę, herbatę, kakao. Widać, że mieszkała w tym domu dobra gospodyni.

* * *

Najpierw obudziła się Zuzia. Zaczęła płakać i wołać mamę. Spoglądała nieufnie na Teresę, ale pozwoliła się wziąć na ręce. Weszła z nią do sypialni, by pokazać dziecku, że mama jest, tylko śpi.

Później wsadziła ją do wanny z ciepłą wodą i wykąpała razem z pingwinem, którego Zuzia szorowała gąbką. Na koniec razem gospodarzyły w kuchni: rosół z makaronem, panierowana pierś z kurczaka, ziemniaczki i mizeria z jogurtem, bo nie było śmietany. Zuzia waliła tłuczkiem w kawałek mięsa, naśladowując Teresę.

Teresa dużo mówiła do dziecka, ale mała opanowała tylko kilka słów, które wymawiała bardzo wyraźnie: daj, tak, nie, tam, tu, am. Więcej potrafiła wyrazić gestami i minkami. Za to rozumiała wszystko, co się do niej mówiło. Zdaniem Teresy dziewczynka miała jakieś dwa latka. Samodzielnie zjadła zupę, wyławiając paluszkami mięso, oraz całe gotowane udko, pokrojone na kawałki.

Lidka weszła do kuchni.

– Co tu tak pięknie pachnie? Ale jestem głodna.

– Mama, mama! – Mała wyciągnęła do niej rękę.

– Nie dźwigaj jej! – zaprotestowała Teresa. – Nie wolno ci, dopóki twój brzuch się nie uspokoi.

Siadaj, podam ci zupę.

Gdy Lidka kończyła obiad, Zuzia układała wieżę z klocków, a Teresa zmywała naczynia, zadzwonił dzwonek do drzwi. Wszystkie na chwilę zamarły. Lidka zbladła, objęła rękami brzuch i z przerażeniem wpatrywała się w twarz Teresy. Dzwonek odezwał się po raz drugi.

– Spokojnie, otworzę, a ty weź małą i idźcie do łazienki – zadysponowała Teresa.

Za drzwiami stał młody mężczyzna, kurier, przyniósł paczkę.

– Dzień dobry. Paczka dla pani Lidii Torus.

– Nie ma jej, wyjechała.

– A kiedy wróci?

– Powinna za tydzień, ale wie pan, jak to bywa, gdy kobieta jest w zaawansowanej ciąży – tłumaczyła, uśmiechając się.

– A kim pani jest, może pani ją odbierze? – Wysunął paczkę w jej stronę.

W tym momencie w mieszkaniu rozległ się krzyk Zuzi.

– Jestem teściową, pilnuję dziecka – odpowiedziała szybko Teresa. – A paczki nie odbiorę, bo synowa nic o paczce nie mówiła. Muszę do dziecka. – Machnęła dłonią i szybko zamknęła drzwi na zamek.

Przyłożyła ucho do drzwi, bo nie słyszała kroków na schodach. Ten kurier dziwnie długo stał na wycieracze. W końcu usłyszała, że schodzi.

Zapukała do drzwi łazienki. Lidka przekręciła zamek i wypuściła wyrywającą się Zuzię.

– Tata, tata – zawołała mała i pobiegła do drzwi wyjściowych.

– Tata jest w pracy – powiedziała Teresa. – Chodź, babcia da ci kompcyku.

– Bacia – powtórzyła mała.

– Babcia – poprawiła ją Teresa.

– Kto to był? – zapytała Lidka.

– Kurier, paczkę przyniósł.

– Jaką paczkę? Od kogo? – zdziwiła się.

– Nie wiem, nie przyjąłem jej.

– Dlaczego?

– Przecież nie spodziewasz się paczki od nikogo. Nie oglądasz filmów kryminalnych? W tej paczce mogła być bomba – tłumaczyła Teresa.

– O Boże, bomba. – Lidka usiadła na kanapie i złapała się za brzuch.

– Powiedziałam, że mogła być, a nie że była – podkreśliła Teresa. – Musimy być bardzo ostrożne.

Boli cię?

– Takie parcie czuję, da się wytrzymać.

– To mi się nie podoba. A plamienia jakieś masz?

– Trochę, takie jasnoróżowe.

– Moim zdaniem nie ma na co czekać, musi cię zobaczyć lekarz.

– Zadzwoń do niego. Mam prywatnego lekarza. Jak się Waldek dowiedział, że to chłopcy, to kompletnie oszalał.

– Dzwon, nie ma co ryzykować.

– A jak mi każe iść do szpitala, to co będzie z Zuzią?

– O to się nie martw, zostanę tu, zajmę się dzieckiem i przypilnuję ci wszystkiego. Nie musisz się bać, uczciwa jestem, widać Bóg tak chciał, bo postawił cię na mojej drodze.

– Tak, jestem ci wdzięczna, ale ja o tobie nic nie wiem. – Wahala się.

– No nie wiesz. Ale nie czas teraz na zwierzenia. Nie masz innego wyjścia, musisz mi zaufać, jeśli nie chcesz stracić dzieci, a tego to by ci ten twój Waldek na pewno nie darował.

– Jezu, nie.

– No to dzwoń, a lekarzowi powiesz, że teściowa się wszystkim zajmie. Mówiłaś, że matka Waldka nie żyje, to mogę ją zastąpić. Tylko widzisz, wyszłam z domu, tak jak stałam, nie mam w co się ubrać i nie mam pieniędzy. Muszę się wykapać i w coś przebrać, bo straszę ludzi.

– O pieniądze się nie martw, Waldek zawsze dbał o to, by było trochę na moim koncie. Na jakiś czas nam wystarczy. Tylko z tym ubraniem będzie problem, bo moje rzeczy będą na ciebie za małe.

– A Waldka? Jaki on jest? Może jakiś trykocik i spodnie?

– No jasne, on ma dużo dresów, chodź, coś wybierzemy.

Wiktor

— Na co ty liczysz? Zaproszenie jak zwykle przyszło na Malewskiego – powiedział Karol.

– I co z tego? On i tak nie jest w stanie polecieć do Brazylii, będą musieli wysłać kogoś w zastępstwie. – Stefan mrugnął znacząco. – Malewski już się nie liczy, raczej szybciej kopnie w kalendarz. Nie słyszałeś, że wysiadła mu już druga nerka? Teraz musi co drugi dzień podpinać się do maszyny, żeby przeżyć.

– Kurwa, ale ma facet pecha. Właśnie teraz, gdy mógłby garściami zgarniać profity, odcinać kupony od tej harówki, musi grzecznie siedzieć na dupie – współczuł Karol.

– Co ty się tak o niego martwisz? Myślisz, że nie będzie miał go kto zastąpić? Jest długa kolejka chętnych, tego możesz być pewny. Zresztą sam bym chętnie skorzystał i ty też, nie udawaj, że nie.

– Jasne. Ale w końcu szkoda faceta, zawsze był w porządku.

„Był w porządku. Był!”. Wiktor odczekał, aż tamci wyjdą, i opuścił kabinę.

Mył ręce i patrzył na swoje odbicie w lustrze. Lekko poszarzała twarz, coraz więcej siwizny, ale czupryna jeszcze gęsta. Czy tak wygląda umierający facet? Towarzystwo szybko się z nim pożegnało. Był! Już się nie liczył? Już go skreślili? Jakie to, cholera, proste! Tyle jest warte życie człowieka.

„Dosyć!” – nakazał sobie. Jeszcze tego brakowało, by się rozkleił w tej toalecie. Koledzy mieli rację, w tej chwili nie polecą na to sympozjum do Brazylii. Nic wielkiego, był tam już kilka razy, machnąłby na to ręką, gdyby nie fakt, że ta rezygnacja była wymuszona chorobą, a nie własną wolą. Lubił sam podejmować trudne decyzje, analizować za i przeciw, stawiać na jedno konkretne rozwiązanie i czekać na efekt, trzymając rękę na pulsie.

Ta adrenalina go napędzała. Lubił wyzwania, najgorzej znosił bezsilność, a tym ostatnio raczył go los czy, jak twierdziła mama, Bóg.

Ale przytrafiła mu się idiotyczna sytuacja – jego dalsze aktywne życie zależało od śmierci jakiegoś dawcy. Wpisano go na listę oczekujących. Koszmar!

„Ale ten Karol to jednak w porządku facet, w takich podbramkowych sytuacjach cała prawda o ludziach wychodzi na wierzch. Stefan to cwaniaczek, trochę za bardzo kombinuje, ale w sumie też jest okej. Dobrze mu się z nimi pracuje, w końcu nikt nie jest ideałem”.

Gdy otwierał swoją pocztę, pierwsze, co rzucało się w oczy, to wiele nieotwartych e-maili od Al-dony. Uparta kobieta. Nawet nie musiał sprawdzać, tekst w każdym był identyczny.

Oczywiście, że doskonale pamiętał ten tydzień na Teneryfie. Po pierwsze, odwiedził to miejsce tylko raz, a po drugie, był wtedy w stanie wojny z własną matką. Nigdy przedtem ani później nie skakali tak sobie do oczu. O co tak naprawdę walczyli? O coś, co z perspektywy lat było bzdetem bez znaczenia. Za to niedługo po powrocie z Teneryfy dostał pierwszego ataku i dowiedział się, w jak kiepskim stanie są jego nerki. Dzięki staraniom lekarzy udało mu się przeżyć bez dializ ponad piętnaście lat.

Mama, śmiertelnie na niego obrażona, wyjechała wtedy do sanatorium i nie odbierała jego telefonów. W domu pusto, a w pracy mówiło się tylko o urlopach, kto gdzie poleci. Pewnie dlatego pod wpływem jakiegoś impulsu wstąpił do biura podróży i trzy dni później siedział już w samolocie. Po dwóch dniach miał dosyć czterdziestostopniowego upału, wszechobecnego hałasu i tłoku na basenach, a jego żołądek buntował się od nadmiaru jedzenia. Bo co można robić samemu? Na stołach taki przepych, od kolorów, zapachów, różnorodności można było dostać zawrotu głowy. Do tego te drinki bez ograniczeń. W rezultacie spędził dobę w pokoju, bo nie mógł się oddalić od toalety. Nakazał sobie umiar, postanowił zwiedzić wyspę, wyjść poza teren hotelu.

Wykupił całodniową wycieczkę objazdową z przewodnikiem. Szybko się przekonał, że to znowu był błąd – wiele godzin w autokarze, na szczęście klimatyzowanym, podziwianie widoków księżycowych, pełnych zastygłej lawy, rzadkiej roślinności. To w tej scenerii nakręcono sporo filmów science fiction. Czuł się jak na Marsie. Wąskie serpentyny dróg i ten upał, który zniechęcał do opuszczania autokaru. W efekcie, gdy wieczorem dotarł do swojego pokoju, był bardzo rozczarowany i zastanawiał się, dlaczego nazywano Teneryfę rajem na ziemi.

Przy śniadaniu wysłuchał relacji kilku Niemców o wspianym lokalu ze striptizem, w którym bawowali do białego rana, i postanowił go sprawdzić wieczorem. Po obiedzie wybrał się na plażę, ponieważ wokół basenów był tłok – wszystkie leżaki dawno zajęte, głośna muzyka, wielojęzyczna wrzawa, wrzaski dzieci.

Plażę na Teneryfie były koloru czarnego, nie lubił takich. Niestety, tutaj też nie brakowało ludzi, gwaru, dzieciaków. Ruszył wzdłuż brzegu, coraz bardziej czarnego, kamienistego.

Myślał o matce, nie miał z nią kontaktu od kilku dni, czuł się z tym coraz gorzej. Po raz pierwszy tak długo boczyli się na siebie. Drażniło go to, że ona też była uparta i nie dzwoniła do niego, miał nadzieję, że dobrze się czuła. Tłumaczył sobie, że gdyby było inaczej, to lekarze już by go o tym poinformowali. W końcu była w sanatorium, pod dobrą opieką.

Pokłócili się o kolejne aranżowane przez nią spotkanie z córką znajomej. Mamusia chciała koniecznie znaleźć mu dobrą żonę. A on po kilku nieudanych próbach obiecał sobie, że nie będzie już w tym uczestniczył. W sumie nie miał nic przeciwko temu, ponieważ naprawdę brakowało mu czasu, by się tym zająć, tylko te kandydatki mamusi były... No właśnie, sam nie wiedział jakie. Na pewno niebrzydkie, z całą pewnością dobrze wychowane, wykształcone, nawet zamożne. Ale żadna nie poruszyła jego serca. Kończyło się na kilku spotkaniach: teatr, koncert, kino, kolacja.

Szybko nudziło go bycie kulturalnym facetem, ileż można mówić o książkach (dostał wykaz tytułów od mamusi i dla świętego spokoju przeczytał), serialach, filmach (głównie komediach romantycznych). Pewnie on też nie zachwycił, ponieważ żadna z tych kobiet jakoś nie walczyła o kolejne spotkania. Żadnej nie interesowała fizyka, możliwości nauki, nowości techniczne.

Z kolei koleżanki w instytucie były bardzo inteligentne, mieli wspólne zainteresowania, były... hmm, świetnymi kumpelkami. Może i znalazłaby się jakaś chętna na żonę, ale nie lubił sobie komplikować życia – zdecydowanie oddzielał kontakty zawodowe od prywatnych. Sam nie wiedział, czego szukał.

Nie potrzebował kobiety, która zadba o dom, urodzi mu dzieci i będzie decydowała, jaki krawat ma założyć. Jego wybranka powinna go inspirować, pobudzać intelekt i zmysły, podnosić poziom adrenaliny, stawiać mu wyzwania. Wspierać go, ale nie współzawodniczyć z nim.

Te rozmyślenia gwałtownie przerwał mu stadko mew, które niemal go zaatakowały. Wyleciały nagle, gdy przeskakiwał z jednego głazu na drugi. Przerażony upadł na kamienisty kawałek plaży, na której – jak się później zorientował – mewy rozszarpywały jakieś kraby. Krążyły nad nim, skrzecząc okropnie. Zerwał się na nogi i wtedy poczuł ostry ból w kostce. Stopa szybko puchła, adidas zrobił się za ciasny, więc na wszelki wypadek go zdjął.

Poczuł się nieszczęśliwy. Usiadł na skale i zatęsknił do mamusi. Zawsze gdy się zranił, głaskała go po głowie, opatrywała, szykowała jakiś deser. Nagle zrozumiał, że ten wyjazd był wielką pomyłką. Taka szalona, nieprzemyślana decyzja w stylu: „Na złość mamie odmrozę sobie uszy”.

Kilka razy w życiu się buntował, ale w końcu zawsze uznawał, że jego zachowanie jest głupie, że to mama miała rację, więc wracał do niej. Tak naprawdę nigdy nie chciał zakładać rodziny, płodzić i wychowywać dzieci. Nikt tak dobrze jak mamusia nie znał jego potrzeb, nie rozumiał jego problemów, nie dzielił z nim smutków i radości.

Pocieszał się, że za dwa dni stąd wyjeżdża. Miał dosyć tej przereklamowanej wyspy. Słońce zachodziło, prawie dotykało horyzontu. Błękit nieba zlewał się z błękitem oceanu. Zrobiło się ciut chłodniej, lekki wiaterek owiewał mu twarz. Powinien wracać do hotelu, tylko nie bardzo wiedział, jak tego dokona. Wypuścił się na naprawdę długi spacer.

Z wysiłkiem stanął na bolącej stopie. Starał się iść jak najbliżej brzegu, by chora stopa była zanurzona w wodzie, co przynosiło ulgę. Zauważył, że był sam, ludzie wrócili już do hoteli, na kolację, szykowali się na wieczorne imprezy. On też miał spędzić ten czas w klubie polecanym przez Niemców. I znowu los pokrzyżował mu plany.

Szedł, starając się włączyć pozytywne myślenie, czyli uruchomić dobre rady Patrycji, koleżanki z pracy.

– Tak, Patrycjo, ten zachód słońca jest rzeczywiście prześliczny – kpił. – Słońce zabarwia ocean na pomarańczowo, a... – syknął z bólu – ...a plaża jest romantycznie pusta... Za chwilę wyłoni się z oceanu rusalka, cud-dziewczyzna... – Nasilający się ból stopy zmusił go, by usiadł na głazie. Wtedy

ją zobaczył.

Szła ze spuszczoną głową, w letniej, zwiewnej sukience. Coś do siebie mówiła. Nie słyszał na tyle dobrze, by zrozumieć sens wypowiedzianych przez nią słów, ale jednego był pewien – mówiła po polsku. Bardzo się ucieszył, od razu poczuł się jak w domu. Taka bratnia dusza na obczyźnie w krytycznym momencie życia. Sam był zaskoczony swoją reakcją. Wstał i obserwował ją. Jakiś czas trwało, zanim podniosła głowę i zauważyła jego obecność. Pokiwał do niej dłonią. Zatrzymała się i rozejrzała wokoło.

– Dzień dobry – powiedział.

– O, jest pan Polakiem? – zapytała zdziwiona.

– Tak i bardzo się cieszę, że na tej egzotycznej wyspie trafiłem na rodaczkę.

– Coś się stało? – Dłonią pokazała na jego stopę.

– No tak, wybrałem się na spacer, tylko ta plaża niestety nie jest mi przyjazna. – Uśmiechnął się.

Czuł się w jej obecności bardzo swobodnie.

– Nie wygląda to dobrze, jest złamana?

– Nie sądzę, przeszedłem ładny kawałek. – Machnął ręką za siebie. – Myślę, że jest zwichnięta.

Stopa była sina i mocno opuchnięta, ale o wiele mniej bolała. Usiadł na skale.

– Gdzie pan mieszka? Daleko?

– Niestety wybrałem się na długi spacer. Muszę jakoś znaleźć taksówkę, pomoże mi pani?

– Oczywiście.

A jednak się nie spieszyli. Tak dobrze im się rozmawiało. Tej nocy nigdy nie zapomni. Nagle cała wyprawa na Teneryfę nabrała sensu i przez tyle lat była pięknym wspomnieniem. Stanowiła jego słodką tajemnicę. Dopiero teraz ta wiadomość z końca świata spacyfikowała go. Nie był zdolny do żadnej reakcji. Wrócił ze szpitala i zastał swoją skrzynkę e-mailową zasypaną tymi listami. Był ojcem?! Jak to możliwe? Chichot losu. Ma dorosłego syna, który umiera?! Ma się cieszyć czy rozpaczać? To kpina!

* * *

Zdecydował się na rozmowę z mamą. Nie radził sobie z tą wiadomością.

Była tak niesamowita, nierealna.

Czasami wyobrażał sobie, że ma rodzinę, dziecko. Zastanawiał się, jakim byłby ojcem. Słyszał tyle opowiadań o wychowywaniu dzieci, wspólnych wyprawach na narty, chodzeniu na basen czy do kina. Planowanie rodzinnych urlopów. Taki Jarek miał dwóch synów z pierwszego małżeństwa, wychowywał córkę drugiej żony i ich wspólnego synka. Ile zabawnych sytuacji opowiadał, czwórka dzieci codziennie dostarczała mu nowej porcji niespodziewanych zdarzeń.

Podziwiał kolegów, którzy potrafili łączyć tyle funkcji naraz: ojca, męża, syna, brata, zięcia.

Co roku u kogoś były chrzciny, komunie święte, matury, imieniny, rocznice, teraz coraz częściej śluby córek lub synów. Był świadkiem tego, ile to pociąga za sobą problemów, stresów, czasem dramatycznych przeżyć. Nieraz gratulował sobie, że był taki rozważny. Mógł się bez reszty poświęcić swojej pracy, która była jednocześnie jego pasją. Dawała mu dużo satysfakcji i sukcesów. Uważał, że w życiu mężczyzny najważniejsza jest praca, a najlepiej twórcza praca. On miał to szczęście.

O inne jego potrzeby dbała mamusia. Był przekonany, że nie ma drugiej kobiety na świecie, która tak dobrze by go rozumiała i kochała bezwarunkową miłością. A kobiety, seks? Tak, to też ważne. Nigdy nie narzekał na brak zainteresowania ze strony płci przeciwnej, ale również nie szalał na jej punkcie. Kobiety były dzisiaj takie niezależne, swobodne, lubiły związki bez zobowiązań. W pubach spotykał głównie rozwódki albo zatwardziałe singielki.

Z własnego doświadczenia wiedział, że najpiękniejsze były dwa, trzy miesiące. Nieustanne podniecenie, pragnienie dotykania, radość ze spotkań, chęć dzielenia się wszystkim. Ktoś wymyślił te motyle w brzuchu i się nie mylił. Tylko że życie motyla trwa zaledwie chwilę.

Od tygodnia wiedział, że prawdopodobnie jest ojcem. Jego syn to już mężczyzna, ma prawie osiemnaście lat. On nie musiał się o nic starać, nie miał z tym żadnych problemów, gdzieś tam rósł, dojrzewał człowiek zrodzony z jego nasienia, mający jego geny. Czy jest do niego podobny, czy jest inteligentny, czy też lubi fizykę, nauki ścisłe? Dał komuś życie, ale nie zrobił tego świadomie. Czy jest za to odpowiedzialny? Oczywiście, że w jakimś stopniu tak. Ale nie rozumiał Aldony. Poinformowała go dopiero wtedy, gdy trzeba walczyć o życie dziecka? To jest perfidne! Ma teraz w błyskawicznym tempie poznać syna, pokochać, a potem może patrzeć na jego śmierć? Pokazał wyniki przyjacielowi kardiologowi, dostał wiadomość, że jest bardzo źle, że tego dzieciaka uratować może tylko przeszczep. Na co liczy Aldona? Że on odda nieznanemu dziecku swoje serce?

Jak można obarczyć człowieka taką wiadomością? Przecież ona o nim nic nie wie. Przez tyle lat nie interesowała się jego życiem. Nie ma też pojęcia, jak bardzo jest chory, że toczy już jedną walkę.

To jakaś paranoja, tak się nie robi! Postawiła go pod murem i strzela najboleśniejszą amunicją – poczuciem winy, odpowiedzialnością, ojcowskimi uczuciami. Czy on ma w ogóle obowiązek zareagowania na te jej listy? Czy musi pozwolić, by jakaś zupełnie obca mu osoba przewracała jego życie do góry nogami? Chyba chroni go jakieś prawo? Najprościej byłoby wyrzucić te przesyłki do kosza i zablokować jej dostęp do swojego adresu. To tylko chwila, kilka kliknięć. Tylko... no właśnie, nie da się kliknąć w jego mózgu i wymazać tej wiadomości. Odcisnęła się trwale, a armia synaps rozesała wici. Nie może spać, pamięć bez przerwy przywołuje obrazy tamtej nocy na Teneryfie, a wyobraźnia szaleje, dręcząc go pytaniami bez odpowiedzi. Jak wygląda? Czy jest inteligentny, czy odziedziczył jego zdolności i zainteresowania?

Zrobił mamusi herbatę owocową z melisą, sobie też. Musi dzisiaj przeprowadzić tę rozmowę, nie może dłużej przeciągać tego wszystkiego, bo wykończy się nerwowo. To idealna pora, o ile w ogóle jest odpowiedni czas na takie wiadomości. Było sobotnie popołudnie; mamusia obudziła się z poobiedniej drzemki, czuła się dobrze, była w pogodnym nastroju.

Usiadł w fotelu naprzeciwko i popatrzył na kobietę, która go urodziła i poświęciła mu całe swoje życie. Miała siedemdziesiąt siedem lat, szczupła, z krótko obciętymi włosami, bez śladu siwizny. Regularnie odwiedzała fryzjera i kosmetyczkę. Ubrana w dżinsy i niebieski sweterek. Kolczyki, wiśniewki, pierścionki i bransoletka, zadbane dłonie, paznokcie pomalowane na jasny róż.

Z przyjemnością na nią patrzył. Zawsze była taka zadbana i elegancka, był z niej dumny. Oto przykład, jak można się starzeć z klasą. Nikt obcy by się nie domyślił, ile naprawdę mama ma lat, no ale jak się raz w tygodniu chodzi na basen i jogę, dba o właściwą dietę, to się uzyskuje takie efekty. Najbardziej cieszył się, że jej energia i aktywność nie zostały ograniczone przez jakąś poważną chorobę. Bardzo ją kochał, zawsze mógł z nią porozmawiać, liczyć na jej zrozumienie i wsparcie. A jednak wiadomość, którą miał jej przekazać, mogła wywołać nieprzewidywalne reakcje.

Wziął głęboki oddech i w momencie, gdy miał rozpocząć swoje opowiadanie, usłyszał jej głośny, serdeczny śmiech. Oślupiał, ale mamusia była szczerze rozbawiona. Po chwili spoważniała i powiedziała:

– Przepraszam. Domyślam się, że chcesz mi powiedzieć coś ważnego, ale gdybyś, Wiktorku, zobaczył swoją minę... Od lat jej nie widziałam. Tak się zachowywałeś dawno temu, kiedy byłeś małym chłopcem i coś zbroiłeś.

– Bo tak się złożyło, że strasznie narozrabiałem i nie wiem, jak ci to powiedzieć.

Twarz mamy spoważniała, zgasły chochliki w jej oczach. Teraz miał przed sobą osobę skupioną, czujną i bardzo mu życzliwą. Nie zwlekał już dłużej, wiedział, że lepszego momentu na tę spowiedź nie będzie.

– Mamo, musimy się cofnąć w czasie jakieś dziewiętnaście lat. To się wydarzyło, gdy wyjechałaś do sanatorium w Ciechocinku. Nie wiem, czy pamiętasz... To było pod koniec sierpnia, cały czas mieliśmy bardzo upalne, słoneczne dni. Wyjechałaś obrażona, ponieważ nie chciałem się więcej spotykać z tą Anną, córką Gabrieli. Przez wiele dni nie rozmawialiśmy ze sobą.

– No tak. Pamiętam, oczywiście. Jak również to, że niepotrzebnie się upierałam, bo to ty miałeś rację. Czy wiesz, że ona dosyć szybko wyszła za mąż, a parę lat później się dowiedziałam, że jej mąż popełnił samobójstwo? Gdy sobie pomyślę, że to mogło spotkać ciebie...

– Spokojnie, mamo, nie denerwuj się, nie o niej chciałem z tobą porozmawiać. Wróćmy do tamtego sierpnia. W pracy, przez ten upał, mówiło się głównie o wyjazdach i urlopach. Nudziłem się

sam w domu, bez ciebie. Przechodziłem obok biura podróży i nie wiem, dlaczego wstąpiłem i wykupiłem tygodniowy wyjazd na Teneryfę.

– I ja o tym nic nie wiem?

– Przepraszam, w sumie naprawdę nie było się czym chwalić, ta rajska wyspa bardzo mnie rozczarowała. Czułem się głupio, że zrobiłem to w tajemnicy przed tobą, więc wołałem milczeć. A jednak wydarzyło się tam coś... Dopiero teraz się o tym dowiedziałem i nie wiem, co mam zrobić.

– Co się stało? I jak to: teraz się dowiedziałeś, po tylu latach? – Głos mamy był bardzo zaniepokojony.

– No właśnie. Podobno mam syna – wykrztusił.

– Syna?

– Tak. Ma prawie osiemnaście lat, a na imię Artur.

– Artur – powtórzyła jak echo. – Boże, co za wiadomość! Więc jednak mam wnuka?

Twarz mamy poczerwieniała, na szyi pojawiły się krwiste plamy. Oddychała szybko.

– Mamusiu, spokojnie. Pamiętaj o swoim ciśnieniu. Podać ci tabletkę?

– Podaj, Wiktorku. Naprawdę jestem w szoku. Jeszcze to do mnie nie dotarło. Taka sensacyjna wiadomość!

Gdy największe emocje opadły, roztrząsali każdy szczegół, analizowali wszystkie za i przeciw. Fakt, że chłopak był tak bardzo chory, zgasił dopiero co przeżywane szczęście. Huśtawka uczuć wywoływała silny zawrót głowy. Za dużo pytań pozostawało bez odpowiedzi. Jedno było pewne – w przeciwieństwie do oszołomionego i bezradnego Wiktora, matka chciała działać natychmiast.

– Najpierw badania DNA. Ta cała Aldona może być przebiegłą kobietą. Chociaż, Wiktorku, myślę, że tu nie o pieniądze chodzi. Gdyby była taką, no wiesz, cwaniarą, to nie czekałaby osiemnaście lat – rozważała.

– Też tak myślę. Nie wspomniała nic o alimentach.

– No właśnie. Ja sędzę, że ten dzieciak jest naprawdę bardzo chory i ona szuka ratunku. Może tam na tej wyspie medycyna jest słabo rozwinięta i nasi specjaliści mogliby mu pomóc? Boże, jeżeli to jest mój wnuk, trzeba działać szybko. A nawet jeżeli nie jest, a możemy pomóc, to też musimy to zrobić.

– Już o tym pomyślałem. Przesłałem wszystkie dokumenty do Kazimierza i on powiedział, że stan jest bardzo ciężki i jedynym ratunkiem dla chłopca jest przeszczep serca.

– O, Boże. Współczuję tej kobiecie. Jak ja dokładnie wiem, co ona przeżywa. Dla ciebie też ratunkiem byłby przeszczep nerki.

– Mamo, spokojnie. Ja na dializach mogę żyć jeszcze wiele lat – próbował łagodzić.

– Co ty opowiadasz, potrzebujesz tej nerki natychmiast! Przecież to cię tak ogranicza. Jesteś naukowcem, profesorem, twoja praca ma wielkie znaczenie dla całego kraju.

– Mamo...

– No dobrze. Poproś tę kobietę o fotografie. Chcę jak najszybciej zobaczyć, jak wyglądają mój wnuk i jego matka – wróciła do problemu. – Niech przyśle więcej zdjęć, chciałabym zobaczyć, jak dorastał. Jeżeli to jest mój wnuk, to i tak jej nie daruję, że zabrała nam osiemnaście lat radości.

– Myślę, że najpierw muszę mieć pewność, że to moje dziecko, później będzie czas na fotografie – zaprotestował.

– No dobrze, może masz rację. Ale proszę cię, trzeba działać szybko. Czas ma wielkie znaczenie, przecież w trybie pilnym trzeba rozpocząć organizowanie mu pomocy medycznej. Jak się okaże, że w Polsce się nie da, to należy szukać w innym kraju.

– Tak, mamo, ale najpierw...

– No i oczywiście muszą przylecieć do Polski, zamieszkają u nas, trzeba odnowić gabinet tatusia...

– Mamusiu, błagam cię, nie szalej. Spokojnie, tego nie da się załatwić w jeden dzień. Przypominam ci, że jego matka zwlekała osiemnaście lat! – sprzeciwił się ostro.

– Masz rację, kochanie, ale jeżeli to jest mój wnuk, to ja muszę go ratować, i to jak najszybciej, chyba rozumiesz?

– Kocham cię, mamusiu, jesteś najlepsza na świecie.

– Oj, Wiktorku, ale się porobiło. Ale i tak się cieszę, że jestem babcią.

Nie spała całą noc. Oto spełniło się jej największe marzenie. Tylko dlaczego to dziecko jest takie chore? Co to za matka, która do tego dopuściła? Dlaczego tak długo ukrywała go przed ojcem? Zabrała im tyle lat radości obcowania z nim. Czy ten chłopiec zna język polski, wie coś o kraju swojego ojca? Na pewno jest inteligentny, uzdolniony jak jego tata i dziadek. Tylko czy miał możliwości rozwoju? Do jakich szkół chodził? Jaki jest poziom nauczania na jakiejś wyspie na końcu świata?

Głowa bardzo ją bolała, ciśnienia nie dało się obniżyć pomimo lekarstw. Takich wiadomości już się nie spodziewała w swoim życiu. Wiktor, co tu kryć, był już starszym panem i w dodatku tak schorowanym. Dla niego prawie dorosły syn to po prostu dar niebios.

Świtało, a ona przeglądała albumy ze zdjęciami syna z okresu, gdy chodził do liceum. Jakim przystojnym był chłopcem! Szczupły, wysoki, świetny pływak. Zawsze uśmiechnięty, otoczony dziewczynami, no i taki zdolny, startował w olimpiadzie matematycznej i fizycznej. Była z niego dumna. Wychowywała go sama, ponieważ jego ojciec, a jej mąż, przegrał walkę z rakiem, gdy Wiktor miał dwanaście lat. Od tego czasu byli już tylko we dwoje. Całą miłość przelała na syna. Czy teraz będzie zdolna pokochać wnuka?

Spartakiada

Wyszli z szatni całą grupą, wszyscy ubrani w niebieskie koszulki z granatowym napisem „ILO w Bytomiu” i chabrowe spodenki. Dostali nawet białe skarpetki z niebieskim paskiem i najlepsze buty do biegania. Nie chciała ich, zdecydowanie odmówiła i włożyła swoje tenisówki.

Trener bez słowa zaakceptował jej decyzję. Obserwował ją, dziwnie mrużąc przy tym oczy. Natomiast Jarek i Stenia usiłowali ją przekonać, że źle robi, straci sekundy na starcie i przyczepność do bieżni, szybciej dopadnie ją ból stóp i ścięgien.

Wzruszyła ramionami. Wiedziała lepiej. Próbowwała przecież biegać w tych butach i o mało nie skręciła nogi, a jej mięśnie zaskakująco szybko traciły moc. Zawsze używała tenisówek zakończonych półokrągło, szerokich, na miękkiej, cienkiej gumie. Najchętniej biegałaby bosą, ale w chaszczach na torowiskach pełno było różnych śmieci. Jej stopy musiały dokładnie czuć podłoże, po którym biegała, wtedy reszta ciała sama wiedziała, co robić. W tych superbutach z systemem wspomagania ruchu czuła się unieruchomiona jak w gipsowej formie.

Wyznaczono im miejsce w sektorze czwartym na stadionie Klubu Sportowego Ruch w Chorzowie. Nie wiedziała, że będą takie tłumy. Usiadła z boku i obserwowała.

Reprezentanci różnych liceów z okolicznych miast zajmowali miejsca w dolnych rzędach, a powyżej siedzieli ich kibice z transparentami, w kolorowych czapeczkach, z chorągiewkami i balonikami. Zauważyła, że dziewczyny z jej szkoły witały się z koleżankami z innych sektorów. Okrzyki radości, rzucanie się w objęcia, poklepywania. Znały się z poprzednich zawodów, wymieniały nowinami, podziwiałały nowe koszulki i dresy. Chłopcy jakoś spokojniej do tego podchodzili, witali się podaniem ręki, żółwikami i innymi dziwnymi kombinacjami dłoni.

- Hej, wy tam, z Żeroma, nie macie dzisiaj szans – zawołał ktoś obok.
- Pożyjemy, zobaczymy – odkrzyknął Rysiek.
- Co tak siedzisz z boku? Dołącz do nas – zagadnął Ewę Jarek.
- Tak się przyglądam. Nigdy nie byłam na takich zawodach. – Wzruszyła ramionami.
- Robi wrażenie, co? Nawet telewizja regionalna już się zainstalowała, widzisz? – Pokazał w stronę trybun. – Zobaczysz, będzie prawie jak na prawdziwej olimpiadzie. Zaraz się zacznie część oficjalna, nawet znicz zapalą. Przemaszerujemy w pochodzie dookoła stadionu, a później to już nie ma zmiłuj, trzeba będzie dać z siebie wszystko. Denerwujesz się?

– Nie wiem. Może trochę.

– U mnie już adrenalina rośnie. Żeby tylko dobrze wystartować, ostatnio kilka falstartów zaliczyłem. Chyba się nerwowo zrobiłem, za bardzo mi zależy... – Przerwał nagle swoje zwierzenia. – Popatrz na tego wysokiego kolesia. To Robert Kapica, znam go z innych zawodów, zawsze jest wśród najlepszych, najwięcej medali zgarnia. Kurczę, on jeszcze urósł, ma już chyba metr dziewięćdziesiąt – szacował. – To mój główny rywal. On też i biega, i skacze.

Jarek był naprawdę zdenerwowany, miał jakiś słowotok. Bez przerwy też przeczesywał palcami swoje krótko obcięte włosy.

– Spokojnie, dasz radę. Wiesz, jeżeli on tak szybko rośnie, to musi mieć osłabione stawy – próbowała zlekceważyć sytuację.

– Tak myślisz? – uczepił się tego.

– Jasne, prawo biologii, coś za coś – wymądrzała się.

– Jarek, Ewa, ruszajcie się! – zawołała Stenia. – Trener woła. Zaczyna się. – Klasnęła w dłonie.

No i się zaczęło. Najpierw parada, później krótkie przemówienia władz miasta i wreszcie zapalenie znicza. Na koniec rozdano im numery startowe i podzielono ich na grupy.

Teraz i Ewie udzieliło się powszechne podniecenie walką. Każdy próbował się skupić, uspokajano się nawzajem, trener udzielał ostatnich rad, zapewniał, że jeśli dadzą z siebie wszystko, mają szansę na medale.

Ewa trzymała się dziewczyn, robiła, co jej kazano, starała się nie zagapić i nie zepsuć szans drużyny, ale sama nie czuła się w pełni uczestnikiem. Dla niej to było przedstawienie, każdy zawodnik miał wyznaczoną rolę do odegrania. W ogóle nie kojarzyło jej się to z bieganiem, które ona uprawiała. Taki cyrk, dużo wrzasku i aplauzu na widowni. Każdy zagrzewał swoich do walki.

Zaczynały od sprintu. Osiem torów biegło przez środek boiska, chłopcy startowali na bieżni. Straściła Jarka z oczu. Usłyszała strzał i widziała, że pierwsze zawodniczki wystartowały. Ich grupa czekała; wylosowały dalsze starty.

– Jezu, Ewa, jaka ty spokojna jesteś, ja się zaraz porzygam z nerwów – zagadnęła ją Grażyna. Rzeczywiście była bardzo blada.

– No coś ty, weź się w garść, to przecież tylko taka gra, zabawa, będzie dobrze – próbowała ją pozytywnie nastawić.

– Oszalałaś! Jaka zabawa?! – zaatakowała ją oburzona.

– Spokojnie, nikt ci głowy nie urwie, jak się nie uda, to tylko szkolne zawody...

– Nie, kochana, od tego, czy wygram, czy nie, zależy moje dalsze życie. To moja szansa, by się dostać na AWF. W przyszłym roku nie ma spartakiady. – Oczy Grażyny wypełniły się łzami.

Ewa przygarnęła ją mocno i poklepała po plecach.

– Słuchaj – powiedziała z naciskiem – jesteś w świetnej kondycji, na treningach robiłaś wszystko tak, jak należy, dasz radę!

– Jesteś pewna?

– Oczywiście! Wiesz, że nie rzucam słów na wiatr.

– Fakt, nie rzucasz. Obyś miała rację.

– Mam rację – potwierdziła stanowczo, a na twarzy Grażyny pojawił się uśmiech.

– Dziewczęta, proszę do mnie – zawołał je trener.

Ewa najpierw uczestniczyła w sprincie. O sekundę za późno zerwała się z bloku startowego, ale nadrobiła to i w rezultacie pierwsza przerwała taśmę.

Na mecie rzuciły się na nią dziewczęta, ściskając ją i całując, gdzie popadnie. Wszystkie krzyczały jak szalone: „Wygrałaś! Wygrałaś!”. Wzruszyła się ich szczerą, spontaniczną reakcją bardziej niż wygraną.

Na średnim dystansie obok niej biegła Stenia. Po pierwszym wirażu większość zawodniczek skupiła się na wewnętrznym torze, tylko ona trzymała się swojego. Jakieś nieznanne jej dziewczyny narzuciły duże tempo, nie dała się sprowokować. Biegła swobodnie, starając się nie myśleć o tym, gdzie jest. Była tuż za nimi. Po trzystu metrach część zawodniczek wyraźnie osłabła i została gdzieś z tyłu za nią. Gdy wchodziły w drugie okrążenie, zdarzył się wypadek. Stenia, która się wysforowała, nagle skuliła się, potknęła i straciła równowagę. Upadła, tarasując tor, po którym biegła Ewa. Ta odskoczyła w bok, by na nią nie wpaść, zwolniła, ale Stenia krzyknęła: „Małpa mnie popchnęła, dorwij ją!”.

Popędziła dalej, straciła jednak cenne sekundy. Miała przed sobą cztery zawodniczki. Skupiła się na rytmicznym oddychaniu, ruchach rąk i nóg. Systematycznie zbliżała się do tych przed nią. Po ostatnim wirażu miała przed sobą już tylko jedną zawodniczkę, tę „małpę” właśnie. Ostatnia prosta. Nie mogła pozwolić, by tamta zwyciężyła – włożyła w ten odcinek cały swój zapas sił. Wściekłość, chęć zwycięstwa za wszelką cenę zawładnęły nią. Mózg się wyłączył, straciła kontrolę nad swoim ciałem. Parła przed siebie nieświadoma, że wygrała ten bieg o jeden rzut na taśmę.

Dopadły ją dziewczyny, coś krzyczały. Ryk widowni na stadionie zagłuszył wszystko. Teraz otoczyła ją cała ich reprezentacja. Chłopcy chwycili ją i podrzucili kilka razy. Gdy stanęła już na własnych nogach, zauważyła, że podrzucał ją też trener.

– Świetna jesteś! – krzyknął jej prawie do ucha. Na koniec dopadła ją Stenia.

– Dzięki, jesteś wielka. Pokazałaś tej wrednej małpie, że z nami nie ma żartów.

Ewa poczuła się wreszcie członkiem tej grupy, w pełni akceptowanym i docenianym. Stwierdziła, że to bardzo miłe uczucie.

Bieg na osiemset metrów przeprowadziła zgodnie ze swoim planem. Nie zwracała zupełnie uwagi na innych. Najgorszy błąd, jaki mogłaby popełnić, to dać się omamić cudzemu rytmowi biegu.

Przed startem się wyciszyła, nastawiła pozytywnie, przypominając sobie, że bieganie to przede wszystkim radość, satysfakcja z pokonanej trasy. Zapewniała samą siebie, że jest świetnie przygotowana, trenowała przecież solidnie. Była gotowa przyjąć to wyzwanie i wygrać. Gdy padł strzał, ru-

szyla, uśmiechając się do siebie.

Ostatnie okrążenie należało do niej i jeszcze dwóch dziewczyn. Słyszała ich przyspieszone oddechy, widziała nadmiernie pochylone sylwetki i czuła ostry zapach potu. Nagle ogarnęła ją silna potrzeba uwolnienia się od ich towarzystwa. Przyspieszyła, aż zobaczyła przed sobą wolną przestrzeń, poczuła wypełniającą ją falę radości, euforii. Mogłaby tak pędzić, pędzić...

Uniosła głowę, rozwiane wiatrem kosmyki powędrowały na boki, a falująca grzywka odsłaniała jej połyskujące oczy. Każdy kolejny krok cieszył ją, wyzwalał, czuła się częścią tego pięknego świata.

Nie słyszała ryku widowni, nie poczuła przerywającej się taśmy, zaskoczył ją widok Jarka, który stał na torze z szeroko rozłożonymi rękami. Wpadła w te przyjazne ramiona w uniesieniu, upojona szczęściem. Jarek okręcił ją wokół siebie, krzycząc głośno: „Zwyciężyłaś, zwyciężyłaś! Jesteś najlepsza!”. Wtulili się w niego na chwilę. To była najcudowniejsza sekunda w jej życiu. Szybko pojawili się inni, krzyczeli, skakali, poklepywali. Natychmiast wróciła jej świadomość miejsca i czasu.

A później, gdy komputer podliczył wyniki i oficjalnie je ogłoszono, gdy kolejni zawodnicy wchodzili na podium, by zejść z medalami, dyplomami i dużymi kolorowymi torbami, gdy wszyscy wszystkim gratulowali, błyskały flesze aparatów fotograficznych, poczuła wielkie zmęczenie i znużenie. Uśmiechała się i ścisnęła wiele rąk, całowano ją i poklepywano. Tak, wykonała swoje zadanie, spełniła pokładane w niej nadzieje, zdobyła dla szkoły trzy medale. Ale teraz niech jej wszyscy dadzą święty spokój – chce do domu, chce ciszy. Zapragnęła po tym wszystkim zrobić coś zupełnie zwykłego: zetrzeć kurze, podlać kwiatki, ugotować budyń czekoladowy. Chciała się wymknąć do szatni, ale nagle poczuła, że ktoś ją obejmuje. Odwróciła się błyskawicznie i znalazła się w ramionach ojca.

– Córeczko, moja kochana. Gratuluję, gratuluję! Nie miałem pojęcia, że jesteś aż taka dobra! – Był naprawdę wzruszony.

– Skąd ty tutaj? Nie mówiłeś, że będziesz.

– Nie wiedziałem, czy na pewno uda mi się załatwić w pracy dzień wolny. Ale udało się i jestem taki szczęśliwy i dumny ze swojej córeczki. – Pocałował ją w policzek i jeszcze raz przytulił mocno, aż straciła oddech.

– Oj, tatusiu, bo mnie udusisz. – Roześmiała się szczęśliwa.

Ten dzień tak szybko się nie skończył, jeszcze wiele osób jej gratulowało, tych wielkich emocji nie dało się od razu wyciszyć.

Na koniec były wspólny obiad u babci i lody oraz ciasto. Dopiero wieczorem dotarła do domu i bynajmniej nie chciało jej się sprzątać. Wzięła prysznic i się położyła. Zasypiała uśmiechnięta i naprawdę szczęśliwa, po raz pierwszy od zniknięcia mamy.

Wyniki DNA

Aldona podpisała odbiór pisma i opuściła przychodnię. Chciała jak najszybciej zostać sama. Wynik badania nie mógł być inny niż oczekiwała, a mimo to czuła, że drży, a niepokój ściska jej gardło. Szła w kierunku domu, ale zmieniła zdanie i zawróciła w stronę oceanu.

Znalazła miejsce na czarnej skale, usiadła. Spokojna bryza delikatnie muskała jej rozpalone policzki. Dostyc nerwowo rozerwała kopertę i przeczytała krótkie pismo. No tak, wszystko się zgadzało, badanie potwierdziło ojcostwo Wiktora. Miała to czarno na białym. Odetchnęła głęboko. Teraz czekała ją najtrudniejsze zadanie, nie może już dłużej zwlekać, musi porozmawiać z Arturem.

Od kilku dni układała sobie zdania, uczyła się tej rozmowy na pamięć. Zbierała argumenty na proste pytanie syna: dlaczego?

Gdy wiele lat temu podejmowała decyzję, nie miała z tym żadnego problemu – to po prostu było najlepsze rozwiązanie. Najlepsze dla niej, oczywiście. Dzisiaj gnębiło ją wiele wątpliwości. Już niczego nie była pewna. Wspomnienie tej jednej nocy zbladło tak bardzo, że wydawała się nierzeczywista. Był jednak Artur. I rosło w niej poczucie winy, bo tych dwoje mogło wiele skorzystać z wzajemnych kontaktów. Nie mogła spać z powodu tych koszmarnych wyrzutów sumienia.

„Nie!” – nakazała sobie zdecydowanym tonem. „Podjęłam wtedy decyzję i przez lata sama ponosiłam jej konsekwencje. Oszaleję, myśląc o wszystkich innych możliwościach, roztrząsając niespełnione warianty. Może mogłam postąpić inaczej, ale tego nie zrobiłam, ponieważ dziewiętnaście lat temu uznałam, że tak będzie najlepiej dla wszystkich. Koniec z analizowaniem różnych «gdyby», taką wybrałam drogę i muszę się jej trzymać”.

Wstała, otrzepała spódnicę i ruszyła do domu. Rozmowa musi się odbyć dzisiaj.

* * *

Zapukała do pokoju syna, odczekała chwilę i otworzyła drzwi. Nie zawsze mogła się doczekać słowa „proszę”, bo często miał słuchawki na uszach i po prostu jej nie słyszał. Siedział rozwalony w dużym, obrotowym fotelu ze wzrokiem wbitym w ekran. Podeszła bliżej i zapukała w blat biurka. Spojrzał na nią szybko i dał znak dłonią, że ma poczekać. Po chwili jego palce zatańczyły na klawiaturze, a on sam westchnął głęboko, zdjął słuchawki i był gotowy jej wysłuchać.

– Coś się stało? – zapytał.

– Tak. Musimy porozmawiać. To bardzo ważne – podkreśliła.

– Byłem w klinice. Zrobiłem badania. Doktor Melgar zadzwoni do ciebie, jak będą wyniki – uprzedził jej pytanie.

– Bardzo się cieszę. Ale chciałam porozmawiać o innej sprawie. To będzie długa rozmowa i zależy mi na tym, by odbyła się dzisiaj. O której zejdiesz na dół?

Popatrzył na nią zdziwiony, wzruszył ramionami i powiedział:

– Może za godzinę?

– Dobrze.

Gdy zamykała za sobą drzwi, widziała jego uważny wzrok. Z pewnością był zaskoczony jej zaproszeniem i teraz intensywnie próbował się domyślić, o co może chodzić. A ją czekała najdłuższa w życiu godzina oczekiwania.

* * *

– Więc teraz, gdy umieram, mówisz mi, że mam ojca, który jest profesorem fizyki? – zapytał z niedowierzaniem.

– Nie umierasz. Jesteś chory, szukam ratunku dla ciebie.

– Nic nie rozumiesz – zwrócił się do niej zniecierpliwionym i coraz bardziej agresywnym tonem.

– Tyle lat szukałem nauczyciela, przewodnika, kogoś, kto by mną pokierował, a ty ukrywałaś przede mną takiego ojca?

– Jakiego przewodnika? O czym ty mówisz?

– Zawsze chciałem mieć takiego ojca, nie jakiegokolwiek. On nie jest mi potrzebny jako rodzic, tylko jako naukowiec, człowiek o olbrzymiej wiedzy i możliwościach. Mógłby ułatwić mi spełnienie największego marzenia, mógłby mi pomóc dotrzeć do Doliny Krzemowej.

– Artur, uspokój się. O jakiej dolinie ty mówisz? On mieszka w Polsce, w Krakowie.

– Nie wytrzymam! Nie potrafię z tobą rozmawiać. Wrócimy jeszcze do tego. Chyba rozumiesz, że muszę to wszystko przemyśleć, przetrwać.

Wstał i wyszedł z pokoju. Chwilę później wrócił i zabrał pismo potwierdzające ojcostwo Wiktora. Usłyszała, jak wchodzi po schodach i trzaska z pasją drzwiami. Wzdrygnęła się. Oparła głowę o fotel i zamknęła oczy.

Artur bardzo spokojnie przyjął wiadomość, że jego ojciec żyje. Opowiedziała mu o ich jedynym spotkaniu i decyzji, jaką podjęła kilka tygodni później. Wyjaśniła, dlaczego tak postąpiła. Milczał zaskoczony, ale bez wrogości, odniosła wrażenie, że niewiele go to obchodziło. Gdzieś tam, w obcym dla niego kraju, mieszkał człowiek nieświadomy faktu, że dał mu życie. Wzruszył ramionami, gdy tłumaczyła mu, dlaczego po tylu latach nawiązała z nim kontakt.

– Myślisz, że w tej Polsce czeka na mnie czyjeś serce? W sumie może masz rację, jest to jakaś dodatkowa szansa – stwierdził bez entuzjazmu.

Gdyby na tym poprzestała, osiągnęłaby cel. Artur nie protestował, właściwie zgadzał się na wyjazd i konsultację z polskimi kardiochirurgami. Niestety, chciała mu przybliżyć postać ojca. Opowiedziała wszystko, co sama wiedziała o Wiktorze.

I stało się to, czego się obawiała – że nie wybaczy jej braku kontaktu z ojcem naukowcem. Wiktor jako tatuś nie miał dla niego znaczenia, Artur zobaczył w nim wielką wiedzę i możliwości rozwoju dla siebie, a ona mu to zabrała. Trudno, tego już nie zmieni. Niech się na nią wścieka i obraża. Ważne, że poleci do Polski i będzie walczył o swoje życie.

Musiała przyznać, że rozmowa przebiegała o wiele spokojniej, niż się spodziewała. Obawiała się jakichś dramatycznych scen, w końcu nie co dzień komuś zmartwychwstaje ojciec. Przekonała się też, że wyobrażenia i lęk przed nieznanym niepotrzebnie tak wyolbrzymiają trudności i paraliżują strachem.

Resztę wieczoru spędziła, przeglądając albumy ze zdjęciami. Wybrała kilka: maluszek w łóżeczku, w przedszkolu, dziesięciolatek na plaży i w miarę aktualne, z ostatnich świąt, obok choinki. Artur nie lubił być fotografowany, nie miała za dużego wyboru. Martwiła się, że był taki gruby. Miał ładną twarz, gęste, kręcone włosy, piękne brązowe oczy i sympatyczny uśmiech, tyle że najpierw rzucała się w oczy jego zniekształcona tuszą sylwetka.

Chciała, żeby zrobił na ojcu dobre wrażenie. Była przekonana, że gdy tylko się bliżej poznają, to się polubią. Wiedziała jednak, że ludzie bardzo otyli wiele tracą przy pierwszym spotkaniu. Trzeba dać im szansę, poświęcić trochę czasu i uwagi, by zauważyć, jakimi są wspaniałymi ludźmi.

Najchętniej nie pokazywałaby tych zdjęć nikomu, ale musiała spełnić wszystkie życzenia Wiktora, bo od jego decyzji zależało życie Artura. Zeskanowała fotografie i wysłała razem z krótką notatką o jego inteligencji, pasji komputerowej i zdolności do nauk ścisłych.

* * *

Artur siedział w fotelu i próbował uspokoić rozdygotane serce. Z niedowierzaniem patrzył na rozłożoną na kolanach kartkę. Ma ojca!

I co on powinien teraz z tą wiadomością zrobić? Domyślał się, że tatusiek też musiał przeżyć szok. Ciekawe, jak to przyjął. Ma syna! Dorosłego faceta. W dodatku chorego, właściwie umierającego supergrubasa. Zachwycony nie będzie, to pewne.

Szybko wystukał jego nazwisko na klawiaturze. Pokazało się wiele linków, wszedł w galerię i już wiedział. Pan Wiktor był przystojnym facetem. Szczupły, wysoki. Szpakowate, krótko obcięte włosy i duże brązowe oczy. Już teraz wiedział, po kim odziedziczył swoje, mama miała szaroniebieskie. Nie ma co zaprzeczać, fajnego ma ojca. Dwadzieścia lat temu bez trudu zaciągnął mamę do łóżka,

teraz się jej nie dziwił.

– A może mam też rodzeństwo? Jakiś braciszek lub siostrzyczka? – kpił z samego siebie.

Westchnął głęboko. Takiego obrotu spraw się nie spodziewał. Pamiętał, że kłócił się kiedyś z mamą o to, czy jest Polakiem, czy Hiszpanem.

– Polakiem.

– Dlaczego?!

– Takie obowiązują idiotyczne przepisy – wyjaśniła.

To, że urodził się na Teneryfie, nikogo nie obchodziło. Matka była Polką, bo nie zmieniła obywatelstwa, więc on też musiał być Polakiem. Nigdy nie widział tej swojej ojczyzny i tak naprawdę nie chciał zobaczyć. Mama ani razu nie zaproponowała wycieczki krajoznawczej, nikt stamtąd też ich nie odwiedzał. Widać nie było warto. On sam czuł się wyłącznie mieszkańcem tej wyspy. Znał język polski, ponieważ mama od urodzenia bardzo tego pilnowała, rozmawiała z nim tylko w tym języku. Czytała mu polskie bajki. Dzięki temu od początku był dwujęzyczny.

– Będziesz mógł zmienić sobie obywatelstwo, gdy skończysz osiemnaście lat – pocieszyła go mama.

– Jasne, że tak zrobię. Nigdy nie byłem i nie będę Polakiem.

– Tak myślisz? W twoich żyłach płynie polska krew, a nie hiszpańska. Ale decyzja będzie należała do ciebie.

– Oj, mamo, krew to płyn ustrojowy, nie ma obywatelstwa. Gdy wlejesz ją do szklanki, to nie odróżnisz hiszpańskiej od polskiej.

– Dobrze już, mój mądralo, wiesz, o czym mówię. A swoją drogą, z tą krwią to chyba nie do końca jest tak prosto.

Machnął ręką zniecierpliwiony.

– A dlaczego ty nie zmieniłaś obywatelstwa? W końcu mieszkasz tu już dostatecznie długo. Przystałabyś być cudzoziemką, łatwiej by ci było.

– Sama nie wiem. Gdybym mogła mieć podwójne obywatelstwo, to pewnie już dawno bym to zrobiła. Hiszpania ma jednak takie przepisy, że możesz być obywatelem tylko jednego kraju, z drugiego musisz zrezygnować.

Właściwie nie czuł do niej żalu. Zrobiła to, co uznała wtedy za słuszne. Nie planowała tej ciąży, ale poradziła sobie sama i to całkiem nieźle. Gdyby nie ta choroba, nie byłoby potrzeby zmieniania czegośkolwiek. Jego chore serce wszystko przekreśliło.

W sumie to dobrze, że wpadła z naukowcem, fizykiem. Mógł to być ktokolwiek i wtedy nigdy by się nie zgodził na opuszczenie Teneryfy. Tutaj się urodził, przeżył swoje krótkie życie i zamierzał umrzeć. Teraz jednak chciał poznać faceta, po którym odziedziczył ścisły umysł. Może będzie się im dobrze rozmawiało? Ciekawe, nad czym pracuje. Czy mógłby mu pomóc w rozwiązaniu pewnych kwestii?

E, o czym on myśli, facet wypnie się na nich i tyle. Kto chciałby dobrowolnie przewracać sobie życie do góry nogami? A może jednak się nie wypnie? Związki krwi są podobno najsilniejsze w relacjach międzyludzkich. Ale czy to wystarczy, by chciał ratować syna?

Syn, ojciec. Czy można wejść w taką relację w dorosłym wieku? Obcy człowiek. Ale ciekawy układ. No i nieznany mu kraj.

Obejrzał sobie Kraków. Inna kultura, odmienna architektura. Mają tam zamek królewski i stary Uniwersytet Jagielloński. Nigdy się nie zastanawiał nad swoimi korzeniami – nie miało to dla niego znaczenia. Kiedyś usłyszał, jak mama mówiła do Pepity, że jej życie zaczęło się od momentu, gdy wylądowała na Teneryfie. Przekreśliła wcześniejsze lata, bo nie były warte nawet wspomnień. Wierzył, że podjęła słuszną decyzję. Do tej pory jej ufał, teraz miał duże wątpliwości. Czy jej wybory na pewno były najlepsze?

Nie mógł się oszukiwać – pojawiła się jakaś nadzieja i ulga, że ktoś dorosły, silny przejmie inicjatywę. I może jednak coś się pozytywnie zmieni w jego życiu? Mama już traciła energię, czuł to, robiła się słaba, przerażona, bezradna. Pewnie też potrzebowała wsparcia.

Popatrzył na ekran komputera. Po raz pierwszy życie w realu było ciekawsze od wirtualnego. Miał nad czym główkować. Nagle świadomość, że ma rodzinę, zaczęła go intrygować. Do tej pory wszystko było proste – rodzina to on i mama. I fajnie było, niczego mu nie brakowało. Teraz może się okazać, że tak jak Pedro ma rodzeństwo, kuzynów, ciotkę i wujków. Na pewno ma babcię, mama coś tam wspomniała. Ale się porobiło. Z drugiej strony, po co mu to teraz?

Bohaterowie jego gier to samotni wojownicy – mogli się bez reszty oddać sprawie. Nikt ich nie ograniczał, niczego nie musieli, nie zobowiązywały ich żadne więzy krwi, byli wolni. Ich pochodzenie skrywała tajemnica, przychodzili nie wiadomo skąd albo byli jedynymi ocalałymi świadkami jakiegoś kataklizmu. Tak też zawsze widział siebie.

„No dobrze” – podjął decyzję. „Polecę do Polski, poznam tatusia i całą resztę. Tutaj już nic się nie wydarzy. Zrobię to dla mamy. To może odmienić jej życie, nie będzie taka sama, gdy mnie zabraknie”.

Jasnowidz

Stan babci Trudzi gwałtownie się pogorszył. Przewróciła się w drodze do łazienki. Stwierdzono lekki udar. Ewa codziennie odwiedzała ją w szpitalu. Nagle uświadomiła sobie, że babcia jest najbliższą jej osobą. No, był jeszcze ojciec, ale odkąd zamieszkał z inną kobietą, czuła rosnący między nimi dystans. Uczucie żalu z jej strony i wyrzuty sumienia z jego zmieniły charakter ich relacji. Rozmawiali jak dwoje dorosłych ludzi, a ona tęskniła czasami za byciem czyjąś małą córeczką. Ojciec od dawna nie traktował jej jak dziecka, sama o to bardzo zabiegała, ale jednocześnie czegoś jej brakowało.

Całą swoją czułość przelała więc na babcie. Lubiła czesać jej włosy, czytać stare romanse i karmić ją ulubionymi potrawami. Często ją przytulała, gładziła dłonie, smarowała kremem jej cienką, wysuszoną skórę.

Babcia mówiła teraz wolniej, jakby zastanawiała się nad każdym słowem, ważyła je. Uśmiechała się ciepło i miała takie mądre, dobre oczy. Przy niej jednej czuła się kochana i akceptowana bez zastrzeżeń. Jej serdeczne słowa – „Ewuniu kochana, dzieciątko ty moje, serduszko ukochane” – wcale nie wydawały się przesadzone.

Dzisiaj przywiozła babci jej ulubione naleśniki. Usmażyła cieniutkie ciasto, wypełniła malinową konfiturą i leciutko posmarowała z wierzchu miodem. Babcia robiła takie, gdy Ewa była mała, bardzo smakowały też Stasiowi, odkąd uświadomił sobie, że lubi miód.

Naleśniki były jeszcze ciepłe, bo zawinęła pojemnik we frotowy ręcznik. Przywiozła ich tyle, że mogła poczęstować również panie leżące z babcią w jednej sali. Oj, nasłuchiwała się pochwał, a oczy babci wypełniły się łzami wzruszenia, dumy i miłości. Musiała tym paniom dużo opowiadać o wnuczce, bo były dla Ewy bardzo serdeczne. Pół godziny później pojawiła się zdyszana pani Czesia. Już od drzwi zameldowała bardzo zaaferowana:

- Mam, mam, udało mi się załatwić! Nie było łatwo, nabiegałam się, ale wszystko gotowe.
- Spokojnie i powoli – zażądała babcia.

Ewa była zaskoczona tonem babci, od dawna nie słyszała w nim takiej stanowczości. Nie miała pojęcia, co załatwiła Czesia, ale musiało to być coś bardzo ważnego.

– Pani Trudziu, zdobyłam ten adres i tak jak mi pani kazała, pojechałam do niego. To bardzo zajęty człowiek, na początku w ogóle nie chciał słyszeć o przyjeździe. Twierdził, że to pani powinna

przyjechać do niego, i jeszcze wyznaczył taki odległy termin. – Machnęła ręką. – No ale nie dałam się zbyć. Wyjaśniłam, że pani jest bardzo chora i nie może tak długo czekać, ale tak naprawdę, wie pani, przekonały go pieniądze. Miała pani rację, odpowiednia suma i wszystko dało się załatwić.

– No i co, przyjedzie? – niecierpliwiła się babcia.

– Przyjedzie, a jakże. Będzie w sobotę, tak jak pani chciała, o osiemnastej. Tylko czy na pewno panią wypuszczą do domu? – Rozejrzała się po sali.

– Wypuszczą, w piątek wypuszczą. Rozmawiałam z doktorem.

– Babciu, o co chodzi? Kto przyjedzie? – wtrąciła się Ewa.

Babcia popatrzyła na Czesię, obydwie przez chwilę milczały, w końcu skinęła głową, a pani Czesia z wielką ochotą zaczęła wyjaśniać:

– Ewuniu, przyjedzie jasnowidz. Sławny człowiek, wielu ludziom już pomógł. Wcale niełatwo było zdobyć jego adres i dostać się do niego. A jeszcze namówić go, by to on przyjechał do babci... – Machnęła tym razem obydwoma rękami.

– Jasnowidz? – Ewa nie mogła ukryć zdziwienia. – A po co?

– Oj, dziecko. Jak to po co? On pomoże odnaleźć twoją matkę. Popatrzy na zdjęcie, dotknie jakiegoś sweterka mamy i zobaczy, gdzie jest, co się z nią dzieje. Nie słyszałaś o tym? – tłumaczyła zniecierpliwiona.

– Słyszałam, ale to są oszuści, robią to dla pieniędzy, żerują na naiwnych...

– Żaden oszust! – oburzyła się Czesia nie na żarty. – Wielu ludziom pomógł. Nawet policja prosi go o pomoc. Co ty tam wiesz, za młoda jesteś.

– Babciu, po co to wszystko? Tylko się niepotrzebnie zdenerwujesz i jeszcze ci zaszkodzi.

– Wnusi, ja muszę wiedzieć, gdzie jest moja córka, co się z nią dzieje. Szczególnie teraz, gdy jestem taka chora i nie wiem, ile czasu mi jeszcze zostało. Nie chcę, żebyś została sama na tym świecie. Twoja matka musi wrócić, musi się tobą zaopiekować.

– Wierzysz w to, babciu? Tyle czasu minęło, a ilu ludzi jej szukało, policja... Wszyscy mówią, że już dawno nie żyje.

– Nie wszyscy, kochanie. Człowiek to nie igła, zawsze zostawi jakiś ślad, a świat nie jest aż tak wielki, szczególnie w dzisiejszych czasach. Nie trać nadziei. Nie ma ciała, nie ma śmierci. Ona żyje, ja to wiem. Tylko już czas, by wróciła.

Ewa wzruszyła ramionami. Wiedziała, że babci nikt nie przekona, skoro podjęła już decyzję.

* * *

W sobotę Ewa wprost nie mogła się doczekać wieczoru. Aby się czymś zająć, odkurzyła całe mieszkanie i wymyła podłogi. Nie zajęło jej to zbyt wiele czasu. Mieszkała sama, nikt jej nie brudził. Starła się na bieżąco zmywać, prać i sprzątać, bo zajmowało jej to o wiele mniej czasu, a sprawiało,

że przyjemniej było wracać do domu. Śląsk niestety rządził się swoimi prawami; kurz, sadza, szybko szarzące firanki – to robiło się samo i wymuszało działanie, ale przywykła do tego. Potrzebę czystości wyssała z mlekiem matki.

Ambicją Ślązaczek zawsze były lśniące okna i śnieżnobiałe firanki, duża liczba serwetek i kolorowych makatek. W domu babci co tydzień prało się, krochmalilo i prasowało ozdabiające meble koronkowe serwetki i białe makatki ze scenkami rodzajowymi haftowanymi ścięciem krzyżykowym. Lubiła to, ale w swoim domu już niekoniecznie. Żadnych większych zmian w mieszkaniu nie wprowadziła, ponieważ ciągle żyła nadzieją, że mama w każdej chwili wróci. Mogłaby wtedy poczuć się obco, uznać, że ślady po niej zatarto, zapomniano o niej. Schowała jednak do szuflad wszystkie bibeloty. Lubiła swobodną przestrzeń, proste, spartańskie życie. Człowiek naprawdę nie potrzebuje tylu rzeczy, by dobrze się czuć.

Babcia pozwoliła jej na odwiedziny w sobotę dopiero po wizycie jasnowidza. Twierdziła, że chce być z nim sama. Będzie musiał patrzeć jej w oczy i powiedzieć wszystko powoli i dokładnie. Nawet pani Czesia poczeka w kuchni.

Ewa nie próbowała dyskutować, wiedziała, że jak babcia coś postanowi, to tak po prostu musi być.

Czas bardzo jej się dłużył, ani książka, ani telewizja, ani nawet Internet nie były w stanie zainteresować jej czymkolwiek. W końcu przebrała się w dres, naciągnęła kaptur na głowę i wyszła pobić. Skróciła jednak trasę, bo coś jak magnes ciągnęło ją pod dom babci.

Od razu zwróciła uwagę na nieznaną samochód zaparkowany pomiędzy familokami. Nie pasował do tego otoczenia – zbyt luksusowy, błyszczący nowością, duży mercedes. Wyjęła z kieszeni długopis i notesik i zapisała numer rejestracyjny. Nie miała zaufania do jasnowidzów i wrózek. Nie wierzyła w ich moc. Ale też ich nie lekceważyła. Wiedziała, że wśród armii ludzi czerpiących zyski z ludzkiej naiwności mogą się zdarzyć wybrańcy.

Nie czekała długo, z klatki schodowej wyszedł niski, łysawy mężczyzna i od razu skierował się w stronę samochodu. Błysnęły światelka centralnego zamka, samochód pisnął ostro. Mężczyzna nie rozglądał się, wsiadł i natychmiast odjechał. Wyraźnie się spieszył.

„Podejrzany typek” – pomyślała. Poczula do niego niechęć, wydał jej się nieszczerzy. Taki niepozorny facecik, tuzinkowa uroda. Widziała wyraz ulgi na jego twarzy, gdy tylko wsiadł do auta. Pewnie tylko w takim wielkim samochodzie czuł się bezpieczny i ważny. Ciekawe, ile osób wykorzystał, by kupić sobie takie cacko?

Jaką odpowiedź dał babci? Mama żyje czy nie? Ciekawe, co jej naopowiadał. Czy rzeczywiście wskazał miejsce jej pobytu? Czy on to może widzieć? I w jaki sposób? To jakiś absurd.

Nagle przestało jej się spieszyć. Patrzyła w okna mieszkania, świeciło się tylko w kuchni. Na pewno babcia z panią Czesią siedzą przy herbatce i szczegółowo omawiają spotkanie. Kuchnia to najważniejsze miejsce w domu babci, to tam prowadzi się ważne rozmowy, podejmuje decyzje, tam

przyjmuje się swoich. Dla gości jest zawsze przygotowany wysprzątnany na błysk pokój.

Zrozumiała, że nie chce tam teraz iść, nie chce wiedzieć. Przywykła do takiego życia w zawieszaniu, w niepewności, w nadziei. Minęło prawie sześć lat. Już tak nie czeka, już nie płacze, coraz mniej tęskni.

Kiedyś rozpaczała, szukała grobu mamy na cmentarzu, modliła się. Codziennie po lekcjach chodziła do kościoła. I nikt jej nie mógł odpowiedzieć na najważniejsze pytanie: dlaczego mama ją opuściła. Co takiego się z nią stało, że zapomniała o swoim dziecku? Uznała, że tylko nagła śmierć mogłaby ją usprawiedliwić. I w swoim sercu pożegnała się z mamą ostatecznie, pochowała ją w wirtualnym grobie. Przez cały rok zapalała wirtualne świece. Widziała ją w raju u boku Stasia, otoczonych najpiękniejszymi aniołkami.

A teraz jakiś jasnowidz mógł to wszystko zburzyć, mógł udowodnić, że to nie mama umarła, lecz ona umarła w sercu mamy. Przestała być dla niej ważna...

– Cześć, Ewka, coś się tak zamyśliła? Idziesz do babci? – Pani Cześniakowa szła, posapując. Taszczyła siatki z zakupami.

– Tak, idę do babci – potwierdziła. – Pomogę pani, to musi być bardzo ciężkie.

– Dziękuję ci, dziecko, dobry z ciebie człowiek. No, sobota dzisiaj, to zakupów więcej. Cztery gęby do wykarmienia, ale do noszenia nie ma chętnych. Taki los kobiety.

Weszły na klatkę schodową. Pani Cześniakowa mieszkała na drugim piętrze, nad babcią. Miała męża i dwóch prawie dorosłych synów.

Zaniosła jej te siatki pod same drzwi. Schodząc, zawahała się. Mogła jeszcze wrócić do domu, ale gdyby teraz minęła drzwi babci, okazałaby tchórzostwo. Szybko nacisnęła dzwonek.

* * *

Wstała i poszła do kuchni napić się wody. Na fajansowym zegarze w kształcie czajniczka zobaczyła, że minęła druga w nocy. Bitwa myśli w jej głowie osiągnęła apogeum. Głupi, cholernie głupi, pieprzony jasnowidz! Jak śmiało objawić im swoją wizję, taką wizję!

Więc po pierwsze, mama na pewno żyje, a po drugie, jest gdzieś niedaleko, jego zdaniem nie wyjechała za granicę, nawet nie opuściła Śląska! Policja nie może jej znaleźć, bo ona „nie chce być odnaleziona”. Jego zdaniem odcięła się od dotychczasowego życia, zmieniła środowisko i siebie samą. Nie może powiedzieć jak, ale mogła na przykład zmienić kolor włosów, sposób ubierania się, mogła znacznie przytyć albo bardzo schudnąć. Stwierdził, że jest tam, gdzie nikt by jej nie szukał, i robi to, o co nikt by jej nie podejrzewał.

Totalna bzdura! Tłumaczyła babci, że każdy by coś takiego wymyślił, że to oszust najwyższego kalibru, bo za tę swoją wizję skasował od starej, schorowanej emerytki niebagatelną sumę – tysiąc złotych!

Zaskoczyła ją postawa babci. Była spokojna, zbyt spokojna, zważywszy na sytuację. Sprawiała wrażenie, jakby zupełnie nie interesowało jej to, co ona i pani Czesia miały do powiedzenia. Kazała im tylko przysiąc na Pismo Święte, że nikt się o niczym nie dowie. Ani o tym, że odwiedził je jasnowidz, ani o tym, co powiedział. Szczególnie ojcu miała nic nie mówić, nikomu.

Pani Czesi chyba ciśnienie skoczyło, bo cała zrobiła się czerwona i gdy kładła dłoń na Biblii, trzęsły jej się ręce.

Babcia popatrzyła na nią i jeszcze raz podkreśliła, że tę, która złamie przysięgę, osiągnie wielkie nieszczęście.

Gdy opiekunka wyszła do pokoju przygotować łóżko do spania, babcia zakryła twarz dłońmi, ciężko westchnęła i wyszeptwała:

– Tak się boję, że moja córka zeszła na złą drogę.

I teraz te właśnie słowa męczyły Ewę tak okrutnie. Pewnie dlatego, że od razu, jeszcze w babcinej kuchni, wywołały obraz tamtego wieczoru: garaże, mężczyźni i krzycząca kobieta. Samo podejrzenie, że jej mama mogłaby stać się kimś takim, wywoływało potężny skurcz żołądka i odruch wymiotny. Im bardziej starała się odrzucić tę myśl, tym mocniej ona ją atakowała. Zdawała sobie sprawę, że grozi jej jakaś forma szaleństwa, w jej głowie rodził się bowiem pewien pomysł i nie dawał jej spokoju.

Jak to możliwe, żeby w tak małym kraju zaginęła dorosła osoba? To nie Afryka, by mogła spać pod gołym niebem i żywić się owocami i korzonkami. Minęło sześć lat, a więc również sześć zim. Mama musiała gdzieś mieszkać, coś jeść.

Zrozumiała, że nadszedł czas, by to ona wzięła sprawy w swoje ręce. Policja z pewnością złożyła akta mamy do archiwum, ojciec znalazł sobie Marlenę, babcia, stara i schorowana, wierzyła już tylko w cuda, siły nadprzyrodzone. Została zupełnie sama na placu boju. Tak dłużej żyć nie można, w tej niewiedzy, zawieszeniu. Albo odnajdzie mamę, obojętnie gdzie, albo udowodni, że ona nie żyje, odnajdzie jej grób i... Nie wiedziała, co potem, ale najgorsza była niepewność. Niech sobie mama żyje gdzie chce i z kim chce, ale musi jej wyjaśnić, dlaczego ją porzuciła. Tego się dzieciom nie robi. Jasne, że Ewa nie jest żadnym wyjątkiem, porzuconych dzieci nie brakuje, ale... jej mama była porządną kobietą. Poświęciła swoje życie rodzinie, kochała ich, dbała o nich, walczyła o życie Stasia jak lwica. Nie, to niemożliwe, by była taka jak tamte.

A jeżeli Ewa się myliła? Sytuacja była tak niesamowita, że jej wyjaśnienie również mogło być szokujące. Bała się prawdy, ale każde działanie wydawało się lepsze niż to jałowe oczekiwanie.

Od jutra zacznie poszukiwania. Najpierw dzielnice Bytomia. Dokładnie, z planem miasta. Po namyśle postanowiła darować sobie centrum i nowe, zamożne osiedla. Tam kręciło się najwięcej policji, straży miejskiej i wszelkiego typu ochroniarzy. Trzeba zajrzeć do dzielnic najbiedniejszych, spenetrować tereny za miastem, hałdy, laski, nieużytki. Teraz jej bieganie nabierze nowego wymiaru. Najważniejszy jest pomysł, a potem konkretny plan działania i realizacja.

Nareszcie uspokoiła gonitwę myśli w swojej głowie i poczuła zmęczenie. Wróciła do pokoju i natychmiast zasnęła.

Fotografia

Otworzył e-maila od Aldony. Domyślił się, co zawiera, zanim komputer uporał się z przetwarzaniem. Za sekundę zobaczy swojego syna. Wstrzymał oddech. Wiedział już, że to jego syn, miał dowody na piśmie, potwierdzenia dwóch niezależnych laboratoriów.

Gdy zdjęcie się otworzyło, poczuł ogromny niesmak. To nie może być prawda, nie! To jakiś żart? To monstrum rozwalone w fotelu przy bożonarodzeniowej choince miałoby być jego synem?

Powiększył fotografię, postać chłopca wypełniła cały ekran monitora. Z obrzydzeniem patrzył na grube kolana, uda, fałdy tłuszczu na brzuchu. Ramiona nie mieściły się na ekranie. Szeroki kark i okrągła twarz, podwójny podbródek. Grymas uśmiechu, meszek pod nosem i ciemne, brązowe oczy. Gęste, kręcone włosy opadające na ramiona.

Instynktownie dotknął dłonią swoich włosów. Były krótko ostrzyżone, gęste. Wiedział jednak, że gdyby tylko pozwolił im trochę odrosnąć, zwinęłyby się w kędziory. I te oczy, brązowe, w czarnej oprawie rzęs. Siła genów była porażająca. Pomimo monstrualnej otyłości chłopca byli do siebie podobni.

Bardzo się rozczarował, poczuł się okrutnie oszukany. Jaki był naiwny! Marzył o wspaniałym młodzieńcu, na którego widok mocno zabije jego serce, w cudowny sposób zrealizuje się skrywane pragnienie przeżywania ojcostwa i przekazania pokoleniowej pałeczki. Oczami wyobraźni widział silnego, wysportowanego, inteligentnego chłopaka, takiego, jakim on był w jego wieku. Chciał z dumą ogłosić światu: oto mój syn! Los sobie z niego zakpił, i słusznie. Niczym przecież nie zasłużył na ten zaszczyt. Bycie ojcem wymagało wielu poświęceń, a on chciał tak z marszu? Nagle przypomniał sobie, że to przecież nie jego wina, nawet nie wiedział, że został ojcem!

Aldona, to ona jest za wszystko odpowiedzialna. Jak mogła pozwolić na to, by ich syn tak wyglądał? Nic dziwnego, że jego serce nie było w stanie sprostać zadaniu. Z pewnością było strasznie otłuszczone.

Wrócił do poprzednich zdjęć. Ta otyłość to nie był problem ostatnich lat. Polscy pediatrzy biliby na alarm już w przedszkolu. Biedny malec, na pewno nie miał łatwego życia, dzieci są przecież bardzo okrutne.

Wracał do tych fotek wielokrotnie, starał się wyobrazić sobie kolejne fazy rozwoju chłopca. Ogarnęło go dziwne uczucie. Początkową niechęć i odrazę zastępowały współczucie i chęć pomocy. Trze-

ba działać i to szybko, tego był pewny. Leczyć serce i obowiązkowo odchudzić. Jedno było zapewne powiązane z drugim.

Westchnął głośno, gdy tylko uzmysłowił sobie, że mamusia czeka na te zdjęcia. To będzie trudny wieczór. Pamiętał jej kąśliwe uwagi na temat tłustych nastolatków, jej niechęć do coca-coli i fast foodów. Według niej dziecko nie powinno mieć nadwagi od momentu, gdy opanuje chodzenie. Dużo ruchu na świeżym powietrzu, sport od najmłodszych lat – to jej zdaniem najlepsze metody wychowawcze. On był tego pokazowym przykładem.

Dopiero teraz zauważył dwie linijki tekstu w e-mailu. Aldona napisała, że Artur ma zdolności do nauk ścisłych, jego pasją są komputery. Jest najlepszym uczniem w klasie z fizyki, chemii i matematyki. Zna biegle trzy języki: polski, hiszpański, angielski. Uczy się dodatkowo japońskiego.

Jeszcze raz otworzył fotografię Artura i popatrzył z sympatią w brązowe oczy. No, chłopie, w tej wielkiej głowie jest też wielki mózg. Moja krew.

* * *

– O Boże, to nie żart? – Mamusia kiwała głową z niedowierzaniem.

Wzruszył ramionami. Świetnie ją rozumiał, też przeżył szok.

– Tak wygląda mój wnuk? Już ja sobie porozmawiam z jego matką. Jak można być tak nieodpowiedzialną? Ten biedaczek jest przekarmiany od urodzenia. Czy na tej Teneryfie nie ma lekarzy? Teraz wszystko jest jasne, to dlatego serce odmawia mu posłuszeństwa.

– Nie, mamusiu, to nie jest tak. Konsultowałem się z Kazimierzem. Chłopiec choruje na kardiomiopatię przerostową. Ma ona często podłoże genetyczne. W jej leczeniu zakazuje się wysiłku fizycznego, rozumiesz, tylko spacer. Artura zdiagnozowano w dziewiątym roku życia, wcześniej choroba przebiegała bezobjawowo. Taka ciężka niewydolność krążenia, jaką ma teraz, dotyka tylko około dziesięciu procent chorych. To skomplikowane, w grę wchodzi jakieś chromosomy i mutacje.

– Jak to choroba dziedziczna? To znaczy, że w jej rodzinie już ktoś na to chorował, więc dzieciak powinien być pod opieką kardiologa od urodzenia.

– Nie, mamuś, ta choroba jest przekazywana sporadycznie. W ogóle bardzo rzadko występuje, niestety dotyka dzieci i ludzi młodych. Rozwija się praktycznie bezobjawowo, dopiero z czasem pojawiają się duszności, utrata przytomności i nagły zgon. Artur jest leczony, jego stan kontrolowany i pół roku temu został zakwalifikowany do transplantacji serca. Kazimierz powiedział, że dzięki temu żyje tak długo. Myślę, że Aldona niczego nie zaniedbała.

– To niesprawiedliwe, dlaczego właśnie jego musiała dotknąć taka rzadka choroba? To mój jedyny wnuk.

– Mamuś, przecież wiesz, że na takie pytania nie ma odpowiedzi.

– Wiem, ale to jest bardzo niesprawiedliwe. Zgodzisz się ze mną?

- Oczywiście, masz rację. – Położył jej dłoń na ramieniu.
- No to co, synku, sprowadzamy ich do Polski?
- Pracujemy nad tym, mamó. Kazimierz mi pomaga. Sama rozumiesz, to nie tylko zmiana klimatu, ciśnienia, powietrza. Obowiązuje nas mnóstwo różnych przepisów. Nie jest to takie proste. Złożyłem już w sądzie wnioski o uznanie ojcostwa, będzie to ważne przy staraniu się o PESEL. Trzeba mu zmienić świadectwo urodzenia i paszport.
- Jak to, on nie jest Polakiem?
- Urodził się na Teneryfie, ale ma obywatelstwo polskie, tylko że tam nie nadają numerów PESEL, a w Polsce bez tego nic się nie da zrobić, sama wiesz.
- Mój wnuk jest Hiszpanem czy Polakiem? – dopytywała się rozdrażniona.
- Nie denerwuj się. Jest Polakiem, ponieważ Aldona nie zmieniła obywatelstwa i przypilnowała, by biegle mówił po polsku.
- I całe szczęście. – Uspokoila się.
- Mamuś, wszystko musi być przemyślane i dobrze przygotowane. Już się tym zająłem.
- Zaraz, a nazwisko? Jakie nosi nazwisko? – zapytała.
- Nazwisko matki, Kwapisz. Aldona w metryce urodzenia wpisała „nn”, ojciec nieznany.
- Jak mogła! Trudno to będzie wybaczyć. Czy ona ma pojęcie, jakie nazwisko odrzuciła?
- Nie sadzę, by się wtedy tym interesowała. Postanowiła sama wychować dziecko i była konsekwentna.
- A teraz? Będzie nowe świadectwo urodzenia, zmienicie mu nazwisko?
- Jeszcze tego nie ustaliliśmy.
- Zastanów się. Nie jestem do końca przekonana, czy na nie zasłużył. To wielki zaszczyt je nosić, nie szafuj nim tak bez troski.
- Mamciu, to przecież mój syn, należy mu się z racji urodzenia.
- No dobrze, przepraszam, masz rację. Taka jestem zdenerwowana, nie myślę logicznie.
- Doskonale cię rozumiem, trudno to wszystko ogarnąć. Ale wiesz, trzeba powoli pomyśleć o przygotowaniu pokoju dla nich. Uważam, że to lepsze niż hotel. W końcu nie wiadomo, jak długo z nami zostaną. A w ten sposób najszybciej się poznamy.
- Oj, Wiktoru, mam wiele obaw. To będzie trudniejsze, niż mi się wydawało.
- Tak, zgadzam się, ale nie ma już odwrotu. Teraz wiem, że to jest mój syn, i nic już nie będzie takie, jak było, ale trzeba wierzyć, że będzie dobrze.

Teresa

Teresa poprawiała siatki wypełnione zakupami. Obydwie ręce miała zajęte, a musiała jeszcze wstąpić do apteki po tabletki przeciwbólowe, bo to ostatnie opakowanie jakoś szybko się skończyło. Coraz częściej bolała ją głowa, a tu tyle roboty z dziećmi. Gdy wstawi obiad, będzie musiała odebrać chłopców z przedszkola, a godzinę później Zuzię ze szkoły. Lidka coraz później wracała z pracy, brała dodatkowe klientki, by zarobić jak najwięcej. Utrzymanie takiej rodziny to nie lada problem. W dodatku miała wyrzuty sumienia, że nie może już płacić Teresie pensji, którą dawała jej na początku za prowadzenie domu i opiekę nad dziećmi.

Od sześciu lat mieszkali razem. Jej obecność w domu przez cały ten czas była po prostu niezbędna. Przeżyły niejedną trudną chwilę. Narodziny bliźniaków – wcześniaków, proces Waldka, zatargi z podejrzanymi typami, którzy odpuścili dopiero po dwóch latach nachodzenia i grożenia. Chyba wreszcie uwierzyli, że one naprawdę nie mają tego, czego szukali. Chodziło o znaczną część łupu z napadu.

Pomimo bardzo oszczędnego gospodarowania skończyły im się pieniądze zdeponowane przez Waldka na koncie Lidki. Dziewczyna musiała znaleźć pracę, bo po pierwsze, Teresa nie miała żadnych dokumentów – wszędzie używała nazwiska Torus, cały czas podtrzymując wersję, że jest teściową Lidki – a po drugie, opieka nad dziećmi jej wychodziła lepiej.

Na początku ludzie z okolicy traktowali ją jak obcą, z dużą rezerwą, ale z czasem z coraz większym szacunkiem i współczuciem. Była przykładem babci, która poświęca się dla rodziny. Stale widziano ją otoczoną dziećmi, objuczoną siatkami pełnymi zakupów.

Miała świadomość, że bez jej pomocy Lidka nie poradziłaby sobie z problemami. Waldek siedział w więzieniu za udział w napadzie na jubilera. W czasie napadu zmarł na zawał ochroniarz pilnujący sklepu. Złapaną szajkę skazano więc również za nieumyślne spowodowanie śmierci.

Zostało mu jeszcze niecałe trzy lata odsiadki. Miał szansę wyjść wcześniej za dobre sprawowanie. Lidka raz w miesiącu jeździła do niego na widzenie, zawoziła mu aktualne zdjęcia dzieci. Obydwie zdecydowały, że dzieci nie będą się widywały z ojcem, dopóki ten przebywa w więzieniu. Jej kochane „wnuki” myślały, że tatuś pracuje za granicą. Dzięki temu nie przeżywały niepotrzebnych problemów w szkole ani w przedszkolu.

– Pani Tereso, trzeba iść z Piotrusiem do dentysty, skarżył się, że boli go ząb, dałam mu tabletkę

przeciwbólową – poinformowała ją przedszkolanka.

– Oj, znowu kłopot, muszę zadzwonić do synowej. Ona teraz tak późno wraca z pracy. – Zmartwiła się. – Ale coś poradzimy, proszę się nie martwić.

– Dobrze. A, i jeszcze przypominam, że jutro grupa sześciolatek jedzie na basen, chłopcy muszą mieć kąpielówki, czepki, klapki i ręczniki. Udało się nam wreszcie znaleźć sponsora i teraz co tydzień będą się uczyć pływać.

– Babciu, babciu, a ja już umiem pływać – wołał Pawełek.

– Ja też umiem – przekrzykiwał go Piotruś.

– Nieprawda, nie umiesz, bo bałeś się wejść do rzeki – przypomniał mu Pawełek.

– Dobrze, chłopcy, obydwaj pokażecie ratownikowi, jak umiecie pływać, a dzisiaj razem pójdziecie do dentysty pokazać doktorowi ząbki.

– A Zuzia też pójdzie? – dopytywał się Piotruś.

– Zobaczymy. Zaraz zadzwonię do mamy, ona będzie wiedziała, czy pan doktor was dzisiaj przyjmie. A teraz idziemy po Zuzię do szkoły.

* * *

– Tereso, muszę ci coś powiedzieć, coś ważnego – zaczęła Lidka. Usiadła obok niej na kanapie. – Widziałam się dzisiaj z Weroniką.

– Coś się stało mojej córce?

– Nie, nie denerwuj się. Wręcz przeciwnie. Twoja córka zdobyła aż trzy medale na wielkiej spartakiadzie międzyszkolnej. Jest bardzo szybka, najszybsza, wszyscy ją chwalą, jest dumą swojego liceum. Zobacz, mam gazetę z jej zdjęciem, jak stoi na podium.

– O tak, moja Ewunia od dziecka lubiła biegać. Stale mi gdzieś znikwała, coś kazało jej pędzić przed siebie. Nie mogłam tego zrozumieć i bardzo się o nią bałam, bo czasami nie było jej kilka godzin.

– Możesz być z niej dumna, zobacz, jaka to śliczna dziewczyna. – Przekazała jej gazetę. – Figura jak u modelki.

– Tak, to już nie jest dziecko, to kobieta. – Teresa się wzruszyła. – Mogę to zatrzymać?

– Oczywiście, Weronika przywiozła to specjalnie dla ciebie. I jest jeszcze jedna sprawa. Twoja matka...

– Nie mów, że umarła?

– Nie. Oczywiście, że nie. Ostatnio wszędzie wietrzysz nieszczęścia. – Lidka pokiwała głową. – Weronika powiedziała mi, że jest już w domu, w piątek opuściła szpital. Ale wiesz, co ona wymyśliła? Sprowadziła sobie do domu jasnowidza. Podobno bardzo dobrego, znalazł już niejedną zagubioną osobę. Ma wielką moc, współpracuje nawet z policją.

– No coś ty! I co jej powiedział? – chciała wiedzieć Teresa.

– I tu jest cały problem, bo tego nikt nie wie. Rozmawiał z twoją mamą w cztery oczy. I jeszcze Czesia musiała przysiąc na Biblię, że nikomu nic nie powie. A wiesz, jaka ona jest. Panicznie boi się kary boskiej.

– Nie wierzę, że ktoś może coś widzieć – powiedziała Teresa.

– A ja się obawiam, że jednak coś tam widzi i może cię znaleźć. – Lidka była naprawdę zaniepokojona. – Teresa, co ja bym bez ciebie zrobiła? Gdyby nie ty, nie byłoby ani mnie, ani dzieci. Umarłabym wtedy, z chłopcami w brzuchu. Wiesz przecież, w jakim byłam stanie? Tylko o Zuzię się bałam. Uciekłam z domu, żeby ją ratować, a teraz wiem, że po to, by ciebie tam spotkać. Kto by pomyślał, że znajdę ratunek w lesie?

– Spokojnie, Lidziu, nikt mnie nie odnajdzie, przez tyle lat próbowali. – Machnęła ręką. – Zresztą znasz moje nastawienie do życia, niczego nie planuję, niczego nie pragnę, godzę się na to, co mi los niesie. Ja też wierzę, że musiałam was wtedy spotkać, chyba po to wyszłam z domu, chociaż nie byłam tego świadoma. Tamto życie się dla mnie skończyło, wypaliło do cna. Jak to wszystko do siebie pasuje, nic nie jest przypadkowe, tylko wszystko po coś. – Zamilkła.

– Tak, masz rację. Ja od tamtego czasu wierzę, że jakiś Bóg kieruje naszym życiem. Nie wiem, Teresko, jak wyglądałoby moje życie, gdyby nie ty. Ci bandyci by mnie wykończyli, jeśli nie fizycznie, to psychicznie na pewno. Ty jedna się ich nie bałaś. Jesteś taka odważna...

– Nie byłam odważna! Tylko było mi wszystko jedno, co się ze mną stanie. A to zupełnie coś innego – zaprotestowała.

– No dobrze. Ale nie zaprzeczysz, że dzięki tobie jestem teraz porządnym człowiekiem. Mam rodzinę, pracuję, moje życie jest cięższe niż z Waldkiem, ale lepsze. Tak to czuję. Kocham Waldka, ale już inaczej. Teraz, gdy do nas wróci, będzie musiał wybierać: albo uczciwe życie ze mną, albo niech sobie żyje po swojemu, ale bez nas.

– A rozmawiasz z nim o tym, żeby mógł sobie wszystko przemyśleć?

– Próbuję. Tylko on jakby nie chciał tego słuchać. Mówi, że baba nie może rządzić w domu. To on jest głową rodziny, ale za to jego obowiązkiem jest zapewnić nam dostatnie życie.

– No to nie będzie łatwo – westchnęła Teresa. – Widać niczego się w tym więzieniu nie nauczył.

– Nie, nie jest aż tak źle – zaprotestowała Lidka. – Teraz to on mnie bardzo szanuje, liczy się z moim zdaniem. Przecież widzi, że zostawił mnie z trójką dzieci, a ja sobie poradziłam. Pierwsze, o co zawsze pyta, to dzieci, zdjęcia mi prawie z ręki wyrywa, chce wiedzieć, co robią, i nie może się pogodzić z tym, że rosną bez niego.

– No i całe szczęście, że mu tak na nich zależy. – Teresa się ucieszyła.

– Na mnie też mu zależy, aż za bardzo. Ostatnio strasznie zazdrosny się zrobił. Coraz trudniej mu uwierzyć, że tyle lat mogę się obejść bez mężczyzny.

– Wcale mu się nie dziwię. Jesteś wyjątkowa. Bardzo się dla niego poświęcasz, uciekają ci prze-

cież najlepsze lata życia – podkreśliła Teresa.

– Nie dla niego się poświęcam, tylko dla dzieci – oświadczyła zdecydowanie Lidka. – Po pierwsze, nie mam czasu na głupoty, a po drugie, który mężczyzna zechce mnie z trójką maluchów? Żaden nie będzie kochał ich tak jak rodzony ojciec.

– To nie zawsze jest prawda, pomyśl o swoim ojcu. Nie jest dobrym przykładem.

– Wiem, ale kocham Waldka i wierzę, że stworzymy dobrą rodzinę. Dlatego musi być normalnie, a nie tak wariacko, jak było. Teraz wystarczy mi, jak się potulimy raz w miesiącu. Wolę jego słowa, takie czułe, pełne tęsknoty, wyznań. Jest fajnie, jak w romantycznym filmie.

– I tego się trzymaj, kobieta wiele może. Jesteśmy twardsze od mężczyzn. Waldek też zrozumie, że żona i dzieci to największe dobro i trzeba o nie walczyć. Nie może znowu narozrabiać i spędzić reszty życia w więzieniu.

– Masz rację. A ty nie daj się znaleźć żadnemu jasnowidzącemu. Jesteś nam bardzo potrzebna. Zuzia i chłopcy świata poza tobą nie widzą, a dla mnie jesteś najlepszą przyjaciółką.

– Nie bój się, będę z wami, dopóki jestem potrzebna, a co będzie potem? Niech się o to Bóg martwi. – Uśmiechnęła się. – A co tam nowego u Piotra? Weronika coś wspominała?

– Mówiła, że u niego bez zmian. Pracuje, tam gdzie pracował, mieszka w tym domku u Marleny, ale częściej odwiedza Ewunię i do twojej mamy zagląda. Podobno bardzo dba o córkę. Tylko ta Marlena nie może się doczekać, żeby wreszcie uznali cię za zmarłą. Była nawet u adwokata pytać, czy nie da się tego przyspieszyć, ale powiedział jej, że dopiero po dziesięciu latach od zgłoszenia zaginięcia.

– To niedobrze, jeszcze prawie cztery lata.

– A właśnie, że bardzo dobrze – zaprotestowała Lidka. – Już by chciała usidlić twojego chłopca. Podobno marzy o ślubie i weselu, i dziecko chce mieć. Opowiada o tym na prawo i lewo.

– Źle myślisz – nie zgodziła się z nią Teresa. – To przecież ja porzuciłam Piotra, on ma prawo zacząć nowe życie. Chciałabym, by był szczęśliwy, zasłużył sobie, bo to bardzo dobry człowiek.

– Dobra to ty jesteś. Ja widzę to inaczej, za krótko cię szukał, za szybko się pocieszył. – Lidka nie dała się przekonać. – Idę spać, dobranoc.

* * *

Teresa długo nie mogła zasnąć. Po każdej porcji informacji dostarczanej przez Weronikę wracało do niej poprzednie życie. Koleżanka Lidki, mieszkająca w Chorzowie, dziwnym zbiegiem okoliczności była chrześnicą Czesi, która opiekowała się jej mamą. Czy to tylko przypadek?

Weronika poznała Lidkę na kursie dla kosmetyczek, zaprzyjaźniły się i spotykały od czasu do czasu na pogaduchy.

Sprawa zaginięcia Teresy była bardzo głośna i szeroko omawiana w środowisku. Ciocia Czesia lu-

biła opowiadać chrześnicy o pani Trudzi i jej najbliższych; sama nie założyła rodziny i żyła problemami ludzi ze swojego otoczenia. A Weroniki też nie trzeba było długo zachęcać do zwierzeń.

Lidka, nie wtajemniczając Weroniki w swoje koligacje z Teresą, wypytywała ją o szczegóły i dzięki temu wiedziały, co się tam dzieje.

Wiedziała więc, że Ewunia mieszka sama, świetnie się uczy i okazała się odpowiedzialną dziewczyną. Była z niej bardzo dumna i czuła się uspokojona. Martwiła się chorobą mamy. I w końcu – nie będzie przed sobą udawała – przeżywała to, że Piotr zakochał się i próbuje sobie ułożyć życie bez niej. Ale musiała przyznać, że sama do tego doprowadziła. Wiedziała, że nie ma już powrotu do tego, co było. Minęło tyle lat.

Teraz przebywała z tymi, którym była zdecydowanie bardziej potrzebna, i czuła się w pełni usprawiedliwiona. Kochała te maluchy jak swoje własne. Lidzia, dobra kobieta, nie poradziłaby sobie sama z tym drobiazgiem. Uznała więc, że o jej pobycie tutaj, a nie tam, ktoś inny zdecydował. Jakaś siła wyższa wyraźnie kierowała jej życiem.

Coraz częściej zastanawiała się, gdzie los ją rzuci, gdy Waldek odsiedzi swoje. Nie zostanie tutaj – rodzina musi być razem, małżeństwo trzeba ponownie scalić, i to na nowych zasadach. To będzie dla młodych trudny czas, a ona by w tym tylko przeszkadzała.

Wspominała coraz częściej swoje życie z Piotrem. Miała pełną świadomość, że nie była dobrą żoną. To on okazał się wspaniałym człowiekiem. Tą swoją pracowitością, poświęcaniem się wprawiał ją w nieustanne wyrzuty sumienia. Był cierpliwy, wyrozumiały, spokojny. Miała nadzieję, że nigdy się nie domyślił, że Stasiu nie był jego synem. To była jej największa tajemnica, której nie wyjawiała nawet księdzu na spowiedzi. I zabierze ją ze sobą do grobu.

Zdradziła męża tylko raz. Z tym Andrzejem, swoją wielką szkolną miłością, na zjeździe absolwentów. Gdy mieli po czternaście lat, zakochała się w nim na zabój, ale on był zajęty Jolką i nie zwracał na nią uwagi. Za to na spotkaniu klasowym, po piętnastu latach, to ona, a nie Jolka, wpadła mu w oko. Wypili sporo alkoholu, świetnie się bawili, dużo tańczyli i poszli na całość. Oboje byli w udanych związkach, nie myśleli o kontynuowaniu tej przygody. Nigdy mu nie powiedziała, że został ojcem.

Gdy zobaczyła Stasia, nie miała wątpliwości, że synuś patrzył na nią oczami Andrzeja. Całe szczęście, że ona też była blondynką o niebieskich oczach. Nikt się nie domyślił. Ale Bóg ją ukarał. Jej cherubinek urodził się ze słabiutkim serduszkim. Był taki śliczny, mądry, wrażliwy, za dobry na ten brudny świat, za dobry dla matki oszustki.

Bywało, że wściekała się na męża za to, że tak szaleńczo kochał synka, tak się dla niego poświęcał. Kłamstwo ciążyło jej wtedy podwójnie. Odsunęła się od niego, była niegodna jego miłości. Stopniowo doprowadziła do tego, że ich uczucia zgasły, została zwyczajność.

Gdy Stasiu pomimo wysiłku wielu ludzi umarł, poczuła się winna. To była kara za jej grzech. Wszystko straciło sens. Została sama ze swoim nieszczęściem, zresztą sama się od wszystkich od-

sunęła. Nikomu nie mogła przecież powiedzieć, dlaczego Bóg odebrał jej to, co ukochała najbardziej. Nie była też godna ich współczucia.

Próbowała zakończyć tę gehennę, ale jej się nie udało. Wtedy się poddała, o nic już nie walczyła, o niczym nie marzyła. Była. Czekala na sygnał. I nagle go dostała. Któregoś dnia wstała i wyszła z domu. A teraz opiekuje się rodziną, która bardzo potrzebowała jej pomocy. I wreszcie poczuła się wolna. Już nikomu nie musiała być wdzięczna, z nawiązką spłaciła swój dług.

Ciekawe, czym los teraz ją poczętuje? Co jeszcze będzie musiała przeżyć?

– Boże, zrób ze mną, co chcesz, tylko nie każ mi tam wracać. Oni lepiej sobie radzą beze mnie. Nie chcę już więcej ich krzywdzić, zasłużyli na lepszy los.

Niech Piotr kocha sobie jakąś Marlenę. Nie powinien żyć sam. Ona już nie mogła mu dać tego, czego potrzebował, bo w niej wszystko umarło. Nie chciała go wykorzystywać do zapełnienia swojej pustki. Zasłużył na coś lepszego.

Wstała i wyłuskała kolejną tabletkę przeciwbólową. Wracał pulsujący ból głowy. Połknęła pigułkę, szybko popijając wodą, i się położyła. Musi jak najszybciej zasnąć, bo urwisy wskoczą jej do łóżka z samego rana. Tylko ten ból, drań, nęka ją i żąda, by go czuć. Widać tak musi być. Ona w rewanżu bombarduje go chemią, która właśnie rozpuszcza się w jej żołądku.

Spotkanie z synem

W iktor nie był zachwycony pomysłem mamy. Wolałby sam odebrać z lotniska swojego syna i Aldonę. Niestety, z mamą nie było dyskusji.

Teraz musiał ją bez przerwy uspokajać, ponieważ stale go popędzała. Gdyby jej uległ, tkwiliby na lotnisku już od południa, a samolot z Teneryfy miał wylądować dopiero o osiemnastej dwadzieścia. Popijał kawę i starał się nie patrzeć na to, co robiła mama. Chodziła ze ściereczką i kompulsywnie gładziła powierzchnie stołu i komody, polerowała szyby serwantki z ich najlepszą porcelaną. Już kilka razy sprawdzała, czy na pewno wszystko przygotował, czy zamówił kwiaty. Jej zdenerwowanie sprawiało, że on sam stawał się dziwnie spokojny, obojętny na czekające go wzruszenia. Miał świadomość, że to jeden z tych dni, które na zawsze utrwala się w pamięci. Pierwsze spotkanie z synem. Młodym mężczyzną czy chłopcem? Jeszcze tego nie wiedział, to taki dziwny czas w życiu – lata nastoletnie.

Starał się przypomnieć samego siebie z tego okresu i miał poczucie, że był raczej spokojnym chłopakiem, w miarę rozsądnym i odpowiedzialnym. Tatusz nie żył, bardzo cierpiał w chorobie, zostali sami z mamą. Musieli sobie radzić, pomagać, wspierać. To wtedy wytworzyła się między nimi tak silna więź.

Postanowił, że nie da się niczym zaskoczyć, był gotowy na poważne rozmowy, ale także nieobliczalne wysoki chłopca. Skala możliwości była ogromna, ponieważ zupełnie się nie znali.

Do spotkania z Aldoną był bardzo zdystansowany. Ta chwila, która ich wiele lat temu połączyła, stanowiła tylko miłe wspomnienie. Tu nie wchodziła w grę żadna miłość, nie dręczyło go poczucie winy, ale czuł odpowiedzialność. Starał się też zrozumieć postępowanie kobiety, chociaż nie do końca udało mu się pozbyć poczucia krzywdy. Pozbawiła go możliwości podjęcia decyzji, potraktowała jak nic nieznaczący element, niezbędny do zapłodnienia. Nie, nie podejrzewał jej o to, że zrobiła to celowo, zadecydował przypadek. Ale gdy już wiedziała, co się stało, miała możliwość wyboru.

Samolot w końcu szczęśliwie wylądował, ale czekali jeszcze długo. Większość pasażerów, ciągnąc za sobą walizy, przywitała się z rodziną czy przyjaciółmi i rozeszła do czekających taksówek. Po dróżni sprawiali sympatyczne wrażenie, uśmiechnięci, opaleni, rozgadani – w końcu wracali z Teneryfy. Nagle jakiś rozpędzony czterolatek wpadł na Wiktora. Ten, aby utrzymać równowagę, za-

machał ramionami, powiewając w powietrzu bukietem kwiatów. Mamusia, która uznała to za znak, wstała w ławki i ruszyła w jego stronę. I wtedy ich zobaczył. Nie spieszyli się, szli wolno, ciągnąc swoje walizki.

Aldona niewiele się zmieniła, zachowała szczupłą sylwetkę. Proste włosy opadały jej na ramiona. W szarej garsonce i czarnych butach na obcasie wyglądała bardzo korzystnie. Z tyłu za nią szedł, kołysząc się na boki, młody chłopak, ubrany w czarny dres, adidasy i zielony T-shirt. Przez ramię miał przewieszoną torbę z laptopem. Był chyba jedynym pasażerem tego samolotu pozbawionym opalenizny. Ciemne, kręcone włosy sięgające ramion podkreślały bladość cery. Duże brązowe oczy wpatrywały się w niego badawczo.

Wiktor uśmiechnął się, ale chłopak nie odwzajemnił uśmiechu. No, nie będzie łatwo.

Skupił się na Aldonie, wręczył jej bukiet róż, przywitał się i przedstawił mamie.

Aldona, wskazując na chłopca, powiedziała:

– To jest Artur. Mój syn... Nasz syn – poprawiła się szybko.

– Wiktor. – Wyciągnął dłoń na powitanie.

Chłopak zawahał się, ale w końcu uściśnił ją, mówiąc:

– Artur.

– To twoja babcia, Halina.

– Witam panią. – Skłonił głowę, sięgając jednocześnie po uchwyt walizki.

– Nie uściskasz babci? – zapytała Halina.

– Nie mam takiego zwyczaju – odparł obojętnie.

– Artur nie lubi, gdy się go dotyka – wyjaśniła Aldona.

– Rozumiem. Ale to i tak nie zmienia faktu, że jesteś moim wnukiem, młody człowieku – podkreśliła starsza pani.

Wiktor doskonale wiedział, co w ustach mamy znaczy wyrażenie „młody człowieku”. Zły początek. Chłopak się naraził. Cały jej kredyt dobroci i zaangażowania wyczerpał się w jednej sekundzie. Teraz na wszystko będzie musiał zasłużyć.

Zaraz po kolacji Artur wycofał się do pokoju, który na czas pobytu w Krakowie miał dzielić z mamą. Nie podobało mu się to, chciał mieszkać w hotelu, cenił sobie niezależność. Na szczęście było to duże pomieszczenie, które w niczym nie przypominało jego dziupli na Teneryfie. Dwa okna, wysoki sufit pięknie ozdobiony starymi stiukami, stalowy żyrandol z kloszami w kształcie kwiatów. Meble antyki, dwie oszklone biblioteczki pełne książek i masywne biurko.

Od razu zaanektował duży skórzany fotel. Przesunął go w róg pokoju, jak najdalej od drzwi. Był naprawdę wygodny i bez problemów mieścił jego potężne ciało.

To podobno był kiedyś gabinet jego dziadka. Pod przeciwległą ścianą stała skórzana kanapa, tworząca komplet z fotelem. Ktoś przygotował na niej stos pościeli. Nie zamierzał na niej nocować. Wybrał od razu materac umieszczony w rogu na drewnianej podłodze, obok drzwi wejściowych.

Leniwie rozglądał się po pokoju. Centralne miejsce zajmowało wielkie biurko. Po co dziadkowi taki blat, co on tu trzymał? Jego biurko na Teneryfie to jedna czwarta tego.

Pełno szuflad, ale nie było wydzielonego miejsca na komputer. Za to ciekawie wyglądała prostokątna lampa z zielonym kloszem. Przypomniała mu bibliotekę z jakiegoś filmu o Uniwersytecie Cambridge. Ten pokój miał w sobie atmosferę tamtych czasów. W rogu obok kanapy stała duża trzydrzwiowa szafa z lustrem w środkowej części. Babcia Halina wspomniała, że tam mogą rozpakować swoje rzeczy. Pomyszkowałby sobie po tych biblioteczkach i szafach, ale czuł się ociężały i senny.

Długa podróż dała mu popalić. Sześć godzin w niewygodnym fotelu, płacz i kapryśnienie jakiegoś dzieciaka za jego plecami, nieustanny szum silników i rozmów pasażerów. Korzystał oczywiście ze słuchawek i dobrodziejstw laptopa, ale i tak lot wyczerpał jego siły. Nieprzyjemnie ciężko mu się oddychało, pocił się, musiał walczyć z silną potrzebą wstania i opuszczenia samolotu. Wszystko go drażniło, przebywanie tak długo w tłumie ludzi na drastycznie ograniczonej powierzchni było koszmarnie. Z wielką ulgą opuścił pokład i stanął na tej polskiej ziemi. Sam był zaskoczony, ale przez małą chwilę poczuł wzruszenie. Idiotyczne, bo bezsensowne.

Zmiana klimatu musiała jednak nadal na niego działać. W tej chwili znowu czuł ucisk nad mostkiem, spocił się. Postanowił wziąć chłodny prysznic, w domu mu to pomagało.

Łazienka, na szczęście też sporych rozmiarów, znajdowała się na końcu korytarza. W rogu była kabina prysznicowa, a na wprost pod małym oknem stała duża emaliowana wanna. Umywalka i biała szafka dopełniały reszty. Miał ochotę usiąść na postawionym w rogu przy drzwiach taboreciku, bo nie czuł się dobrze, ale obawiał się, że cienkie drewniane nóżki nie utrzymają jego ciężaru.

Strumień chłodnej wody podziałał kojąco. Poczuł, że łatwiej mu się oddycha, ucisk w piersi zleżał, minęła miękkość w nogach. Już żałował, że dał się namówić na tę podróż, zwłaszcza że jak się zorientował, nikt nie wiedział, jak długo będzie tu musiał pozostać i czy w ogóle będą mogli mu pomóc.

Była sobota wieczór, w poniedziałek miał się zgłosić do szpitala na szereg badań. Wiktor wszystko przygotował.

Musiał przyznać, że fajny był ten jego ojciec. Przystojny, szczupły, gęste włosy ledwie zaczęły mu siwieć. Nie wyglądał na swoje lata. Na pewno podobał się kobietom; dziwne, że się nie ożenił, nie miał innych dzieci i w dodatku mieszkał z matką. Arturowi podobało się, że był taki spokojny, a przecież to spotkanie dla niego też musiało być wielkim przeżyciem. Nie okazał tego – taki powinien być facet.

Stukanie do drzwi przerwało jego rozmyślenia.

– Artur, dobrze się czujesz? – usłyszał zdenerwowany głos mamy.

Wyłączył prysznic i odpowiedział:

– Jest okej, już wychodzę. Nawet w łazience nie mam spokoju.

– Woda się leje od czterdziestu minut – tłumaczyła się.

Nie wiedział, że trwało to tak długo, pewnie wylał przydział wody na cały tydzień. Zdecydowanie wolałby pobyt w hotelu, ale nie on tu decydował.

* * *

Patrzyła na nich z wysokości pierwszego piętra. Została w domu, chociaż wcześniej planowała wspólny spacer. Chciała pokazać swojemu wnukowi najciekawsze miejsca w Krakowie. Kochała to miasto. Tu się urodziła i tutaj umrze.

Nie poczuła jednak żadnego porozumienia, żadnej bliskości, wręcz przeciwnie, lawinowo rosła w niej niechęć do tego monstrum, jak w myślach nazywała wnuka.

Wysoki, nawet o kilka centymetrów wyższy od Wiktora, ważył chyba ze sto pięćdziesiąt kilogramów. Poruszał się niezgrabnie, kołysząc na rozstawionych nogach. Chodził bardzo wolno – wiedziała, że to wpływ choroby. Cerę miał bladą, często się pocił. Rano zauważyła u niego cienie pod oczami i zasinienie ust. Drażnił ją widok tego nalanego, ciastowatego cielska. Gorzej, że to uczucie w niej narastało. Czy kiedyś przywyknie?

Jak na takiego wielkoluda jadł niewiele. Na śniadanie wystarczyła mu miska płatków kukurydzianych, do których wkroił banana, kiwi i dwie mandarynki. Popijał to wszystko zieloną herbatą. Na obiad wybierali się do chińskiej restauracji. Jutro przyjmą Artura na oddział kardiologiczny, gdzie zrobią mu wszystkie niezbędne badania.

Natomiast zadziwiająco miłe wrażenie sprawiała Aldona. Bardzo zadbana kobieta, spokojna, wrażliwa i wyjątkowo uprzejma. Miała w sobie jakąś trudną do uchwycenia subtelność, która łagodziła jej konkretny, zdecydowany sposób mówienia. Wyczuwało się, że przywykła do kierowania ludźmi. Była bardzo spostrzegawcza i taktowna.

Ładnie wyglądała u boku Wiktora. Byłaby odpowiednią żoną dla niego, taką reprezentacyjną. Szkoda, że im się nie ułożyło.

Westchnęła ciężko. Wszystko było nie tak, jak sobie wyobrażała. Zanim się spotkali, zdeponowała na koncie Artura dużo uczucia, akceptacji, zrozumienia i wyrozumiałości, natomiast do jego matki miała całą listę zastrzeżeń, nieufności i pretensji. Teraz by to odwróciła.

Wiktor tyle dla tego chłopca zrobił. Uruchomił przyjaciół, znajomych i ich znajomych, by maksymalnie przyspieszyć załatwienie wszelkich formalności. Ile dokumentów trzeba było przygotować... W efekcie Artur już oficjalnie został jego synem, chociaż gówniarz nie zgodził się na zmianę nazwiska. Nie chciał takiego nazwiska! W ogóle nie okazywał żadnej wdzięczności.

Bardzo się tym denerwowała, nawet posądzała o manipulację jego matkę, ale teraz była z tego faktu zadowolona. Nikomu by się nie przyznała, ale czuła, że Artur nie pożyje zbyt długo i nie ma sensu się przywiązywać. Raczej nie zdąży się między nimi wytworzyć jakaś bliska więź – i do-

brze, bo ten wnuk wcale jej się nie podobał. Jej syn zasłużył na lepszego potomka.

Martwiła się tylko o Wiktora, ponieważ bardzo się zaangażował. Robił wszystko, by syn mu zaufał, by go polubił. Poświęcał mu każdą wolną chwilę. Wszystkie inne osoby i sprawy zeszły na dalszy plan. Jak on przeżyje jego śmierć?

Zadzwoił telefon. To najlepszy przyjaciel syna, Kazimierz.

– Dzień dobry pani, czy zastałem Wiktora?

– Niestety nie. Poszli na spacer. Chłopak chciał zobaczyć Wawel.

– A jak on się czuje?

– No cóż. Nie wygląda dobrze. Martwię się o niego.

– Tego się obawiałem – westchnął. – Pewnie źle zniósł taką długą podróż, to było spore ryzyko.

Proszę przekazać Wiktorowi, że czekam na nich jutro o siódmej, no chyba że coś niepokojącego by się działo, to jestem tu na miejscu, pod telefonem. Zrezygnowałem z wyjazdu do teściów.

– Dziękuję, przekażę oczywiście i jestem ci bardzo wdzięczna, to dla nas wiele znaczy.

– Nie ma za co, pani Halino. Jestem pewien, że Wiktor zrobiłby to Samo. Do widzenia.

Poszukiwania

Zaczął się nowy okres w jej życiu. Rano szkoła, powtórki materiału, próbne testy, sporo niezapowiedzianych kartków. Za parę miesięcy najważniejszy egzamin – matura. Walka o każdy punkt, bo to zadecyduje o przyjęciu na wymarzony kierunek studiów. Nauczyciele wydawali się równie przejęci jak uczniowie, a najgorzej panikowali rodzice. Ewa mogła liczyć tylko na siebie. Nie biegła na dodatkowe lekcje z wybranych przedmiotów, bo korepetycje były bardzo drogie. Nawet nie próbowała rozmawiać na ten temat z ojcem. Była mu wdzięczna, że będzie ją utrzymywał przez kolejne pięć lat, obiecał jej to, chociaż Marlena nie ukrywała swojego niezadowolenia: „Może iść do pracy i studiować zaocznie. Skoro jest taka zdolna, to sobie poradzi”.

Właśnie jej na złość postanowiła zobowiązać ojca do pomocy – prawo w Polsce jej to gwarantowało. Marlena była tylko kochanką taty, przynajmniej dopóki sąd nie uzna mamy za zmarłą. Może gdyby była mniej pazerna, to rozważyłaby taką możliwość, ale kandydatka na macochę robiła wszystko, by ograniczać jej kontakty z ojcem. Chciała go mieć wyłącznie dla siebie.

Teraz Ewa żyła według schematu dnia ustalonego na czas, jaki został do matury. Po lekcjach obowiązkowa wizyta u babci, gdzie jadła obiad, bo szkoda jej było czasu na zakupy i gotowanie. Jakoś przeżyje te kilka miesięcy na kuchni Czesi. Później powrót do domu. Odrabianie lekcji i wkuwanie zostawiała na wieczór, a czas pomiędzy przeznaczala na bieganie i intensywne poszukiwania. Codziennie na zakupionym planie miasta zaznaczała miejsca, w których spotykała tamtych. Nie zbliżała się do nich. Była zaopatrzona w lornetkę, którą nie bez oporów pożyczył jej Andrzej.

Poznawała swoje miasto, jakże inne, niezwykle, pełne zakamarków i tajemnic. Obserwowani przez nią ludzie nie chodzili do pracy, nie wychowywali dzieci, nie oglądali telewizji. Na początku byli dla niej równie egzotyczni jak na przykład Masajowie. Nie miała pojęcia, że tak blisko niej toczyło się życie według zupełnie innych zasad i zwyczajów. Zaczęła robić notatki z tych swoich wypadów. Opisywała miejsca, ludzi, ich wygląd zewnętrzny. Nie miała odwagi robić im zdjęć. Nadawała im imiona i skupiała się na cechach charakterystycznych. Materiału szybko przybywało; śmiała się, że tworzy policyjną kartotekę.

Niedawno odkryła, że po drugiej stronie ruchliwej ulicy łączącej Bytom z Zabrzem, w ciągnących się wzdłuż niej chaszczach był ukryty cały obóz. Mieszkała tam grupa mężczyzn i kobiet. Zbierali się wieczorem. Mieli legowiska z materaców, a nawet mocno sfatygowaną wersalkę, koce, stopy

ubrań. Nad „gospodarstwem” rozciągnięto folię, która chroniła przed deszczem. Dokładnie obejrzała to miejsce, gdy nikogo nie było w pobliżu. A później ukryta za drzewami obserwowała przez lornetkę każdą wchodzącą osobę. Było siedmiu mężczyzn i trzy kobiety. Żadna nie była jej matką. Od czasu do czasu wracała tam i sprawdzała, czy ktoś do tej grupy nie dołączył, ale jak dotąd jej skład się nie zmienił. Za to rozpoznawała ich w centrum miasta. Okupowali ławki na skwerach, w parku. Takie osoby rzadko siedziały samotnie, stale ktoś do nich podchodził, witał się, częstował płynem w plastikowej butelce po coli czy innym napoju. Była pewna, że to nie oranżada. Często wybuchali śmiechem, ale też przeklinali, bywało, że kłócili się ostro, bardzo agresywnie.

Ludzie przechodzący obok, w tym matki z wózkami dziecięcymi, obserwowali ich jak zwierzęta w zoo. Im to nie przeszkadzało. Zachowywali się bardzo swobodnie, głośno. Nikt nie odważył się interweniować, chociaż często padały słowa wyjątkowo wulgarne.

Zauważyła, że nawet wśród nich obowiązywała jakaś hierarchia. Jednym od razu robiono miejsce w samym środku ławki, innych zdecydowanie przeganiało. Ci ostatni byli naprawdę samotni, brudni, cuchnący. Zajmowali najniższy szczebel drabiny, nikt ich nie tolerował. Miała wrażenie, że wielu z nich to chorzy psychicznie, a przynajmniej takie sprawiali wrażenie. Chyba byli stale głodni, bo od razu konsumowali wszystko, co znaleźli, dopijali resztki płynów z butelek znalezionych w koszach na śmieci, obserwowali podróżnych na przystankach i rzucali się na każdy porzucony niedopałek papierosa.

Patrzyła na to z obrzydzeniem. Na początku bardzo wszystkim współczuła, ale im dłużej ich obserwowała, tym więcej miała dowodów na to, że to był styl życia, który akceptowali i wcale nie rwali się do zmiany. Dlaczego? Co to za ludzie, którzy nie dążą do ciepłego kąta, pełnego brzucha, porządku?

Czy jej mama mogłaby wybrać taki los? Ona, taka zawsze schludna, czyściutka, przewrażliwiona na punkcie brzydkich słów? Co musi się stać z mózgiem człowieka, by porzucił dotychczasowe życie i zamienił je na taką wegetację? Nie była w stanie tego pojąć.

Ten jasnowidz to oszust, musiał się pomylić. Była pewna, że chciał tylko wyłudzić od starej kobiety jak najwięcej pieniędzy. Podła kanalia, oszukiwał najsłabszych, najbardziej bezradnych i potrzebujących. I jeszcze doprowadził do tego, że teraz ona biegła, szukając melin i swojej matki w takim środowisku. Czysta paranoja! A jednak nie potrafiła przestać.

Poszerzała krąg poszukiwań. Przeczesała tereny graniczące z innymi miastami. Jej mapy były coraz gęściej porysowane mazakami w różnych kolorach. Innym kolorem zaznaczała stałe obozy, innym miejsca częstych spotkań. Odkryła kilka bunkrów, chyba jeszcze z czasów wojny, w których nocowali ludzie. Pokonywała duże odległości, pocieszała się, że przecież lubi bieganie, więc w zasadzie łączy przyjemne z pożytecznym.

Wieczorami robiła notatki. Zabierało jej to coraz więcej czasu – wreszcie musiała przyznać, że za dużo, skupiła się więc głównie na kobietach. One, w przeciwieństwie do mężczyzn, nie two-

rzyły osobnych grup, zawsze towarzyszyły facetom. Pewno czuły się bezpieczniejsze, a poza tym mężczyźni zawsze zdobywali coś do picia i jedzenia.

Nigdy nie próbowała nawiązać z nimi kontaktu. Na ich słowne zaczepki odpowiadała, że ćwiczy biegi do maratonu. Kiwali głowami z podziwem. Gdy mijala ich kolejny raz, machali rękami i ją pozdrawiali.

Dni robiły się coraz krótsze, jesień rozgościła się na dobre. Z upływem czasu jej zapał do grzebania w tych sprawach trochę ostygł. Coraz częściej wątpiła, by mogła odnaleźć wśród takich ludzi swoją mamę.

Już nie robiła tego codziennie, zbliżały się święta. Z nową energią zabrała się do porządków w mieszkaniu. Sprawiało jej to wyjątkową przyjemność. Znalazła w pawlaczu worek z ozdobami choinkowymi. Stasiu uwielbiał świąteczne dekoracje. Czuła, że dbając o te wszystkie drobiazgi związane z tradycją, porządkiem, czystością, oddala się od tamtego świata. Bardzo tego potrzebowała, bo miała niejasne odczucie, że to środowisko jakoś wpływa na nią, wciąga ją i degraduje. Samo przebywanie na ich terenie i podglądanie sprawiało, że czuła się brudna. Teraz po powrocie szorowała się pod prysznicem nie tylko dlatego, że była spocona po bieganiu, lecz także by zmyć z siebie ten kontakt.

Wiedziała, że to tylko jej psychika – przecież niczego nie dotykała, nie jadła z nimi, nie piła – ale to uczucie było tak silne, że zaczęła się bać. Instynkt podpowiadał jej, by dla własnego bezpieczeństwa ograniczyła te spotkania.

W końcu wybrała sobie wtorki i piątki na poszukiwania. Skupiła się wyłącznie na kobietach. Maksymalnie ułatwiała sobie zadanie, ale zupełnie zaprzestać nie potrafiła.

Bolało ją bardzo, że została porzucona przez własną matkę, jak nikomu niepotrzebny element, odprysk z innego życia. W krótkim czasie zniknęło coś, co było jej rodziną. Stasiu zmarł, mama zaginęła, a ojciec po prostu odszedł. Wystarczało mu, że od czasu do czasu porozmawiał z nią o jej planach i potrzebach finansowych. Za te sprawy ojciec czuł się odpowiedzialny. Była rozsądna, nie nadużywała jego możliwości, ale też nie rezygnowała ze swoich praw – powinien czuć, że jest rodzicem i że to musi kosztować. Zapamiętała dialog z jakiegoś serialu:

– *Nie jest mi do niczego potrzebny, nie chcę jego łaski.*

– *Daj mu szansę, by mógł mieć poczucie, że dobrze spełniał swoje obowiązki. Przestań być tak cholernie doskonała, taka samowystarczalna, odpuść. Tylko na tym zyskasz.*

– *A może nie chcę mu ułatwiać życia?*

– *Człowiek musi też umieć brać, to trudne, czasami trudniejsze od dawania.*

Pozwalała więc ojcu zasypiać ze spokojnym sumieniem, a sama uczyła się z tego korzystać bez poczucia winy.

Wujek Hubert

Aldona była zrozpaczona. Za cztery dni musiała wracać na Teneryfę. Szef i tak był łaskawy, przedłużył jej urlop do sześciu tygodni. Jak dobrze, że przed wyjazdem odważyła się na szczerą rozmowę z nim.

Poszła z całą dokumentacją choroby syna, ale machnął tylko na nią ręką. Za to jej wysłuchał i nawet się przejął jej dramatem. Doradził, by nie traciła nadziei i wykorzystała każdą okazję. Wiedziała, że na nic więcej z jego strony nie może liczyć.

Była świadoma, że gdyby teraz nie wróciła, jej miejsce zająłby ktoś inny, a ona straciłaby wszystko, na co przez tyle lat pracowała. Sytuacja ekonomiczna Teneryfy była teraz o wiele trudniejsza niż dwadzieścia lat temu, a ona bardzo potrzebowała tej pracy i pieniędzy, ponieważ leczenie Artura było kosztowne.

Jednocześnie myślała, że ma zostawić syna w obcym dla niego kraju, w takim dramatycznym stanie zdrowia, ją paraliżowała. Nigdy dotąd nie rozstawali się na dłużej niż kilka dni. Podróż samolotem nie była jednak wskazana, sześć godzin w powietrzu to za duże ryzyko dla jego serca.

Czy może zaufać Wiktorowi? Wydaje się, że jemu samemu tak. Widziała, że między nim a synem bardzo powoli, ale jednak nawiązuje się nić sympatii. Nie było to łatwe, Artur był typem samotnika, nie potrzebował towarzystwa innych ludzi. Miał niewielu przyjaciół, ale za to relacje, które udało mu się nawiązać, były bardzo trwałe. Nie zabiegał o nowe kontakty. Niedawno powiedział jej, że szkoda energii, bo to już nie ma sensu. Przerazało ją to. Artur w jej oczach był ciągle dzieckiem. Jeszcze tak niewiele przeżył. On sam uważał się za dorosłego i nie pozwolił się traktować inaczej.

Rozmawiała już z nim o swoim wyjeździe, bez owijania w bawełnę, szczerze. Starła się bardzo, by zrozumiał, że go nie zostawia, nie porzuca, że to dla niego jedyna szansa. Zgodził się, rozumiał sytuację, jednak postawił twardy warunek. Zostanie, ale nie będzie mieszkał w domu babci. I teraz wszyscy mieli problem. Nie wiedziała, jak na to zareagują Wiktor i Halina. Gdzie ma w tak szybkim czasie znaleźć bezpieczne miejsce dla syna? Komu zaufać?

Wczoraj wrócili z Zabrza. Wiktor zorganizował spotkanie ze znajomym kardiochirurgiem słynnego Śląskiego Centrum Chorób Serca. Mieli okazję zobaczyć ten wysokospecjalistyczny ośrodek diagnostyki i leczenia chorób kardiologicznych u dorosłych i dzieci. Zrobił na nich kolosalne wrażenie.

Nie miała pojęcia, że w Polsce są takie nowoczesne kliniki.

Artur zachwyił się aparaturą, którą rozpoznawał i porównywał z tą na Teneryfie. Jej spodobała się estetyka wewnątrz, przestrzeń dla pacjentów, dwu- i trzyosobowe sale z łazienkami, telewizory na ścianach, pastelowa pościel. Oboje byli zadowoleni.

Uświadomiła sobie, jak wielkie zmiany zaszły w Polsce przez te dwadzieścia lat jej nieobecności. Pamiętała, z wizyt u mamy po kolejnych „upadkach ze schodów”, sale siedmio- i więcej osobowe z odrapanymi metalowymi łózkami i zieloną lamperią na ścianach. Łaty na szpitalnej pościeli i flanelowe koszule nocne dla chorych. Jedną łazienkę na cały oddział kobiecy i wytarte linoleum. Różnica była niesamowita. Patrzyła na to z dumą, rosło w niej poczucie godności.

Nocowali w Zabrze jedną noc, u wujka Wiktora, Huberta. Miał on niewielki domek pod miastem. Od śmierci żony mieszkał sam, z dochodzącą gosposią, która prowadziła mu gospodarstwo. Ucieszył się z tej wizyty, przyjął ich bardzo gościnnie. Mocno zainteresował się przypadkiem Artura. Od razu zaakceptował ich jako członków rodziny. Po kolacji panowie długo rozmawiali w gabinecie Huberta.

Artur zachwycony odpłynął w swój wirtualny świat. Okazało się, że wujek Hubert pasjonuje się informatyką. Miał superszybkie łącze i nieznaną synowi grę. To wystarczyło, by chłopak poczuł się jak u siebie.

Ona z przyjemnością rozsiadła się w fotelu przy kominku z kieliszkiem wspaniałej domowej nalewki. Wiśnia, z której owoców ją zrobiono, rosła w przydomowym ogródku.

Po raz pierwszy od przyjazdu poczuła jakiś sentyment związany z powrotem do swojego kraju. Dziwne uczucie spokoju. Gnębiąca ją przez te wszystkie lata, podszyta lękiem niechęć jakby wyparowała.

Nigdy nie tęskniła za ojczyzną – przeciwnie, bardzo się starała wymazać z pamięci czas dzieciństwa. Teraz też natychmiast pacyfikowała nachalnie powracające wspomnienia.

Do nikogo z rodziny nie zadzwoniła, nie miała ochoty, zresztą nie znała aktualnych numerów telefonu dalszych krewnych. Mama i ciocia Krysia, siostra mamy, nie żyły. Z bratem nie chciała mieć nic wspólnego. Nie wiedziała, czy obecnie siedział w więzieniu, czy nie, ani co robił. Poszedł w ślady ojca, pił? Podobno pod wpływem alkoholu spowodował wypadek i pieszy zmarł w szpitalu. Brat zresztą też się nią zupełnie nie interesował. Więzy krwi były w ich przypadku mocno przereklamowane, nie czuła żadnej bliskości z tym człowiekiem. Nie chciała również, by Artur wiedział, z jakiej rodziny pochodziła.

Celowo nie odwiedziła swojego rodzinnego miasta, chociaż Chorzów to rzut kamieniem od Zabrze. Jeszcze by ją ktoś rozpoznał i byłby kłopot. Wiedziała jedno: jej prawdziwą ojczyzną była Teneryfa. Ta wyspa ją przygarnęła, dała szansę rozwoju i godziwego życia. Tylko dlaczego los tak plątał jej ścieżki życiowe i wymusił niechciany powrót?

Teraz syciła się widokiem żywego ognia w kominku. Tyle lat tego nie oglądała. Teneryfa to zupeł-

nie inny świat: gorący klimat, brak zimy. Nie było tam nawet kuchenek gazowych, wszystko elektryczne. Niepotrzebne były buty zimowe, kurtki, nie wspominając o czapkach, szalikach czy rękawiczkach.

Wiatr w kominie huczał przyjemnie, bukowe szczapy strzelały iskrami. Przez ten jeden wieczór poczuła się bezpieczna i szczęśliwa. Cieszyła się, że jest w Polsce. Zobaczyła ten kraj odmieniony na lepsze.

* * *

Artur zaskoczył ich swoją decyzją. Oznajmił przy obiedzie, że chciałby zamieszkać z wujem Hubertem.

– W jego domu jest wystarczająco dużo miejsca dla dwóch facetów. No i dom znajduje się bardzo blisko Śląskiego Centrum Chorób Serca. Będę więc pod świetną opieką – przekonywał.

Po jego słowach przy stole zapadła długa cisza. Każdy ze swojego punktu widzenia rozważał za i przeciw.

– Myślę, że Hubert też byłby zadowolony – powiedział Wiktor, patrząc w oczy matki. – Czuje się samotny po śmierci cioci Ireny, pokoje stoją puste.

– No nie wiem – wahala się Halina. – Ten mój młodszy braciszek nie ma łatwego charakteru, a po śmierci żony trochę zdziwaczał, odsunął się od całej rodziny, nawet do mnie dzwoni tylko kilka razy w roku. I nie wiem, czy sprostałby opiece nad tak chorym chłopcem.

– Nie wymagam opieki poza lekarską, sam potrafię zadbać o swoje potrzeby – zaprotestował Artur.

– Tak się tylko mówi. – Halina nie dała się zbyć. – To wielka odpowiedzialność, a Hubert nigdy nie miał własnych dzieci.

– Ale to prawda. Artur od dziecka świetnie sobie radził, był bardzo samodzielny. Musiał, ponieważ ja dużo pracowałam i często nie było mnie w domu – wstawiła się za nim Aldona. – Tylko czy wujek Hubert się zgodzi?

– Porozmawiam z nim, ale nie przewiduję odmowy. Hubert z Arturem wyraźnie przypadli sobie do serca. – Wiktor się uśmiechnął. – Mają wspólne pasje: komputery, Internet, gry.

– Zgadza się – potwierdził Artur.

– Naprawdę chciałbyś? – dopytywała się Aldona.

– Oczywiście! To przecież najlepsze wyjście z sytuacji, nikt nikomu nie będzie przeszkadzał.

– No, chłopcze, kto tu mówił o przeszkadzaniu? – zaprotestowała Halina.

– Przepraszam, źle się wyraziłem, babciu – podkreślił. – Ale zdania nie zmienię.

Wszystkich zaskoczył tą „babcią”, po raz pierwszy tak się do niej zwrócił.

– Dobrze, róbcie, jak chcecie – wycofała się Halina.

– No to idę porozmawiać z wujkiem. Nie mamy za dużo czasu, musimy działać szybko – powiedział Wiktor i wyszedł z pokoju.

* * *

Nazajutrz byli już w Zabrze, w domku Huberta. Wynajęci mężczyźni opróżnili z mebli pokój na górze, obok łazienki. Wieczorem przywieziono zamówione szerokie łóżko z materacem. Trwały dyskusje dotyczące fotela i biurka, oświetlenia i żaluzji. Artur przedstawił całą listę potrzebnych mu rzeczy, a Wiktor zobowiązał się, że spełni jego życzenia.

Aldona, oszołomiona szybkością wydarzeń, nie miała czasu na rozpaczanie. Musiała się zająć tyłoma sprawami jednocześnie. Największym problemem okazał się zakup ubrań i butów, w które musiała zaopatrzyć syna. Zbliżała się zima. Sklepów z tak dużymi rozmiarami było niewiele. Bardzo pomocna okazała się wtedy pani Gabrysia, gospodyni Huberta. Ciepła, życzliwa kobieta, matka trzech dobrze zbudowanych mężczyzn. Dzięki jej doświadczeniu szybko skompletowały garderobę Artura. Ponadto rozmowy z nią bardzo uspokoiły obawy Aldony. Czuła, że zostawia syna w dobrych rękach.

Wiktor musiał wrócić do Krakowa na dializy, spędzała więc wieczory w jej towarzystwie. Lubiła słuchać głosu tej kobiety. Pani Gabrysia mówiła gwarą śląską. Często się śmiały, ponieważ musiała tłumaczyć Aldonie „z polskiego na nasze”.

– Nie martw się, dziolcha, przypilnuja twojego synka jak swojego. A wierz mi, mom wielkie doświadczenie. Miałach samych chopców i dwóch młodszych braci.

Wierzyła jej, widziała, jaka jest pracowita, nawet siedząc przy kominku, robiła na drutach skarpety dla wnuczki. Nie lubiła marnować czasu.

To dzięki Gabrysi przypominała sobie swoje dzieciństwo i młodość w cieplejszych barwach, w jej wspomnieniach pojawiły się radosne zabawy na podwórku z rówieśnikami, kąpiele w gliniankach, gra w dwa ognie, mecze piłkarskie dzikich drużyn.

Gabrysi przypomniały się powszechne wtedy wyliczanki. Zaśmiewały się serdecznie, recytując:

Siedzi baba na cmentarzu,

Trzyma nogi w kałamarniu.

Przyszedł duch,

Babę w brzuch.

Baba fik,

A duch znikł.

Albo:

Pan Pierdołka spadł ze stołka,

Złamał nogę o podłogę.

*Olaboga, moja noga!
Kupcie trumnę, bo ja umrę.
Jeszcze trumna nie kupiona
A już noga wygojona.*

* * *

Dzień umykał za dniem i trzeba się było żegnać. Aldona z wielkim trudem hamowała łzy, oddałaby wszystko, by Artur mógł z nią wrócić. Całą noc nie spała. Nie potrafiła się uporać z lękiem, panicznie się bała, że widzi syna po raz ostatni. Nie wolno jej było dopuszczać do siebie takich myśli, bo inaczej wszystko, co robili, nie miałyby sensu. Ale w nocy, gdy przewracała się z boku na bok, a sen nie przychodził, klębiły jej się w głowie najgorsze scenariusze. Z ulgą przywitała świt i długą listę obowiązków do wypełnienia.

Artur obiecał, że będzie często przysyłał e-maile, że najszybciej, jak się da, uruchomią Skype'a i będą rozmawiać, widząc się nawzajem.

Był bardzo ciepły, wręcz czuły w kontakcie, wiedziała, że też się boi. Stał się jeszcze bardziej milczący. Trzymali się blisko siebie, często patrzyli sobie w oczy i uśmiechali się, by dodać sobie nawzajem odwagi.

Od dwóch dni jej syn nie otworzył laptopa nawet na chwilę, dzisiaj prawie nie tknął śniadania – te nietypowe zachowania świadczyły o tym, jak bardzo był wytrącony z równowagi. Serce pękało jej z rozpacz, ale wiedziała, że to rozstanie jest ceną za jego życie. Tylko tu, tak blisko kliniki, miał szansę na przeżycie. Powtarzała to sobie po tysiąc razy dziennie, by nie spanikować i nie zrobić jakiegoś głupstwa.

Wiktor okazał się bardzo pomocny, wiele spraw potrafił załatwić w tak krótkim czasie. Zachowywał przy tym spokój, który dawał jej poczucie bezpieczeństwa. Była mu bardzo wdzięczna i całkowicie mu ufała. Gdyby nie on, nie miałyby odwagi zostawić tu syna.

Z Arturem pożegnała się na ganku. W silnych ramionach chłopca poczuła się jak dziecko. Gładził ją po plecach i zapewniał, że wszystko się ułoży, że ma się nie martwić, będzie często do niej dzwonił. Prosił, by pozdrowiła znajomych i całą Teneryfę. Czuła, że role się odwróciły, tak jakby to ona potrzebowała opieki i wsparcia. Jej syn doroślał w tempie przyspieszonym.

Wróciła z Wiktorem do Krakowa. Wieczorem odwiózł ją na lotnisko, dłużej, niż trzeba, przytrzymał jej dłoń i patrzył w oczy. Przytuliła się do niego mocno.

W samolocie myślała tylko o nich, mężczyznach swojego życia. Jeden i drugi ciężko chorzy. Obaj czekali na przeszczep, by móc dalej żyć. Tyle nieszczęść w jednej rodzinie. Bo byli rodziną, dzisiaj nie miała już najmniejszych wątpliwości.

Halina nie mogła zasnąć. Wiktor zaglądał do niej zaniepokojony, zaparzył jej melisę i przyniósł podgrzane mleko. Nic nie pomagało.

Świadomość bez przerwy podsylała jej obrazy z pobytu na Śląsku. Ten jej wnuk, niby dorosły mężczyzna, przerażał ją. Że duży i gruby – trudno, wielu młodych dzisiaj tak wygląda. Winiała za to nowoczesne jedzenie, chipsy, coca-colę. Ale w nim nie było siły, męskiej krzepy. Blady, z podkrążonymi oczami i tym ciastowatym ciałem. A jak on ciężko oddychał, szurał nogami, pocił się. Myślała, zupełnie bezpodstawnie, że się cudownie odmienił, ponieważ Wiktor z takim entuzjazmem opowiadał o jego inteligencji, dużej wiedzy, marzeniach i planach. W relacjach syna chłopak był doskonałym wnukiem, takim, o jakim marzyła każda babcia. Ale wystarczyło go zobaczyć, by wszystkie marzenia legły w gruzach.

Pozegnalne spotkanie okazało się bardzo sympatyczne. Aldona zadbała, by stół ugiął się od jedzenia, i wszystko zostało tak ładnie podane.

Widać też było wielką sympatię pomiędzy Arturem i Hubertem. Nie spodziewała się tego po swoim młodszym bracie. Od wielu lat, od śmierci żony, był ponurym samotnikiem, który ograniczył do minimum kontakty z ludźmi. Teraz często żartowali wspólnie z Arturem i Wiktorem. Ta trójka świetnie się rozumiała, dyskutowali, przekomarzali się, śmiali. Nie zawsze rozumiała, o czym mówili. Świat nauki tak pędził do przodu, że nie nadążała za zmianami. Hubert radził Arturowi:

– Podchodź do wszystkiego kreatywnie, pytaj siebie: jaki pogląd w tym konkretnym temacie dominuje? A potem go skrytykuj i zaproponuj coś zupełnie nowego, burz stereotypy!

– Ciekawe, jak niby młodzi mają to robić – wtrącił się Wiktor. – Przy naszym systemie edukacyjnym? Od przedszkola zabija się w ich inwencję, każe podporządkowywać regułom, na studiach zmusza do wyboru coraz węższych specjalizacji. Kształcenie opiera się głównie na rozwiązywaniu testów. Młody człowiek traci wrażliwość, przestaje oceniać, ma małe szanse na refleksję...

– Tak, masz rację, to wielki błąd. Specjaliści brną w koleiny – przerwał mu Hubert. – Ale ty jesteś wyjątkowy – zwrócił się do Artura. – Nie słuchaj tego, co mówią inni, rób swoje. Rozejrzyj się. Zobacz, ile pomysłowości wykazuje matka natura, świat biologiczny bez przerwy ewoluuje. Obserwuj i dociekaj.

Halina poczuła się stara i zmęczona, znużyły ją te mądre, męskie rozmowy. Chętnie wycofała się z Gabrysią i Aldoną do kuchni.

Tam usłyszała o pomysle Artura, aby podpisać oświadczenie woli na pobranie jego zdrowych organów w razie śmierci, gdy tylko ukończy osiemnaście lat.

Aldona czuła wielką dumę z syna. Był nad wiek dojrzały i bardzo inteligentny. Przysłuchiwała się z podziwem jego rozmowom z Wiktorem i Hubertem. Cieszyła się, że Artur nareszcie ma z kim

dyskutować, tego najbardziej brakowało mu na Teneryfie.

A Halinę właśnie wtedy dopadła potworna myśl; w jednej sekundzie dosłownie została przez nią opętana. To było jak uderzenie pioruna.

Wiedziała, że zgodność tkankowa w przypadku Wiktora i Artura była bardzo duża. Kiedyś Kazimierz, przyjaciel Wiktora, zwrócił na to uwagę, gdy analizowali wyniki badań chłopca. Oboje mieli tę samą rzadką grupę krwi A Rh minus i zgodność tkankową pięć w skali do sześciu. To podobno wyjątkowa zgodność, idealna przy przeszczepach między dawcą i biorcą.

W jej mózgu zapaliła się czerwona lampka. Artur mógłby uratować jej syna! Jego młoda nerka byłaby idealna. Organizm Wiktora przyjąłby ją jak swoją własną i nie próbowałby odrzucić. Niestety serce Artura nie wytrzymałoby operacji pobrania nerki, nie może więc być żywym dawcą, ale gdyby jednak nie doczekał przeszczepu i zmarł? Boże, o czym ona myśli? To przecież jej wnuk!

A może właśnie po to Artur pojawił się tak niespodziewanie w ich życiu? Podobno nie ma przypadków, wszystko dzieje się w konkretnym celu.

Tam, w tej kuchni, przestraszyła się tego pomysłu. Z przerażeniem popatrzyła na Aldonę, która uśmiechała się do niej ciepło. Gdyby ta kobieta wiedziała, co jej chodziło po głowie... Ona też była matką, też czekała na dawcę dla syna. Czy by ją zrozumiała? Nie, z pewnością nie. Żadna matka nie widzi swojego dziecka w roli dawcy.

Przewracała się w pościeli, udręczona tą wizją. Miałaby się modlić o śmierć wnuka, by uratować syna? Czy Bóg może być aż tak okrutny? Czy ona jest potworem? Patrzy na wnuka i widzi dawcę narządów! Straszne, wstrętne, nieludzkie.

Spokojnie, przecież nie może nic zrobić, nie ona decyduje. Ale myśl pozostała, ciążyła jak ołów, nie pozwalała jej zasnąć. Złą myślą też można zgrzeszyć.

Usłyszała, że Wiktor idzie do łazienki, dochodziła siódma rano. Nie spała całą noc.

Rozmowy

— W przeciwieństwie do ciebie jestem w takim momencie mojego życia, że mogę robić to, na co mam ochotę. Nikomu z niczego nie muszę się tłumaczyć. I wiesz, co robię? Nic nie robię.

– Fajnie. Ale raczej nudno. Jak dla mnie – odpowiedział Artur.

– I o to w tym wszystkim chodzi. Człowiek nie jest stworzony do tego, by tkwić w bezruchu, bo robi się cholernie nudno. I wtedy ratuje go wyobraźnia. Ona nie zna ograniczeń, nie zna słów: „niemożliwe”, „nierealne”, „bezsensowne”. Więc się bujam w swoich światach. I nieważne, czy to się komuś podoba, co sobie o mnie inni pomyślą. Dawno mnie to przestało interesować. Swoje dla społeczeństwa zrobiłem, pracowałem zawodowo ponad czterdzieści lat. Jestem zasłużonym emerytem. Nie muszę się martwić o dzieci i wnuki, bo nigdy ich nie miałem. Mam dom i trochę forsy w banku. Zwiedziłem kawał świata, bo moja Irenka lubiła podróże. Wiesz, teraz szukam sobie jakiegoś fajnego marzenia, które może chciałbym spełnić. A ty masz jakieś marzenie?

– No mam... – Artur się zawahał. – Ale to jedno z tych nierealnych. – Machnął ręką.

– Takie są najfajniejsze. Opowiadaj.

– E, będziesz się śmiał – zaprotestował.

– To się chociaż pośmiejemy. – Hubert wzruszył ramionami.

– Chciałbym pracować i mieszkać w Dolinie Krzemowej – powiedział Artur, śledząc uważnie jego twarz.

– No, ambitny jesteś. – Hubert pokiwał głową. – A co byś tam robił?

– Za dużo gadania.

– A spieszysz się gdzieś? Mama już odleciała, spać i jeść możemy, kiedy tylko nam się spodoba.

Wolne z nas ptaszki.

– Nie wiem, od czego zacząć. – Artur próbował się wycofać.

– Chciałbyś być jak Mark Zuckerberg, Paul Allen czy Bill Gates?

– Nie. Chciałbym być sobą, Arturem. Ale marzę, by uzyskać dostęp do nowoczesnych laboratoriów, mieć wokół profesorów, naukowców, którzy wiedzą wszystko na... pewien temat.

– Jaki temat?

– Słyszałeś może o próbach zeskanowania ludzkiego mózgu do komputera?

– A, to cię interesuje. Coś tam słyszałem, ale to mi pachnie fantastyką.

– Na początku wszystkie odkrycia były fantazją szaleńców, choćby Internet czy telefon komórkowy.

– Jasne, masz rację. A co, chciałbyś swój mózg powierzyć maszynie?

– A ty nie? Przecież nie ma nic bardziej zawodnego od ludzkiego ciała. Myślę, że tobie też już niejedno nawala, a części zamiennych nie ma. Właściwie wszystko masz nieźle zużyte i twój mózg musi stale walczyć z rosnącymi ograniczeniami. Gorzej, twój mózg umrze, bo ciało w końcu odmówi ci posłuszeństwa, a z twoim doświadczeniem, z twoją wiedzą i inteligencją mógłbyś wiele osiągnąć i stale się rozwijać.

– Mhm, ciekawa teoria. Mózg ludzki bez tego cielesnego ograniczenia mógłby się rozwijać w tempie atomowym. – Hubert aż się zachłysnął tą myślą. – Nieograniczona pamięć, szybkość przetwarzania danych, gromadzenia informacji, porównywania, odkrywania nieodkrytego...

– Niesamowite, prawda? – Artur się uśmiechnął.

– Myślisz, że taka replikacja umysłu jest możliwa?

– Jasne. Za kilkanaście lat na pewno. Myślałem, że jestem na tyle młody, że spokojnie doczekam tego momentu i wreszcie pozbędę się tego wstrętnego cielska. – Pokazał na swój brzuch. – Ale niestety, moje serce pokrzyżowało mi plany.

– Myślisz, że już nad tym pracują?

– Nie myślę, ja to wiem. W wielu laboratoriach, w wielu krajach. Czytałem gdzieś wypowiedź samego Stephena Hawkinga, mojego idola, który jest przekonany, że jesteśmy naprawdę blisko przełomu. Może się to okazać szansą na pełniejsze życie dla osób niepełnosprawnych, których ciało już nie da się uratować. Niektórzy naukowcy twierdzą, że skopiowanie umysłu i umieszczenie go we wnętrzu komputera jest możliwe już teraz. Trzeba tylko stworzyć dokładną mapę mózgu i całą aktywność neuronalną przepisać na kod zero-jedynkowy. Pozwoli to na stworzenie czegoś na kształt cyfrowej świadomości.

– A zdajesz sobie sprawę, że taka świadomość zapisana w postaci kodu mogłaby stać się bytem w pełni samodzielnym? – ekscytował się Hubert. – Jezu, nikt by nad tym nie zapanował, człowiek zostałby daleko w tyle ze swoim żółtym przetwarzaniem danych. Wiesz, co to oznacza? To byłby koniec ludzkiego gatunku.

– Zgadza się. Myślę, że właśnie to powstrzymuje naukowców. To tak jakby otworzyć drzwi potworowi, który nas w szybkim tempie pożre albo sobie podporządkuje, zniewoli.

– No, synu, jeżeli interesujesz się takimi zagadnieniami, to myślę, że marzenie o Dolinie Krzemowej jest w pełni uzasadnione – stwierdził Hubert z podziwem.

– Niestety, moje szanse zostały przekreślone, po prostu nie zdążę, ciało mnie bardzo zawiodło. Dlatego tak dobrze rozumiem Hawkinga, po prostu podziwiam faceta i zazdroszczę mu, bo on jednak pomimo choroby zdążył tyle osiągnąć. – Zamilkł.

– Hej, nie myśl w ten sposób. Trzeba tak jak on walczyć do końca. Wyjdiesz z tego, dostaniesz zdrowe, silne serce i zaczniesz nowe życie. Zobacz, gdy ja byłem w twoim wieku, taki przeszczep był fantazją, a teraz codziennie wiele serc zmienia właściciela. Świat nauki pędzi do przodu, a ty mi uświadomiłeś, jak bardzo. Wiktor chyba nie wie, jakiego fajnego ma syna. – Uśmiechnął się.

– Najpierw trzeba cudu, by zdobyć zdrowe serce. Nie mogę się pogodzić z tym, że ktoś musi zginąć, żebym ja mógł normalnie żyć. To nie jest sprawiedliwe, bo niby w czym jestem lepszy?

– No, no, no. Koniec z takim myśleniem, nie tędy droga. Ty tego dawcy nie zabijasz, rozumiesz? Ty tylko sprawisz, że jego serce nie zgnije w ziemi, będzie żyło i razem dokonacie wielkich rzeczy. Taki dawca powinien ci być wdzięczny, bo jego serce trafi w dobre ręce, a właściwie w dobrą pierś. – Uśmiechnął się. – A potem to już droga otwarta i świat otwarty, i Dolina Krzemowa. Masz ambitne plany, marzenia z najwyższej półki i tego się trzymaj.

– Jasne, nie ma sprawy, zwłaszcza że nie mam alternatywy. – Artur się roześmiał.

– Alternatywy to ja nie mam, moje ciało, jak słusznie zauważyłeś, sypie się całe. Każda komórka jest stara. Ty to inna bajka. – Wzruszył ramionami. – A wiesz, że czasami dobrze jest nie mieć żadnego wyboru, wtedy droga jest prosta, a cel jedyny, jasny. Nie rozpraszaaj energii na wątpliwości i smutki, potrzebujesz każdego jej grama do walki.

– Amen – dokończył Artur.

Popatrzyli sobie głęboko w oczy i wybuchnęli głośnym, serdecznym, długim śmiechem. Oboje nie robili tego od wielu lat.

Pusty pokój

Otworzyła drzwi do pokoju syna. Zatrzymała się w progu. Niezdobyta twierdza Artura. Teraz pusty fotel nie bronił nikomu dostępu. Zgaszony ekran dużego monitora przypominał kosmiczną czarną dziurę. Poczła silny ucisk w piersi. Łzy popłynęły po policzkach. Czowała się straszliwie samotna, opuszczona. Czy tak będzie już zawsze? Czy Artur jeszcze kiedyś usiądzie w swoim ulubionym fotelu?

Siły zupełnie ją opuściły, usiadła na jego łóżku, pozwoliła, by zawładnęła nią ogromna rozpacz. Podciągnęła nogi i zwinęła się w kłębek, wtulając głowę w poduszkę. Chciała tak trwać bez końca.

Nie wiedziała, jak długo leżała. Nagle dotarły do niej codzienne odgłosy sąsiadów. Nozdrza podrażnił zapach smażonego mięsa. Czas kolacji? Usiadła i jeszcze raz dokładnie rozejrzała się po pokoju. Westchnęła głośno.

– Trzeba tu posprzątać, wszystko wyprać, wyszorować, poukładać. Przygotować pokój, bo on tutaj wróci. Tak, na pewno wróci! – powiedziała głośno. – Wróci zdrowy, z nowym sercem.

Wstała i podeszła do okna. Najpierw trzeba porządnie wywietrzyć. Otworzyła szeroko obydwie skrzydła. Popatrzyła na bezchmurne niebo. Wciągnęła głęboko rozgrzane powietrze, niepowtarzalne zapachy Teneryfy.

Koniec z tym roztkliwianiem się nad sobą, nie wolno jej tego robić. Jeśli ona, matka, przestanie walczyć, wierzyć, to nic nie pomoże. Trzeba zgromadzić dużo energii, pozytywnych myśli, woli działania, jak żołnierzy do boju.

– Aldonza! Gdzie się ukrywasz? Zejdź do nas, obiad czeka. – Machała na nią Celestina.

– Już schodzę! – odkrzyknęła. Przymknęła okno, poczuła głód, dawno nie jadła. Musi żyć, musi pracować i walczyć. Potrzebuje dobrych ludzi, ich wsparcia. Ostatnio odsunęła się od wszystkich, to zła droga.

Umyła twarz, rozczesała włosy, pociągnęła szminką usta. Przywitano ją ciepło, serdecznie, posadzono za stołem. Jedli, pili wino, rozmawiali. Opowiedziała o Arturze, o badaniach, szpitalach i opiece w Polsce. Czowała się jak w rodzinie.

– Dobrze zrobiłaś, że go tam wywiozłaś. Jest w dobrych rękach, wszystko się ułoży – powiedział Lucio, mąż Celestiny.

Była mu wdzięczna, tak bardzo potrzebowała takiego potwierdzenia, ponieważ wyrzuty sumienia,

że zostawiła swoje dziecko, bardzo ją dręczyły.

– Napisz mu, że my tu wszyscy myślimy o nim i mocno trzymamy kciuki. A matka – wskazał na teściową – codziennie modli się do Najświętszej Panienki za niego.

Zasypiała szczęśliwa. Wróciła do domu, bo to Teneryfa jest jej domem. I zrobi wszystko, by syn też tu powrócił.

Obudziła się jeszcze przed świtem, śniło jej się coś niedobrego, ale nie pamiętała co. Próbowwała zasnąć, miała jeszcze trzy godziny do pobudki. Nie udało się. Przewracała się na łóżku, żadna pozycja nie była wygodna, w końcu wstała i uruchomiła komputer. Czekala tam na nią niespodzianka: aż trzy e-maile od Wiktora. Okazało się, że był na dializie i się nudził. Chciał wiedzieć, czy szczęśliwie dotarła do domu, czy dobrze się czuje, jaka pogoda jest na Teneryfie, bo w Polsce pada deszcz i wieje silny wiatr.

Zapewniał ją, że Artur dobrze się czuje, rozmawiał z nim godzinę temu przez telefon. A Hubert jest ich synem zachwycony, prowadzą długie, ciekawe rozmowy. Uznał Artura za bardzo inteligentnego, uzdolnionego człowieka, który robi wielką karierę. Bardzo się cieszy, że mogą razem spędzać tak dużo czasu.

Wysłał jej też kilka ładnych zdjęć zrobionych w czasie spaceru po Krakowie. Na jednej z fotografii obejmował ją ramieniem. Przypomniała sobie, że chwilę wcześniej minęła ich dorożka, a koń parsknął i bardzo ją przestraszył. Wiktor objął ją ramieniem, a Artur musiał im wtedy zrobić tę fotkę.

Tak, Wiktor przez cały czas jej wizyty w Polsce był bardzo opiekuńczy. Czula się przy nim bezpieczna. Lubiła jego spokój, to, że zawsze patrzył w oczy rozmówcy. Gdy słuchał, czulo się, że jest skoncentrowany, uważny.

Staral się umilić im pobyt, choć jego okoliczności byly przeciez niewesołe. Co drugi wieczor spędzal w szpitalu na dializie, a to z pewnością bardzo utrudniało mu życie, ale był tak dobrze zorganizowany, że radził sobie i z obowiązkami zawodowymi, i problemami rodzinnymi. Musiała przyznać, że w dużej mierze była to również zasługa jego mamy. Miał w niej prawdziwą przyjaciółkę, bardzo dbała o niego i tak wszystko urządziła, by pomimo choroby mógł żyć aktywnie.

Aldona wydrukowała sobie tę wspólną fotografię, oprawiła w ramkę i postawiła na komodzie obok zdjęć Artura.

Oczekiwanie

Życie Artura toczyło się teraz leniwie, według schematu, który stosunkowo szybko sam się ustalił. Obaj z Hubertem długo spali, w południe jedli śniadanie, które każdy sam sobie szykował. Obiad gotowała pani Gabrysia i zostawiała w garnkach na kuchence. Mogli go sobie odgrzać, kiedy chcieli. Przymusu nie było. Na drugi dzień jedzenie tak czy inaczej znikало z garnków i pojawiały się nowe potrawy. Kolację jedli bardzo późno, często wspólnie. Preferowali życie nocne, zasypiali nad ranem. Dostyc często rozmawiali na temat artykułów, które czytali. To były fascynujące dyskusje dotyczące zagrożeń współczesnego świata, wynikających z sytuacji politycznej, ekonomicznej i naukowej.

– Moim zdaniem ludzkość ma dwa wyjścia, by przetrwać jako gatunek – przekonywał Hubert. – Możemy opuścić Ziemię, gdy życie tu przestanie być możliwe, i zasiedlić inne planety. Ale wtedy już dziś całą uwagę i potencjał powinniśmy skierować w stronę badań kosmosu...

– Albo?

– Albo zmodyfikujemy swój genotyp.

– Myślisz o zmianie kodu genetycznego? – spytał Artur.

– Tak. Trzeba się będzie dostosować do przemian, jakie dokonają się na Ziemi. Już się nad tym ostro pracuje. Coraz więcej osiągnięć mają naukowcy zajmujący się biologią syntetyczną. Choć podziwiam ich dokonania, jestem temu zdecydowanie przeciwny, to nie jest dobry dla nas kierunek. On nie ocali Ziemi, tylko wzbogaci koncerny i przyspieszy klęskę naszego gatunku. Niestety, tego postępu nie da się już zatrzymać. Oligarchowie widzą w tym swój interes i wielkie zyski. Więc w sumie cieszę się, że i my, Polacy, aktywnie uczestniczymy w tego rodzaju badaniach i odnosimy spore sukcesy.

– Czytałem gdzieś – przypomniał sobie Artur – o dokonaniach profesora Wacława Szybalskiego, to on stworzył termin „biologia syntetyczna”. Z tego co pamiętam, uczestniczy w realizacji światowego projektu badania ludzkiego genomu.

– Tak, razem ze studentami i absolwentami biotechnologii Uniwersytetu Warszawskiego zajmuje się projektowaniem sztucznych organizmów. Zespół ma na swoim koncie wiele odkryć i nagród.

– Fajna sprawa, ta nowa dyscyplina naukowa szybko się rozwija.

– Błyskawicznie! – potwierdził Hubert. – Ale tworzenie całkowicie nowych organizmów z frag-

mentów kodów genetycznych budzi moje wielkie wątpliwości etyczne. Zbyt łatwo będzie można wykorzystać na przykład mikroorganizmy chorobotwórcze do produkcji broni biologicznej.

– Fakt. A szaleńców, którzy by z tym poeksperymentowali, z pewnością nie zabraknie. Międzynarodowe przepisy zabraniające produkcji i użycia broni biologicznej mogą się okazać zbyt słabą zaporą.

– Jest szansa, że nad tym zapanujemy. My, ludzie, jesteśmy jedynym gatunkiem, który rozwiązuje problemy i potrafi wybiegać myślą w daleką przyszłość – zastanawiał się Hubert. – Jesteśmy w pełni świadomi, czym to grozi. Od wielu lat próbujemy się zjednoczyć i wspólnie temu przeciwdziałać.

– A bomby atomowe? – zaatakował Artur. – Ktoś jednak nacisnął guzik.

– Tak, ale to dało nam taką nauzkę, że teraz wszyscy mamy świadomość skali zagrożeń.

– Czytałem, że w Stanach Zjednoczonych przeznaczają się co roku miliony dolarów na prace poświęcone tworzeniu żołnierza idealnego. Chodzi o nowoczesne technologie wojskowe, które poprawią słuch, wzrok, pamięć i pozwolą na nowe formy przemieszczania się. Taki żołnierz będzie zręczniejszy, wytrzymalszy, a także bardziej bezwzględny i opanowany. Nie będzie odczuwał bólu i stanie się bardziej odporny na obrażenia.

– Czy to oznacza, że nieuchronnie zbliżamy się do ery cyborgów? – zapytał Hubert kpiąco.

– Jest wielu entuzjastów transhumanizmu. – Artur wzruszył ramionami.

– Wiesz, coraz wyraźniej uświadamiam sobie, że my, ludzie, tworzymy taki gigantyczny mózg społeczny naszej planety, globalny, ujednoczony przez Internet. Te stale rozwijające się połączenia już przypominają układ nerwowy. – Hubert się uśmiechnął. – Myślę, że albo wspólnie rozwiążemy te problemy, albo wywołamy totalną katastrofę, która nas wszystkich zniszczy. Nic nie ocaleje.

– Fajna wizja – prychnął Artur. – Tylko dlaczego ta myśląca istota sama niszczy swój jedyny dom? Na razie nie posiadamy innego. Wytrzymałość i zasoby Ziemi są ograniczone, musimy zachować ją przy życiu.

– Widzisz, musiałby nastąpić rozwój moralny ludzkości. Niestety moc kultury materialnej jest przeogromna. Konsumpcjonizm stał się ogólnoswiatową religią i nic tego nie powstrzyma. Każdy chce mieć więcej, coraz więcej. Powszechna korupcja, brudna polityka, terroryzm, wyzysk – wystarczy włączyć telewizor.

– W takim razie naszą jedyną szansą jest kolonizacja kosmosu – podsumował Artur.

– Nie masz się o co martwić, zanim całkowicie zniszczymy przyrodę na Ziemi, będą na niej mieszkać roboty o ludzkich mózgach. Wszystko, co żywe, zostanie zmienione genetycznie, dostosowane. Człowiek, rośliny i zwierzęta, a nawet ilość tlenu w powietrzu przeobrażą się, by dało się przetrwać. – Hubert zachłysnął się swoją wizją.

– Ooo, ale się zagalopowałeś. A nie lepiej skupić się na ochronie kapitału naturalnego: wody, ziemi, powietrza, surowców, których dostarcza nam natura? Do tej pory jakoś się udawało.

– Nic z tego, kochany. Szaleni oligarchowie widzą tylko swoje zyski, anektują ziemię pod budowę miast i rozwój przemysłu, wycinają lasy zwrotnikowe, stopniowo zanika różnorodność biologiczna, w końcu doprowadzą do globalnego kryzysu. Przecież wiesz, że co roku bezpowrotnie znikają kolejne gatunki zwierząt i roślin. Emisja dwutlenku węgla rośnie w katastrofalnym tempie, a efekty globalnego ocieplenia już dają się wszystkim we znaki. Myślisz, że ludzie zdołają się zjednoczyć na tyle, by wspólnie temu zapobiec? Przecież najbardziej rozwinięte kraje musiałyby ograniczyć swoją ekspansję, bo to one są największym zagrożeniem dla Ziemi. Wiem jedno: jeżeli nie uda się nam dogadać, niedługo rozpoczną się wojny o wodę, której tak naprawdę już brakuje. Topią się lodowce, a to gwałtownie podniesie poziom wody w oceanach, zaleje lądy. Chłopcze, to działalność człowieka zmienia klimat.

– No dobrze, czyli naszym jedynym ratunkiem jest nauka – rozważał Artur. – Umysłu nie da się powstrzymać. Możemy zmieniać przyszłość, posługując się nowymi narzędziami.

– Ha, sam widzisz, teraz to w nauce ścigamy marzenia. Każda nowa informacja prowadzi do szeregu hipotez. Chcemy przejść i zmienić proces ewolucji, tworzyć nowe gatunki. W takich ciekawych czasach żyjemy.

– Oj, Hubercie, kto cię powstrzyma? – Artur się roześmiał.

– Śmierć, oczywiście – Hubert wzruszył ramionami, po czym mrugnął szelmowsko i dodał – ale jeszcze z nią powalczymy.

* * *

Dni stawały się coraz chłodniejsze i krótsze. Artur bardzo tęsknił za swoją wyspą. Oczami wyobraźni widział ciemne ściany klifów i prawie martwą powierzchnię oceanu. Upał, odurzający zapach kwiatów. Głośno brzęczące pszczoły, które uwijały się przy wielkich, czerwonych stożkach żmijowców rosnących na stokach Pico del Teide. Czerwone, ponadmetrowej wysokości stożki są prawdziwą ozdobą skromnej roślinności Piekielnej Góry.

Zjadł dziś na śniadanie bułkę grubo posmarowaną miodem wytworzonym z nektaru tych kwiatów. Taka namiastka Teneryfy w jego obecnym życiu.

W pierwszy słoneczny dzień ubrał się ciepło i wyszedł do ogródka. Rozsiadł się na ławce pod ścianą budynku, by osłonić się od chłodnego wiatru. Gdy się cudownie odprężył, chłonąc całym sobą ciepło promieni słonecznych, otrzymał bolesny cios w głowę ogryzkiem jabłka. Zanim sobie uświadomił, skąd ten niespodziewany atak, usłyszał tupot nóg i dziecięcy chichot. Nikogo nie widział, ale domyślił się, że to dzieci sąsiadów.

Obserwował ich od jakiegoś czasu z okna. Niezła para rozrabiaków, ośmio- i dziesięciolatek. Chłopcy strzelali z proc do ptaków, polowali na koty, godzinami wisieli na trzepaku głową w dół, prowadzili bitwy na śnieżne kule. Typowe dzieciństwo, ale jakże inne niż jego. Zręczność kilkulat-

ków fascynowała go.

Pamiętał, że gdy był młodszy, wiele razy zazdrościł chłopakom tej swobody poruszania się. On zostawał daleko w tyle za rówieśnikami, kpili z niego, wyzywali od grubasów, robili mu brzydkie kawały. Wtedy płakał, ukrywał się, szukał odludnych miejsc. Mamy często nie było w domu, nie miał ojca ani rodzeństwa. Czuł się nikomu niepotrzebnym dziwadłem.

Dopiero gdy odkrył komputer, a później Internet, poczuł, że odnalazł swoje miejsce na ziemi. Już nie zabiegał o towarzystwo rówieśników, nie byli mu potrzebni. Świat wirtualny przyjął go z otwartymi ramionami. Teraz nazywał się Ricardo, był najszybszy, najzręczniejszy i niezwyciężony. Szybko polubił świat gier komputerowych i okazało się, że był w tym naprawdę dobry. Tam liczyły się: umysł, wyobraźnia, logiczne myślenie.

Polubił bardzo to dobrowolne zamknięcie w czterech ścianach swojego pokoju. To była jego twierdza, do której prawie nikt nie miał prawa wstępu.

Zdecydowanie wolał kontaktować się z innymi ludźmi w sieci. Stworzył swój awatar, doskonałe alter ego. Coraz więcej czasu spędzał na surfowaniu po Internecie, graniu w gry komputerowe i rozmawianiu przez Skype'a z innymi samotnikami przyklejonymi do laptopów.

Dołączył do armii internautów uciekających od rzeczywistości. Jak wielu innych był przekonany o tym, że wszystko, co robi w realu, nie jest dość dobre dla otoczenia i prowadzi do następnej porażki, kolejnego bolesnego odrzucenia. Z ulgą więc zamykał się w świecie, który akceptował go bez zastrzeżeń.

Nie wiadomo, czym by się to wszystko skończyło – czytał o uzależnieniu od komputera, o japońskich hikikomori – gdyby nie poznał Fabiana, studenta z Londynu, który pisał jakąś pracę i szukał kontaktu z kimś, kto od dłuższego czasu mieszka na Teneryfie. Pisali do siebie często. Artur był dumny z tego, że dorosły mężczyzna traktuje go jak równego sobie.

Odpowiadał na jego tasiemcowe pytania, robił dla niego zdjęcia różnych miejsc i przysyłał mu je, podobno bardzo mu pomógł. Wspólnie grali w gry komputerowe, ale w tym to on bił Fabiana na głowę. Zawsze był szybszy, sprytniejszy.

To Fabian podsunął mu pomysł, by sam tworzył gry, że to niezły biznes, można zarobić sporo forsy i uniezależnić się od rodziny. Chyba naprawdę szczerze podziwiał jego inteligencję. To od niego po raz pierwszy usłyszał, że jest wyjątkowym facetem, że to mózg jest w człowieku najważniejszy, a nie ułomne ciało.

Podsyłał mu artykuły o Stephanie Hawkingu, od niego po raz pierwszy usłyszał o Dolinie Krzemowej i młodocianych naukowcach. Zdaniem Fabiana świat zmienia się tak szybko, że dawny system edukacji przestaje być wydolny. Trzeba się uczyć przez całe życie, a nie tylko w dzieciństwie czy młodości. Do tego służy rozbudowany program stypendialny, w różnych instytucjach i na uniwersytetach organizuje się obozy naukowe w formie warsztatów i laboratoriów. Uzdolniona młodzież dostaje mentora, który prowadzi podopiecznego konkretną ścieżką. Fabian udowadniał Artu-

rowi, że świat rzeczywisty jest ciekawszy, niż mogłoby się wydawać. Zrobił swoje, zasiał dobre ziarno.

Co prawda z czasem Artur coraz dłużej czekał na jego odpowiedzi i w końcu kontakt się rozmył, ale miał już wtedy swoją drogę, swoje marzenie. I gdyby nie chore serce, działałby zdecydowanie, ale w tej sytuacji... wszystko traciło sens.

Teraz głównym zajęciem Artura było czekanie na telefon – makabryczny telefon ogłaszający, że czyjś mózg właśnie przestał działać i można osobnikowi wyciąć serce. Próbował wyrzucić te dramatyczne myśli ze swojej świadomości, ale one wracały. Równocześnie bardzo chciał jak najszybciej zakończyć czas zawieszenia pomiędzy życiem a śmiercią, w którym tkwił od lat. Pragnął zacząć wreszcie normalną egzystencję, którą mu obiecywano, a jednocześnie nie chciał czuć w swojej klatce piersiowej tego intruza – obcego organu. Zwyczajnie się go bał. Musiał uciekać w świat wirtualny, by nie zwariować od tego wszystkiego.

Dużo czytał na ten temat. Wiedział wszystko o technicznej stronie takiej operacji i możliwych zagrożeniach. Z tym sobie radził. Miał inny problem – analizował pojęcie świadomości. Dręczyło go pytanie: czy świadomość człowieka może przetrwać poza ciałem? Niektórzy naukowcy twierdzą, że tak.

Z drugiej strony organy naszego ciała nie są przecież uniwersalne i ich zastąpienie przez organ dawcy może przysporzyć wielu nie tylko zdrowotnych, lecz także psychicznych problemów.

A jeżeli przeszczepiony organ będzie nadal utrzymywał komunikację informacyjną z nieśmiertelną jaźnią dawcy? Zakładając, że ona gdzieś tam nadal funkcjonuje? Na samą myśl przechodził go zimny dreszcz.

Czytał artykuły o tym, że w Chinach wykorzystuje się do przeszczepów narządy więźniów skazanych na śmierć. A jeżeli dostałby serce seryjnego mordercy? To byłby prawdziwy horror!

Otrzymane serce będzie miało inne DNA niż reszta jego ciała. Leki, które będzie musiał brać do końca życia, zmuszą organizm, by nie odrzucił przeszczepu, ale czy cudze serce nie wpłynie na jego świadomość?

Wielokrotnie dyskutował na ten temat z Hubertem i Wiktorem, który miał przecież ten sam problem. Jednak nerka to nie serce, ma raczej mniejszy wpływ na działanie mózgu człowieka.

Wiktor nie wierzył w istnienie takiej łączności. Jego zdaniem nawet jeżeli przyjmiemy, że jaźń jest nieśmiertelna, to po śmierci przenosi się do innego wymiaru, nie funkcjonuje w naszej rzeczywistości i nie może na nas oddziaływać.

Według Huberta nie było powodu, by zamartwiać się o wpływ świadomości dawcy na naszą, ponieważ każdy z nas przychodzi na ten świat z indywidualnie zaprogramowanym filtrem dochodzących do niego sygnałów.

– Żaden mózg nie byłby w stanie przetworzyć tej ogromnej ilości docierających do niego informacji. Musi być selekcja. W rezultacie nasza percepcja jest ograniczona przede wszystkim do postrze-

gania zmysłowego. To tłumaczy fakt, że każdy z nas trochę inaczej widzi, przeżywa i rozumie rzeczywistość – przekonywał.

– A jednak wystarczy wpisać w Google hasło „pamięć komórek”, by posypały się linki z opisami przeżyć i zmian, jakie zaszły w psychice biorców. Nie da się tego zignorować – upierał się Artur. – Są dowody na to, że osobowość, talent, pasje, upodobania kulinarne, a nawet orientacja seksualna dawców oddziałują na życie biorców.

Artur, gdy dopadały go wątpliwości i atakowały pytania, na które nie znajdował odpowiedzi, uciekał do swojego wirtualnego świata. Tam to on dyktował warunki, ustanawiał prawa, decydował, co jest możliwe, a co nie. Tam odzyskiwał spokój.

Rozdział XXVII

Operacja

Aldona przeczytała e-maila jeszcze raz.

Przez jakiś czas nie będę miał dostępu do Internetu. Wydarzyło się coś niesamowitego, wezwano mnie do szpitala, znalazł się dawca nerki. Nie mogę uwierzyć, że moje marzenie się spełni. Tyle razy wyobrażałem sobie ten moment, ale nie wiedziałem, że będę się czuł taki bezradny. Najbardziej przeraża mnie myśl, że ktoś umiera, a jego cząstka będzie żyła we mnie, że będę miał w sobie coś obcego, co jednak pozwoli mi funkcjonować normalnie. Uratuje mnie. Wiem, że muszę to zaakceptować i walczyć, by mój organizm tego daru nie odrzucił.

Aldona, co za bzdury piszę, wybacz mi, ale to, co przeżywam, wytrąca mnie z równowagi, burzy logiczność myślenia. W sumie chciałem Ci tylko powiedzieć, że dzisiaj zgłaszam się do szpitala i oddaję w ręce lekarzy. I nie będę mógł odpowiadać na Twoje e-maile. I będzie mi ich brakowało...

„Będzie mi ich brakowało”. Ogarnęła ją fala ciepła. Jego wyznanie spotkało się z tym, co sama czuła. Wiktor nie był jej obojętny i od jakiegoś czasu wiedziała, że nie tylko dlatego, że był ojcem jej syna i otoczył go opieką, dzieląc z nią ten wielki ciężar. Stał jej się bliski dzięki wiadomościom, które do siebie pisali prawie codziennie. Na początku ograniczały się do spraw związanych z Arturem, stanu jego zdrowia, ale z czasem zaczęli dzielić się wszystkim, co aktualnie zajmowało im myśli i czas.

Wiedziała, chociaż Wiktor niechętnie o tym wspominał, że coraz gorzej znosił dializy. Wracał z nich zmęczony i bardzo osłabiony, a jeszcze rok temu zaraz po zabiegu wsiadał do samochodu i jechał do pracy.

Bardzo się cieszyła, że znalazł się dawca. Od razu pomyślała, że cuda się jednak zdarzają i Artur też się doczeka.

Przeszukała szufladę komody, znalazła świecę i zapaliła ją. Wpatrując się w migający płomień, modliła się skupiona, całym sercem, z uczuciem wielkiej pokory. Jej rozmowy z Bogiem od powrotu z Polski stały się coraz częstsze. Były przepelnione wielką wdzięcznością, dawały jej bowiem poczucie wewnętrznego spokoju, którego tak bardzo potrzebowała. Dziękowała za każdy kolejny dzień życia swojego syna.

Często wieczorami myślała o Wiktorze. Był wyjątkowym mężczyzną, ale dlaczego? Wiadomo: przystojny, kulturalny, pracowity, inteligentny. Tyle zauważyłaby każda kobieta. Ale przecież nie on jeden, zresztą знаła przystojniejszych.

Dla niej był wyjątkowy, ponieważ sama czuła się przy nim wyjątkowa. Jakoś tak na nią patrzył, tak z nią rozmawiał, że wydawała się sobie piękna, inteligentna i taka... szlachetna? Podkreślał, że jest bardzo dzielna, zaradna, że świetnie sobie radzi z rzeczywistością, która nie była dla niej łatwa. On ją po prostu podziwiał. Bardzo, bardzo potrzebowała takiego dowartościowania.

Z tych rozmyślań wyrwał ją dzwonek telefonu. Zastygła przerażona, wstrzymała oddech. Trudno jej było nie reagować lękiem na dźwięk telefonu czy moment otwierania się poczty w laptopie. Dramatyczna wiadomość mogła ją dopaść w każdej chwili. Bardzo tęskniła za synem, oddałaby wszystko, by mieć go przy sobie, ale wiedziała, że ta rozłąka i związane z nią cierpienie to rodzaj daniny.

W końcu westchnęła głęboko i odebrała.

– Dzień dobry, Aldonko, chciałam ci powiedzieć, że Wiktor jest już przygotowywany do operacji.
– Głos Haliny drżał, chyba walczyła, by się nie rozplakać.

– Dziękuję za wiadomość. A jak on się czuje?

– Wyobraź sobie, że dobrze, cały czas był uśmiechnięty i szczęśliwy. Biedny, tak się ostatnio męczył na tych dializach. Jeśli wszystko się uda, będzie mógł wrócić do pracy, żyć aktywnie, a to jest dla niego najważniejsze.

– Uda się, uda, proszę być dobrej myśli. Ja już zapaliłam świeczkę i modłę się za niego.

– Dziękuję, kochana, dobrze zrobiłaś. Wiktor twierdzi, że Boga nie ma, to teraz takie powszechne wśród młodych. Ja jednak uważam, że trzeba w coś wierzyć. Nie potrafiłabym funkcjonować bez przekonania, że istnieje siła, która czuwa nad nami, chroni nas, pomaga. Inaczej nasze życie nie miałoby sensu.

– Myślę podobnie – zgodziła się Aldona. – A jak pani się czuje? Jest tam ktoś z panią?

– Tak, dziękuję, przyjechał z nami Kazimierz, najlepszy przyjaciel Wiktora, on się wszystkim zajął. To cudowny człowiek.

– Tak, wspaniały. Zdążyłam go poznać. Jestem teraz spokojniejsza i o panią, i o Wiktora. Czy Artur przyjechał do Krakowa?

– Nie. Wiktor z Hubertem uznali, że nie ma takiej potrzeby, nie chcą go narażać na podróż i stres. Jest na bieżąco informowany.

– Myślę, że to bardzo rozsądne. Wyobrażam sobie, co on biedny teraz przeżywa.

– Musimy się modlić, Aldonko, by operacja Wiktora się udała. To bardzo podniesie Artura na duchu. Da mu nadzieję.

– Ma pani rację. Świadomość, że ojcu się udało, że będzie odtąd żył normalnie, bardzo mu pomoże. Czy mogę liczyć na wiadomości o Wiktorze?

– Oczywiście, kochana, będziemy w stałym kontakcie. Jesteś członkiem naszej rodziny.

– Bardzo pani dziękuję. To wiele dla mnie znaczy. Proszę dzwonić o każdej porze. I proszę zadbać też o siebie.

– O mnie się nie martw, bardzo tu się o mnie troszczą. Odezwę się po operacji. Tak się cieszę, że znalazł się dawca! Do usłyszenia.

– Do usłyszenia.

Aldona wiedziała, że Halina już niedługo będzie bardzo szczęśliwa, doskonale ją rozumiała. Ona też byłaby najszczęśliwszą matką na świecie, gdyby znalazł się dawca dla Artura.

Rozdział XXVIII

Górny Śląsk

Górny Śląsk to dziwne miejsce. Jedno miasto przechodzi w drugie, bez widocznych granic. Zabrze zamienia się w Bytom, Bytom w Chorzów, Chorzów w Katowice. Sieć tramwajów i autobusów łączy je z Rudą Śląską, Świętochłowicami czy Siemianowicami i tak dalej. Właściwie jest to jedna gigantyczna aglomeracja miejska, dodatkowo oplątana pajęczyną torów kolejowych.

Ktoś obcy, tak jak Artur, był bez przerwy zaskakiwany kontrastami. Dwa przystanki autobusowe i z nieużytków, starych kamienic, ruder przenosił się do nowoczesnego centrum, szklanych wieżowców, supermarketów, by za kolejne kilka przystanków znaleźć się na terenie byłych kopalń czy hut, zdewastowanych, zarastających dziką roślinnością. Gdy już zaczął się przyzwyczajać to tych księżycowych krajobrazów, wjeżdżał w samo centrum tętniącego miasta i podziwiał piękne, odrestaurowane kamienice, parki, skwery. Na każdym kroku było widać, że w tym rejonie kraju dokonywały się gwałtowne przeobrażenia. Od Huberta wiedział, że motorem tych wszystkich zmian są fundusze unijne, które płyną do Polski szerokim strumieniem.

Hubert zapoznał go również z historią tych miast, wielowiekową i bardzo ciekawą. Odwiedzili Muzeum Śląskie, olbrzymią, nowoczesną Bibliotekę Śląską, Uniwersytet Śląski. Byli razem w Operze Bytomskiej i Filharmonii Katowickiej. Tylu obiektów kulturalnych, sportowych, rekreacyjnych na tak w końcu niewielkim terenie się nie spodziewał. W niczym to nie przypominało Teneryfy.

Poruszanie się po aglomeracji okazało się bardzo proste – wystarczyły rozkłady jazdy autobusów i tramwajów. Podróże nie wymagały od niego nawet zbyt dużego wysiłku fizycznego, wszędzie można było dojechać, a ile razy był świadkiem zabawnych scenek rodzajowych! W ten sposób najszybciej poznawał Polaków.

Do południa podróżowali głównie ludzie starzy, mówiący gwarą śląską, niezrozumiałą dla niego, po południu przeważała młodzież, która posługiwała się swoim slangiem, no i wulgaryzmami. Z językiem polskim, jakiego używała mama, miał kontakt głównie w domu Huberta, w mediach, instytucjach, szpitalach.

Na początku zaskakiwało go także to, że gdy tylko opuszczał autobus czy tramwaj, różni ludzie pychali mu do ręki kolorowe karteczki. Brał je i czytał, ale szybko się okazało, że to tylko reklamy namawiające do kupowania różnych produktów albo do zaciągania kredytów-chwilówek, wszystko oczywiście w atrakcyjnych cenach i na dogodnych warunkach. Szybko zaczął zdecydowanie odma-

wiać ich przyjmowania.

Hubert tłumaczył mu, że to po prostu taka praca, ale sam również był jej przeciwny. Zabieranie tych kartek i wrzucanie do najbliższego kosza na śmieci uważał za największy absurd, jaki rozplenił się po Polsce. Ile to papieru, a co za tym idzie, ile lasów ginie bezsensownie? Ile mądrych książek można by było wydrukować?

– To przyszło do nas po otwarciu granic, z krajów zachodnich. Wcześniej mieliśmy problem z papierem, nawet toaletowym. – Hubert się roześmiał.

– Na Teneryfie tego nie ma. Każdy hotel czy restauracja ma swoje foldery, ale nie wpycha się ich wszystkim przechodniom. Biorą je zainteresowani.

– My też do tego dorosniemy, ten rodzaj reklamy przestaje się opłacać, ludzie nawet nie czytają tych kartek, tylko od razu wyrzucają.

– To po co to robią? – zdziwił się Artur.

– Nie wiem, pewnie myślą, że w ten sposób pomagają tym rozdającym, by mogli zarobić trochę grosza. Ja po prostu odmawiam i tyle, na resztę nie mam wpływu.

* * *

Artur pomimo upływającego czasu wszędzie czuł się obco. Niedawno powiedział mamie, że nie chce być pochowany w Polsce, wymógł na niej, by go skremowała, a prochy zawiozła na Teneryfę. Obiecała mu to. Chwilę później się rozplakała, przerażona chciała natychmiast przylecieć do Polski. Nie wierzyła, że jego stan wcale się nie pogorszył, że mówił tak na wszelki wypadek. W końcu musiał zawołać Huberta, by ten potwierdził, że nic złego się nie dzieje. Postanowił, że nigdy już nie wróci do tego tematu.

Nienawidził kraju, w którym przyszło mu teraz żyć. Tej wilgoci, chłodu i zimnego wiatru, który potęgował nieprzyjemne wrażenie. Mijał miesiąc za miesiącem i nic się nie zmieniło. Jeździł z Wiktorem na badania do kliniki. Domyślał się, że jest bardzo źle, a jego szanse dramatycznie malały.

Tak bardzo nie chciał tu być. Marzył o tym, by polecieć na Teneryfę, gdzie się urodził i wychował, tyle że nie miał po co tam wracać.

Za to tutaj rosło w nim to głupie uczucie, że jest niepotrzebnym nikomu balastem, że budzi u wszystkich tylko niesmak. No, może z wyjątkiem Wiktora i Huberta, którzy chyba go szczerze polubili. A na pewno podobały im się wspólne gorące dyskusje na różne tematy.

Zauważył, że ludzie starsi byli o wiele ciekawszy niż jego rówieśnicy, mieli w swoich mózgach zgromadzoną niesamowitą wiedzę. Tyle przeżyli, byli naocznymi świadkami faktów, które dla niego stanowiły historię.

Naprawdę nie polubił tego kraju, który z racji genów był jego ojczyzną. Zapewne dlatego, że oka-

zał się zwyczajnie brzydki, taki czarno-szary, zimny i mokry, a w dodatku nierozzerwalnie związany z chorobą, walką z nią. I dlatego, że nie mógł go opuścić. Trzymała go tu nadzieja na nowe życie, na jakiegokolwiek życie.

Jego ukochana wyspa była zupełnie inna, taka piękna. Wąskie uliczki pnące się serpentynowo, czyściutkie, zadbane domki i luksusowe hotele w białych, beżowych i żółtych kolorach, z czerwonymi dachówkami, a wszystko to na tle czarnych skał wulkanicznych i błękitu oceanu. Dużo kwiatów, palm, plantacji bananów. Niczym nieskażone powietrze, bo na Teneryfie nie ma przemysłu, nie ogrzewa się też budynków, nie ma takiej potrzeby. Na całym południu brak wilgoci, ludzie nie chorują na stawy, płuca, nadciśnienie. To naprawdę raj na ziemi.

Nie przyznałby się nikomu, ale bardzo tęsknił też za matką. W jej oczach zawsze widział akceptację i miłość. Kojrzyła mu się z tym wszystkim, co kochał i znał: z ciepłem, słońcem, hiszpańskim jedzeniem.

Rozmawiali prawie codziennie, opowiadała mu o jego znajomych, o sąsiadach, o swojej pracy. Pamiętali tam o nim, byli ciekawi jego losu.

W każdy weekend miał nową dostawę zdjęć. Mógł na bieżąco podziwiać, jak zmieniała się przyroda w ich mieście. Po krótkiej wiośnie już rozpanoszyło się tam lato. Chciał czuć palące promienie słońca na skórze, wdychać zapach oceanu i kwitnących kwiatów. Chciał zrzucić z siebie te grube swetry i polary, a szczególnie skarpety i buciska. Na swojej wyspie chodził w klapkach, a najczęściej boso. Kto by pomyślał, że ubiór może wpływać na poczucie wolności, nieskrępowania? A jednak czuł się nim dodatkowo zniewolony.

Nie lubił opuszczać domu Huberta. W jego towarzystwie czuł się niezłe. Ojciec odwiedzał ich coraz rzadziej. Miał swoje powody. Czuł się świetnie po operacji, wrócił do intensywnej pracy. Miał sporo do nadrobienia, zachłystywał się odzyskanymi możliwościami działania. Część obowiązków zabierał do domu, pracował całymi wieczorami. Do Zabrza wpadał tylko w weekendy, na parę godzin.

Dni stawały się coraz cieplejsze. Hubert zachęcał Artura do spacerów, przekonywał, że dobra kondycja jest bardzo ważna, bo zmniejsza ryzyko powikłań po operacji.

– Wiesz, że podczas wysiłku fizycznego mózg jest o wiele bardziej aktywny niż wtedy, gdy siedzimy?

– Nie jestem przekonany, mam inne doświadczenia – upierał się Artur. – Siedząc spokojnie, mogę się intensywniej koncentrować, nic mnie nie rozprasza.

– Ale to ruch najbardziej pobudza umysł. Mózg odbiera aktywność fizyczną jako moment stresowy, rośnie tętno, więc uwalnia neuroprzekaźniki, między innymi białka zwane BDNF, dzięki którym wytwarza nowe neurony, a przez to lepiej się uczymy, szybciej przetwarzamy i zapamiętujemy informacje.

– W takim razie powinieneś codziennie biegać – zauważył złośliwie Artur. – Czułbyś się szczę-

śliwszy, ponieważ te same białka odpowiadają też za produkcję serotoniny i endorfiny, które korzystnie wpływają na samopoczucie i przeciwdziałają depresji. Byłbyś w stanie nieustającej euforii.

– Pewnie bym był. – Hubert popatrzył na niego kpiąco. – Tylko mi się nie chce, za stary jestem na euforię. Ja lubię narzekać i krytykować.

– Nieprawda, jesteś najpogodniejszym staruszkiem, jakiego znam – odparł ze śmiechem Artur.

– To docień to i wybierz się na spacer, bo potrzebujesz wzmocnienia organizmu – zakończył dyskusję Hubert.

On zdecydowanie nie dopuszczał do siebie myśli, że Artur miałby nie doczekać operacji, że coś mogłoby się nie udać. Wierzył w sprawiedliwość losu. Uważał zmarnowanie takiego potencjału intelektualnego za nielogiczne, całkowicie bezsensowne. Jego zdaniem każdy rodził się po coś – Artur po to, aby odkrywać nieodkryte.

Hubert był dużym wsparciem dla Artura. Chłopak bardzo potrzebował tych jego zapewnień, pozytywnej energii, wiary, ponieważ sam już nie potrafił jej sobie dać. Bronił się jednak przed nado piekuńczością.

W końcu, by uniknąć wymownych spojrzeń Huberta, znalazł sobie ustronne miejsce na hałdach. Siedział na kamieniu, a właściwie warstwie kartonów, które umieścił na porzuconej na hałdzie bryle betonu. Słuchał świergotu ptaków, obserwował, jak rozrasta się roślinność, przybywa kolorów, zapachów i kształtów. Wiosna wreszcie pokazała, co potrafi, nagle świat wkoło stał się barwny. Zakwitło wiele drzew i krzewów. A tak soczystej, zielonej trawy jeszcze nie widział, na Teneryfie była rzadkością.

Dobrze mu było na tej pustej łące, dzikiej, otoczonej chaszczami. Nie było tu luster ani ludzi, w których oczach by się odbijał, ich grymasów, lepiej lub gorzej maskowanych. Z jakiegoś powodu po prostu nie mogli się powstrzymać od patrzenia na niego i eksponowania paskudnego grymasu niechęci i obrzydzenia. Po co się gapili?! Wystarczyłoby odwrócić wzrok. Niczym ich nie zachęcał.

Kiedyś Pedro w chwili szczerości powiedział mu, że lubi na niego patrzeć, bo wtedy sam czuje się szczęśliwszy. Przystaje narzekać i rozczulać się nad sobą, bo nie wyobraża sobie, co by zrobił, gdyby był taki gruby jak on. Może więc dlatego musiał tak wyglądać? Żeby poprawiać innym samopoczucie?

Podczas ostatniego badania w klinice bardzo go pochwalono, bo sporo stracił na wadze, prawie czternaście kilogramów. Nie sądził, by ktokolwiek poza nim to zauważył. Nie odchudzał się, nie ćwiczył, nie biegał. To działo się samo z siebie. Pewnie jego organizm zużywał więcej energii na ogrzanie się, bo to w końcu nie Teneryfa.

Niestety, wraz z rosnącą z każdym dniem temperaturą otoczenia przybywało też ludzi na hałdach. Bezdomni rozkładali się tam wieczorem i znikali dopiero nad ranem, młodzież gromadziła się do południa, w czasie godzin lekcyjnych. Niektórzy byli notorycznymi wagarowiczami, pozostawiali po sobie stosy puszek, butelek po piwie i tanim winie.

Poznawał inny świat. Świat ludzi, którzy nie mieli żadnego planu na życie. Nic im się nie chciało, mieli gdzieś wszystko i wszystkich. Pletli coś o meczach, filmach porno i zwyczajnie plotkowali. Szybko poznał bogate słownictwo, to niecenzuralne. Dla nich liczyła się tylko kasa. I to, jak ją „skolować”. Wydawało im się, że gdyby mieli forszę, byłiby panami świata, dopiero zaczęliby żyć, mieli by wypasione fury i najlepsze laski, wszystkim by szczęki poopadały ze zdziwienia i zazdrości. Świat ich zdaniem był niesprawiedliwy, ponieważ pieniądze należały nie do tych, do których powinny. Natomiast ich zarabianie nie było *cool*, to droga dla frajerów. W sumie chcieliby tę forszę po prostu mieć, tylko tak jakoś bez ruszania rękami czy głową. Bo szkoła też była dla frajerów.

Słuchanie ich głędzenia było strasznie nudne, a po paru piwach robili się drażliwi, agresywni, często bili się między sobą. Każdy przechodzący człowiek był nagabywany, bez względu na wiek. Nikt nie miał ochoty się z nimi zetknąć. Na szczęście zachowywali się bardzo głośno, więc nietrudno było ich ominąć.

Artur teraz często zmieniał miejsce, ponieważ grupy te wyraźnie zawłaszczwały sobie konkretne kawałki hałdy i każdy spoza ich grona natychmiast stawał się intruzem, którego trzeba zaczepić, zaatakować, przegonić. Szybko stał się ulubionym obiektem ich agresji. Grubas w ich oczach musiał być tępym, niedorozwiniętym tłusciochem, niedojdą, odpadem ludzkim, którego każdy może kopnąć, przewrócić, wyśmiać. Ciotą wzbudzająca odrazę, wstręt, pogardę.

* * *

Artur obserwował tę dziewczynę od jakiegoś czasu. Miała w sobie coś z kota. Jej ruchy były płynne, miękkie, cudownie elastyczne. Pojawiała się nagle, prawie bezszelestnie, i biegła wzdłuż torowiska w jednakowym tempie, swobodnie, jakby bez wysiłku. Specjalnie wdrapywał się na stromą hałdę, co było dla niego wielkim wyczynem, by mieć rozległy widok na torowisko i móc jak najdłużej na nią patrzeć. Nie potrafił oderwać od niej wzroku.

Nie widział jej twarzy, nie wiedział, czy była ładna, ile miała lat. Podziwiał jej szczupłą sylwetkę, jakby unoszącą się nad ziemią. Była w tym jakaś magia, która go zachwycała. Po raz pierwszy spojrział z taką fascynacją na ludzkie ciało.

Teraz, gdy wyobrażał sobie siebie w innej rzeczywistości, nie zamieniał się w geparda, lecz wcielał się w gibkie, elastyczne ludzkie ciało, które z podniesioną głową i rozwianymi włosami rytmicznie, bez widocznego wysiłku przenosiło ciężar ciała raz na jedną, raz na drugą nogę, szczupłą i długą. Odczuwał przy tym radość, wiatr w płucach, niemal ekstazę.

Zazdrościł dziewczynie tej lekkości poruszania się. Biegała prawie codziennie, mniej więcej o tej samej porze dnia.

Poprosił Huberta, by pożyczył mu swoją wojskową lornetkę. Tłumaczył, że chce obserwować ptaki. Teraz mógł przyglądać się jej twarzy. Była ładną dziewczyną, chyba jego rówieśnicą. Wiatr roz-

wiewał jej grzywkę, miała ciemne brwi i długie rzęsy. Policzki zaróżowione, usta czerwone, często się uśmiechała. Teraz już był pewny, że bieg dawał jej dużo przyjemności. A nie wierzył Fabianowi, gdy ten mówił mu, że biega codziennie, bo to wielka frajda.

Dla niego każda próba rozpędzenia się kończyła się atakiem kaszlu, odruchami wymiotnymi, nieznosnym uciskiem w klatce piersiowej i bólem całego ciała. Czasami obserwował w telewizji zawody lekkoatletyczne. Na spoconych twarzach zawodników widział olbrzymi wysiłek, po osiągnięciu mety mieli kłopoty z uregulowaniem oddechu. Słyszał o kontuzjach, bólu kolan, nadwyrężonych ścięgnach, obolałych biodrach i piętach. Tym był dla niego sport: torturą dla ciała.

Teraz gotów był uwierzyć, że są jednak ludzie, którym bieganie sprawiało po prostu radość i nie robili tego dla medalu czy odchudzenia się. Chciałby kiedyś tego doświadczyć.

Wieczorem, gdy spojrzął na swoje odbicie w lustrze, grymas wykrzywił mu twarz. Co mu się zamarzyło? Zapomniał, że nie wszystko jest dla wszystkich. I tak jest dobrze, sprawiedliwie. Nie każdy może śpiewać, nie każdy malować czy pisać wiersze. On nie będzie biegał. I tyle na ten temat.

Matura

Klamka zapadła. Jeszcze raz przeleciała wzrokiem linijkę za linijką. Więcej z siebie nie wycisnie. Westchnęła, uśmiechnęła się do swoich myśli. Za chwilę odda pracę komisji i będzie po wszystkim. Nie było tak źle, znała odpowiedzi na te pytania. Jak zwykle strach wyolbrzymiał problemy. Matura niczym się właściwie nie różniła od testów, które wielokrotnie robili wcześniej.

Poczekala chwilę, nie chciała być pierwszą osobą, która odda pracę. Rozejrzała się wkoło, Stenia już składała kartki, Grażyna, starając się nie robić hałasu, odstawiała krzesło i podeszła do stołu komisyjnego.

Gdy wyszła na schody, słońce ją oślepiło. Przed szkołą stało wielu rodziców. Nie bardzo wiedziała, co ze sobą zrobić. Babcia z panią Czesią czekały na nią w domu, na pewno się modliły i mocno trzymały kciuki. Nagle ktoś objął od tyłu ją. Odskokzyła i zobaczyła roześmianą twarz Jarka.

– Hej, idziemy oblewać koniec koszmaru?

– Jasne! – odparła spontanicznie.

– No to w drogę, Stenia już zajęła stolik U Michała.

Zanim dotarli do kawiarni, dogoniła ich Basia, a chwilę później Tomek. Wyglądali bardzo poważnie: chłopcy w garniturach, dziewczyny w czarnych spódniczkach i białych bluzkach. Ludzie, mijając ich, uśmiechali się ze zrozumieniem, dla wszystkich było jasne, że są maturzystami.

Całą kawiarnię wypełniał gwar młodych głosów. Emocje jeszcze nie opadły, komentowano poszczególne zadania, rozbrzmiewały okrzyki: „Jasne, że B!”, „Kurczę, ja skreśliłam C, jesteś pewny, że B?”, „Sprawdzisz po południu w Internecie”. Kelnerka roznosiła zamówione pucharki z lodami, bitą śmietaną i owocami. Stenia kiwała na Jarka, pokazując, że ma trzy miejsca.

Jarek popchnął Ewę w tamtą stronę, a gdy jakoś dotarli do stolika, zawołał:

– Co komu zamówić? Ja stawiam, staruszek sypnął forszą na tę okazję.

– Ja chcę sernik i kawę, nie jadłam śniadania – zgłosiła Stenia.

– A ja lody, taki pucharek jak mają tamci. – Wskazała palcem Basia.

– Mnie się chce strasznie pić, dużą colę z lodem – poprosił Tomek.

Jarek posadził Ewę na ostatnim wolnym krześle, przytrzymując ją za ramiona, bo chciała zaprotestować.

– Nigdzie się stąd nie ruszaj, musimy porozmawiać. Co ci zamówić? – zapytał.

Wzruszyła ramionami. Już żałowała, że się zgodziła na to spotkanie.

– Dobra, dostaniesz lody – zdecydował za nią i poszedł.

– Tomek, zorganizuj dodatkowe krzesło dla Jarka – zarządziła Stenia. – Zobacz, tam pod oknem chyba zwalniają stół.

Po godzinie kawiarnia zaczęła pustoszeć. Coraz częściej dzwoniły komórki, wzywając maruderów na łono oczekującej rodziny. Ewa chciała wstać, ale Jarek przytrzymał ją za rękę.

– Zostań, proszę. Musimy porozmawiać.

– Ale babcia na mnie czeka.

– To nie potrwa długo, zostań.

Stenia ociągała się trochę z wyjściem, ale nie została poproszona do rozmowy, więc w końcu i ona ich opuściła.

– No, wreszcie jesteśmy sami – odetchnął Jarek. – Mam delikatną misję do spełnienia i nie wiem, jak zacząć.

– Najlepiej od początku. – Uśmiechnęła się.

– Może to i dobry pomysł. Pamiętasz spartakiadę? Pokazywałem ci wtedy takiego Roberta.

– Coś ty, to było rok temu! – Roześmiała się. – Ale zaraz, mówisz o tym wysokim, co też biega i skacze?

– Właśnie o nim.

– Przyznam, że nie za bardzo kojarzę. Pamiętam tylko, że był bardzo wysoki.

– Widzisz, a on zapamiętał cię doskonale. Krótko mówiąc, wpadłaś mu wtedy w oko i nie może o tobie zapomnieć.

– Żartujesz?

– Chciałbym. Zwodziłem go przez długi czas, tłumaczyłem, że przygotowujesz się do matury, że nie chcę ci teraz głowy zawracać, ale znalazł na mnie haka. Pomógł mi się dostać na międzynarodowy obóz sportowy we Francji. Obiecałem, że z tobą porozmawiam i zapytam, czy zgodzisz się, bym mu podał twój numer telefonu.

– Oszalałeś?

– Słuchaj, Ewka, nie namawiam cię, to twoja sprawa. Mogę tylko powiedzieć, że ten facet jest w porządku. W swoim liceum jest orłem. To olimpijczyk z matematyki i właściwie już student informatyki na Politechnice Śląskiej. No a jak biega i skacze, to sama widziałas.

– Widziałam. I ten wianuszek fanek też zauważyłam – odparła ze śmiechem.

– Ale sęk w tym, że on chce ciebie. Ewka, co ci szkodzi? Spotkacie się, porozmawiacie i sama zdecydujesz, czy będzie jakieś dalej.

– Nie, chyba nie mam ochoty.

– Ewa, za chwilę wakacje, będzie luz. Daj się namówić, gwarantuję, że fajny gość z niego. Nie myśl, że chcę cię w coś wkręcić. Możesz być spokojna, jestem z tobą szczerą, zresztą zawsze byłem.

Wiesz, że cię lubię i szanuję. Obiecałem mu tylko, że zapytam. To co, mogę mu dać ten numer?

– Ale naciskasz! Daj pomyśleć. – Uśmiechnęła się. Do czego to doszło, Jarek załatwia jej faceta? Los jednak potrafi być złośliwy. – No dobrze – zdecydowała się. – Tylko uprzedź go, by sobie za wiele nie obiecywał.

– Albo to raz mu mówiłem, że łatwo nie będzie, że z ciebie twarda sztuka? – Roześmiał się. – Wi- dać on też jest twardy.

– No, zobaczymy. – Wstała. – Muszę już iść, babcia mnie zabije, czeka na mnie z obiadem i się denerwuje.

– Jasne, spadamy. Cieszę się, że się zgodziłaś.

* * *

– Słucham. – Ewa odebrała telefon z nieznanego jej numeru.

– Cześć. Robert z tej strony. Jarek dał mi na ciebie namiary. Dziękuję, że się zgodziłaś. To dla mnie bardzo ważne.

– Cześć. Zgodziłam się, bo bardzo o to prosił.

– No właśnie, prosił w moim imieniu. Chciałbym z tobą porozmawiać, możemy się spotkać?

– A o czym? Jestem bardzo zajęta.

– Widzę, mogę ci pomóc taszczyć te siatki, wyglądają na ciężkie.

Ewa rozejrzała się wokoło. Przekładała właśnie zakupy z wózka do toreb, babcia zamówiła sobie całą listę rzeczy. Z lewej strony podchodził do niej wysoki chłopak z komórką w dłoni. Uśmiechał się jakoś tak radośnie, wyraźnie zadowolony ze spotkania.

Teraz przypomniła go sobie ze spartakiady, mijali się przy wchodzeniu na podium.

– Przydam się? – Wskazał na torby.

– Nawet bardzo – odrzekła z uśmiechem. Podobał jej się. Musiała trochę unosić głowę, by spoj- rzeć mu w błękitne oczy. Przypominał jej Stasia. Był jasnym blondynem, miał ładne zęby i szczery uśmiech. Czowała się przy nim bardzo swobodnie, jakby się znali od dawna.

– Robisz zakupy dla całej rodziny, sporo tego.

– Nie, to dla babci, robi takie raz w miesiącu. To głównie chemia, płyny, proszki. Żywność kupuje jej opiekunka.

Robert zdecydowanym ruchem odebrał jej reklamówki.

– Dobra z ciebie wnuczka.

– A ty jesteś dobrym wnukiem?

– Rzadko się widzujemy, babcia mieszka daleko, na wsi. Gdy byłem młodszy, lubiłem spędzać u niej wakacje.

– A teraz?

– W tym roku jadę do Francji na obóz sportowy. A wcześniej będę pracował jako parkingowy. – Roześmiał się.

– Super. Też myślałam o jakiejś pracy. Coś tam ojciec kombinuje, ale na razie jeszcze się nie udało. O, moja babcia mieszka w tamtym ostatnim familoku. – Zatrzymała się. – Nie chcę, by te wszystkie wścibskie sąsiadki nas zobaczyły.

– Rozumiem. – Też się zatrzymał. – Wiem, że biegasz, mogę się dołączyć?

Zaskoczył ją tym pytaniem. Nie wiedziała, czy chce z nim biegać. Zawsze robiła to w pojedynkę. W jej odczuciu było to coś bardzo osobistego. A ostatnio biegała również w określonym celu.

– Nie, lubię biegać sama – odparła zdecydowanie.

Teraz on wyglądał na zaskoczonego. Milczeli przez chwilę.

– Masz pewnie swoje trasy, tak? To może pobiegamy po moich, w parku miejskim, wcześniej rano. Co ty na to?

Nie chciała mu robić przykrości, był fajny.

– Dobrze, spróbujmy – zgodziła się.

Uśmiechnął się zadowolony.

– Jutro o siódmej? Nie za wcześnie? To sobota, może wolisz pospać?

– Może być. Gdzie się spotkamy?

– Mieszkam na Chrzanowskiego. Może w tej alejce od strony przystanku tramwajowego?

– Dobrze. To do jutra. Dziękuję za pomoc. – Wyciągnęła ręce po torby.

– Przyjdź, proszę. – Popatrzył jej w oczy. – Bardzo mi zależy.

– Postaram się. – Uśmiechnęła się.

Osiemnaste urodziny

Zbliżał się czerwiec, Artur oczekiwał przylotu mamy. Wpadnie na kilka dni, by świętować z nim jego osiemnaste urodziny. To ważny dzień, ponieważ zgodnie z prawem stanie się osobą dorosłą. Bardzo się cieszył, że dożyje tego dnia. Wreszcie będzie mógł sam o sobie decydować. Miał kilka spraw bardzo pilnych. Przede wszystkim chciał podpisać oświadczenie woli na pobranie swoich zdrowych organów w razie śmierci. Uznał, że to jedyne słuszne i uczciwe działanie. Jeżeli on ma skorzystać z czyjegoś organu, to gdyby jemu się nie udało doczekać, może uratuje życie komuś innemu.

Nie znał procedury. Na razie wiedział tylko, że by podpisać oświadczenie, musi być pełnoletni, i że powinien nosić je stale przy sobie.

Kiedyś, parę lat temu, rozmawiał na ten temat z mamą. Na początku była przerażona i nie chciała o niczym słyszeć, ale z czasem przemyślała sprawę i się zgodziła. Sama chodziła z takim dokumentem w portfelu od momentu, gdy wpisano go na listę oczekujących na serce.

Będzie mógł założyć własne konto bankowe i spisać testament. Będzie niezależny.

Miał nadzieję, że mama również odczuje ulgę. Robiła wszystko, by przez tyle lat utrzymać go przy życiu, dokonała cudu. Teraz przestanie być dzieckiem wymagającym jej opieki. Zwolni ją z odpowiedzialności za to, co on zrobi czy powie. Jego los będzie wyłącznie w jego rękach, sam będzie ponosił odpowiedzialność za swoje wybory, bez taryfy ulgowej.

„Tak, będę mógł nawet legalnie przeglądać strony pornograficzne i iść do burdelu, by pofiglować z panienkami, i kupować alkohol” – zakpił z siebie. Tak naprawdę wolałby oddychać swobodnie, pojeździć na rowerze, pobiegać. Wczoraj nie udało mu się wejść na hałdę, musiał się zadowolić siedzeniem w ogródku. Nogi stawiały coraz większy opór, przesuwiał je jak dziewięćdziesięcioletni staruszek. Jego serce było już bardzo zmęczone.

Często budził się w nocy i siadał na balkonie, by obserwować niebo. Korzystał ze swojej starej lunety, którą dostał od mamy na piętnaste urodziny. Musi pomyśleć o porządniejszym przyrządzie, chociaż wiedział już, że astronomia nie będzie jego zawodową pasją. Mimo że kosmos głęboko go fascynował.

Hubert od jakiegoś czasu męczył go pytaniami o prezent urodzinowy, w końcu, by się pozbyć problemu, poprosił o noktowizor.

– To droga zabawka, niech to będzie wspólny prezent od wszystkich – zaproponował nieśmiało.

– Nigdy bym na to nie wpadł. – Hubert się roześmiał.

– Cierpię ostatnio na bezsenność, często siedzę na balkonie i słyszę, że coś się wkoło dzieje.

Chciałbym sprawdzić, kto się tu kręci po nocy i co robi. To tak jakbym miał czapkę niewidkę, będę widział, sam nie będąc widzianym, fajne, nie?

– Myślałem, że obserwujesz gwiazdy.

– Tak, to też, tylko przydałaby się lepsza luneta – westchnął Artur.

– To może większą lunetę? – zaproponował Hubert.

– Nie. To jeszcze droższy prezent. Astronomem już nie zostanę, to moja pasja sprzed kilku lat.

Kosmos nie przestaje mnie zachwycać, ale życie na ziemi bardziej.

– Dobra. Twój wybór. Ale się Wiktor ucieszy, od dawna męczymy się nad kwestią prezentu dla ciebie, to w końcu ważna data – osiemnastka! Już widzę, jakie zrobi oczy, gdy mu powiem, co wybrałeś. Tego byśmy nie wymyślili.

* * *

To było huczne przyjęcie. Hubert zamówił wspaniały tort z osiemnastoma świeczkami, mama przygotowała sałatki z owocami morza, pani Gabrysia ugotowała polski bigos. Razem udekorowały pokój balonikami, serpentynami, kwiatami. Wiktor zadbał o trunki, był francuski szampan. Odśpiewano polskie *Sto lat*, Hubert robił pamiątkowe fotki.

Atrakcją wieczoru okazał się jednak film, który przywiozła mama. Nakręcił go specjalnie dla Artura Pedro. Chłopak ze wzruszeniem obejrzał swój pokój, dom, podwórko, sąsiadów, a później ulicę, sławne strome klify Les Gigantes, lazuruwe niebo i ocean. Wysłuchał hiszpańskich życzeń wszystkich zaprzyjaźnionych z nimi osób. Życzyli mu powrotu do zdrowia i powrotu na wyspę. To były piękne życzenia. Tak bardzo chciał, by się spełniły.

– Piękna ta wasza wyspa – westchnęła babcia. – Ten błękit nieba i oceanu, palmy. Za czasów mojej młodości tak wyobrażaliśmy sobie raj na ziemi. Taki świat był dostępny tylko dla ludzi bardzo bogatych, wybranych.

– Do dzisiaj niektórzy nazywają tak Teneryfę – potwierdziła Aldona. – Teraz odwiedza nas wielu Polaków. Ale to Polska się zmieniła, otworzyła granice, a ludziom żyje się lepiej. My oczywiście serdecznie was zapraszamy, chętnie pokażemy to, co u nas najpiękniejsze, prawda, Arturku?

– To miłe z twojej strony, ale dla mnie jest już za późno na takie egzotyczne wojaże – powiedziała babcia z westchnieniem.

– A ja chętnie skorzystam z zaproszenia, jak tylko Artur wyzdrowieje, wcale nie czuję się za stary.

– Hubert się roześmiał. – Ten chłopak nieustannie zmusza moje szare komórki do działania. Całe szczęście, że los mi go tu zesłał.

– Mam dla ciebie jeszcze jeden prezent – przypomniała sobie babcia. – Nie wiem, czy ci się spodoba, bo teraz chłopcy lubią całkiem inne zabawki. – Wskazała duże pudełko z noktowizorem. – Ta rzecz jest w naszej rodzinie od prawie stu lat. Gdyby mogła mówić, opowiedziałaby ci niejedną fascynującą historię – mówiąc to, wyjęła z torebki metalowy przedmiot. – To scyzoryk twojego dziadka. Przeszedł z armią Andersa pół świata.

Artur z szacunkiem oglądał duży, oprawiony w czarną masę perłową, wielozadaniowy nóż. Miał dwa ostrza, duże i małe, śrubokręt, korkociąg, przecinak do drutu, otwieracz do butelek, pilnik do paznokci i otwieracz do puszek.

– Jest piękny. Dziękuję.

– To nóż oficerski, szwajcarskiej produkcji. Wiele razy ratował swojego właściciela z opresji – dodał Wiktor. – Ojciec mi trochę opowiadał. Ale czasy były wtedy takie, że nie o wszystkim mówiło się głośno.

– Nie wiem, czy mogę go przyjąć. – Artur się zawahał. – To pamiątka rodzinna. Właściwie tobie się należy – zwrócił się do ojca.

– Nie, nie – zaprotestował Wiktor. – Mnie się już do niczego nie przyda, a ty jesteś moim jedynym synem. Jest twój. – Powiedziawszy to, podszedł do matki i pocałował ją w policzek. – Dziękuję ci, mammo, że o tym pomyślałaś.

Artur też wstał i skierował się w stronę babci. Objął ją i przytulił. Był naprawdę wzruszony. Ścisnąc w dłoni scyzoryk, poczuł się wreszcie członkiem tej rodziny.

Halina z przykrością przypomniała sobie, że długo się zastanawiała, czy pamiątkę po swoim mężu przekazać właśnie Arturowi. W końcu uznała, że jest jedyną osobą do tego uprawnioną. Wiktor dawno przestał być chłopcem; żałowała, że nie dała mu scyzoryka, gdy jeździł na obozy harcerskie. Ale wtedy ta pamiątka wydawała jej się świętością.

Nie wiedziała, czy wnuk wychowany na egzotycznej wyspie pojmie znaczenie przedmiotu, który towarzyszył jej mężowi przez całą wojnę. Może dla niego będzie to tylko scyzoryk do otwierania puszek?

Teraz pozbyła się wszelkich obaw, przekonała się, że Artur doskonale wiedział, co trzyma w dłoni, i potrafił to docenić.

Robert

Ciężkie, ciemne chmury nie wróżyły nic dobrego. Rozglądał się z niepokojem, chociaż wiedział, że przyszedł przed czasem. Niewiele spał tej nocy. Marzył o chwili, gdy będą biegli obok siebie jednym rytmem, pokonując kilometr za kilometrem, a jej obecność sprawi, że stanie się najszcześniejszym człowiekiem na świecie.

Gdy zobaczył ją wtedy na bieżni, jak lekko pokonuje rywalki, taka szczupła, zwinna, nie mógł oderwać od niej oczu. Była po prostu piękna, miała w sobie jakąś magię, coś zwierzęcego, naturalnego, jak antylopa, jak pantera. Czuł, że ona też kocha bieganie, była po prostu do tego stworzona.

Rozumiał to doskonale, sam nie wyobrażał sobie dnia bez możliwości tego rozpędzenia się, rozrywania ściany powietrza, przenikania jakby w inny wymiar.

Zakochał się w tej dziewczynie, tak prawdziwie. Zasypiał z myślą o niej. Nosił przy sobie jej zdjęcie wycięte z gazety.

To było wspaniałe uczucie, które dodawało energii, sprawiało, że chciało się żyć i działać. Każdy poranek bez względu na pogodę był radosny, bo przecież mógł ją spotkać. To oczekiwanie było wspaniałe.

Nie chciał niczego zepsuć, nie spieszył się, wierzył, że ich drogi życiowe w końcu się przetną, że są sobie przeznaczeni, bo łączy ich coś ważnego: wspólna pasja. Po raz pierwszy w życiu czuł się onieśmielony, niepewny. Wcześniej nie miał z dziewczynami żadnych problemów, szczerze mówiąc, to one najczęściej o niego zabiegały. Tym razem było inaczej. Liczył na szczęśliwy przypadek, ale żaden się nie wydarzył. Miesiąc za miesiącem mijał bardzo szybko i pracowicie. Dużo się uczył, pomagał w domu, bo mama często chorowała, no i trenował.

W końcu zrozumiał, że jeśli nie weźmie spraw w swoje ręce, jego marzenie nigdy się nie spełni. Zaczął działać. No i się doczekał. Za chwilę się zobaczą i po raz pierwszy rozpoczną wspólne bieganie. Ramię w ramię przez park.

Ewa wyłoniła się zza zakrętu wraz z pierwszymi kroplami deszczu. Naciągnęła kaptur dresu na głowę, nie przerywając spokojnego biegu.

– Tutaj, deszczowa dziewczyno! – zawołał radośnie, machając ręką.

Zboczyła w jego stronę, zbliżała się, nie zmieniając tempa. Uśmiechnęła się do niego.

Ruszył w jej kierunku, nie chciał, by musiała się zatrzymać. Po chwili biegli obok siebie zgodnym

rytmem. Deszcz się nasilał, ale właśnie wbiegli w parkową aleję, pod osłonę drzew.

Pierwszy kilometr pokonali w milczeniu, słowa nie były do niczego potrzebne. Ich ciała uczyły się współdziałania, sztuki łączenia oddechu, pracy mięśni i umysłu. Uśmiechali się do siebie, bawiło ich to wspólne bieganie, to była po prostu świetna zabawa, sama przyjemność. Obserwował ją, podziwiał, jak jej nogi w zwykłych tenisówkach poruszały się szybkim, miękkim truchtem. Wydawało mu się, że pracowała tylko dolna część jej ciała. Ledwo muskała stopami powierzchnię ziemi, biegła w doskonałej synchronizacji. Ze zdziwieniem zauważył, że jego profesjonalne buty do biegania kłapały o mokrą nawierzchnię tak ciężko, jakby ktoś wystukiwał rytm na bębnie.

Okrażali park miejski po raz kolejny, tak nieskrępowanej, zaraźliwej radości z biegania nie przeżywał jeszcze nigdy w życiu. Czuł w sobie wielki entuzjazm i życzliwość do całego świata.

Niestety deszcz nasilał się z każdą minutą, byli cali przemoczeni. Zdecydowali, że czas skończyć na dzisiaj. Zatrzymali się przed jej domem, stali naprzeciw siebie rozradowani. Widział, że przeżywała ten bieg podobnie, znikła jej nieufność, stali się sobie bliscy, jakby znali się od dawna.

– Powtórzmy to? – zapytał, odgarniając jej mokry kosmyk przyklejony do policzka.

– Jasne. – Uśmiechnęła się. – Tylko może gdzieś dalej, bo to krążenie w kółko po parku jest nudne.

– Coś wymyślę – obiecał. – Żeby tylko nie padało. Zadzwonię.

– Dobrze. Zmykaj do domu, bo się przeziębisz.

– Ty też, pod ciepły prysznic.

– Do jutra.

– Cześć!

Biegł z powrotem, wymijając kałuże. Od czasu do czasu podskakiwał radośnie i uderzał dłonią w zwisające gałęzie mijanych drzew, strząsając na siebie chłodne krople.

Motyl

Pewnego razu, gdy Artur obserwował biegnącą dziewczynę, ona nagle odwróciła się i zaczęła biec w jego stronę. Odległość między nimi zmniejszała się gwałtownie. Teraz już wiedział, że to nie przypadek: biegła do niego. Wstał i zrobił kilka kroków z zamiarem ucieczki, ale szybko zrozumiał, że to nie miało sensu. Chwilę później stanęła przed nim. Nie była nawet specjalnie zdyszana, chociaż pokonała niezłe wzniesienie.

– Cześć! Często cię tu widzę. Obserwujesz okolicę przez lornetkę – stwierdziła.

– Tak. Nie mam nic innego do roboty – odpowiedział zdenerwowany.

– Rozumiem, każdy robi to, co lubi. Ja biegam.

– Wiem.

– No właśnie. Biegam, bo lubię. Ale także dlatego, że szukam kogoś. Może mógłbyś mi pomóc?

– Nie wiem. A kogo szukasz?

– Pewnej kobiety. Zaginęła nasza sąsiadka. Wszyscy jej szukamy, policja też. Ale jak na razie bez efektów. Podobno ktoś ją widział tu na hałdach, ale dowodu nie ma.

– Chodzą tutaj jakieś kobiety, głównie w towarzystwie facetów. A jak ona wygląda? – zapytał.

– Teraz to nie wiem. Już jakiś czas minął, ale kiedyś wyglądała tak. – Dziewczyna sięgnęła do kieszeni na pośladku i wyjęła fotografię owiniętą w woreczek foliowy.

Patrzył na sympatyczną twarz blondynki w średnim wieku. Uśmiechała się jakoś tak łagodnie. Wyglądała na porządną kobietę, matkę, żonę. Nie wyobrażał sobie, by mogła włączyć się z tymi typami koczującymi na hałdach. Poręcił przecząco głową.

– Nie sugeruj się tak bardzo tym zdjęciem. Teraz może być zaniedbana, mieć inną fryzurę, może przytyła albo schudła.

– Powiem szczerze. Oni zbierają się tu głównie po zmroku, przychodzą jakby na nocleg. A gdy jest ciemno, wszyscy są do siebie podobni. Zresztą rzadko tutaj jestem w nocy.

– No tak, rozumiem. Tak tylko pytam, bo wszystkich o to zagaduję. Nigdy nie wiadomo, co kto widział. A nuż zdarzy się cud – westchnęła.

– Wierzysz w cuda?

– Nie bardzo. – Roześmiała się. – Ale jak mówi moja babcia, trzeba mieć nadzieję.

– Ma rację. Moja mama mówi, że kto szuka, ten znajdzie.

– I tego się trzymam. Szukam i nie tracę nadziei.

– Ta sąsiadka musi być dla ciebie bardzo ważna.

– No wiesz, znam ją od urodzenia, przyjaźniła się z moją mamą. Spędziłyśmy tyle lat obok siebie, więc jesteśmy jak rodzina – tłumaczyła się zmieszana.

– Tak, masz rację, u nas jest podobnie.

– A ty skąd jesteś? – zapytała. – Pojawiłeś się w tej okolicy dopiero niedawno.

– Z bardzo daleka, z innego świata. – Uśmiechnął się. – Mieszkam tu chwilowo, u wujka.

– Aha. Ja też mieszkam kawałek drogi stąd, ale często tu biegam. Mam na imię Ewa – przedstawiła się.

– Artur. – Uścisnął podaną dłoń.

– Gdybyś zauważył jakieś kobiety...

– Dobrze, będę im się przyglądał, a może jak się uda, zrobię im zdjęcia.

– Świetnie, to będziemy w kontakcie. Pobiegam jeszcze, cześć.

– Poczekaj. Powiedz mi, dlaczego tak dużo biegasz? Trenujesz, jesteś zawodniczką?

– Nie, biegam po prostu po to, żeby przyjemnie spędzić czas – wyjaśniła z uśmiechem. – A czasami, by uciec od problemów – dokończyła i pobiegła.

Patrzył, jak szybko znika, taka zwinna, zgrabna. Nie mógł uwierzyć, że jeszcze chwilę temu trzymał jej dłoń w swojej.

* * *

Leżał na łóżku, dochodziło południe, a on nie miał motywacji, by wstać. Coś wyszło z niego całą energię. Zadzwoił telefon, to Wiktor.

– Cześć, Arturze, mam nadzieję, że cię nie obudziłem?

– Nie, skądże, ale częściowo masz rację, bo nie wstałem z łóżka.

– Źle się czujesz?

– Problem w tym, że nie wiem, jak się czuję. Jestem czy nie jestem? Mój mózg nie może się zdecydować.

– Znam ten stan, musisz mu dać coś do roboty, jakiś problem do rozwiązania.

– Jaki problem? Mój mózg jest w letargu, jak więc może wymyślić sobie problem, nad którym miałby pracować?

– Dobrze, pomogę mu. Niech znajdzie odpowiedź na pytanie: jak wyglądałby twój idealny dzień?

Artur roześmiał się serdecznie, Wiktor mu zawtórował. Chichotali przez jakiś czas.

– To wcale nie jest łatwe pytanie – stwierdził Wiktor. – Jestem ciekaw odpowiedzi.

– Ja też. – Artur znów się roześmiał. – A jak ty się czujesz?

– Dzwonię w tej sprawie. Czuję się świetnie, właśnie wróciłem ze spaceru, słońce świeci, dużo lu-

dzi na Plantach. Odebrałem wyniki badań z laboratorium. Są bardzo dobre, nerka pracuje pełną parą.

– Super. Bardzo się cieszę. A jak się czujesz, no wiesz, psychicznie?

– Artur, nie pojawiły się żadne problemy. Dużo o tym rozmawialiśmy, teraz mogę tylko potwierdzić, że nie ma żadnej pamięci komórek. Jest tylko moja ogromna wdzięczność dla dawcy. Nie wiem, kim on był. Ocalił mi życie.

– Może dlatego, że to nerka, a nie serce?

– Nie sądzę. Serce to taki sam organ, miałbym może wątpliwości, gdyby chodziło o mózg. – Zamilkł na chwilę. – Zostaw tę sprawę, to tylko takie gdybanie. Myśl pozytywnie. Teraz twoja kolej. Musi się udać.

– Musi, nie musi. Statystycznie rzecz ujmując...

– Artur – przerwał mu Wiktor. – My nie jesteśmy statystyczni, my jesteśmy wyjątkowi. Już wiem, jaki będzie ten twój idealny dzień. To dzień, w którym obudzisz się z nowym sercem i będziesz chciał... – zawahał się.

– Pobiegać – dopowiedział Artur.

Roześmieli się.

– Patrz, na to bym nie wpadł – przyznał Wiktor.

– Żartowałem.

– Nie, Artur. Wszystko jest możliwe, człowiek to najbardziej nieprzewidywalna istota.

– Dobra, a jakie masz plany? – Chłopak zmienił temat.

– Praca, praca, praca. Zamierzam maksymalnie wykorzystać każdy darowany mi dzień. Spotkamy się w sobotę, przyjadę do was na weekend.

– Cieszę się, pozdrów babcię.

– Dziękuję. Trzymaj się. Do zobaczenia.

Artur dalej leżał w łóżku, ale już w zupełnie innym nastroju. Cieszył się, że Wiktor tak dobrze się czuje po operacji. Wrócił do intensywnej pracy naukowej, to zupełnie odmieniło jego życie.

Nagle przypomniał sobie ten pomysł Wiktora z wyobrażeniem sobie idealnego dnia. Uśmiechnął się, zamknął oczy i pozwolił wyobraźni poszaleć. Co zobaczył? Siebie, wysportowanego, szczupłego, jak lekko biegnie wzdłuż plaży na Teneryfie. Bryza znad oceanu rozwiewa mu włosy. Obok niego biegnie Ewa, taka zgrabna, uśmiecha się do niego i jest szczęśliwa. Oboje są szczęśliwi.

* * *

– Zobacz, co przeczytałem na Onecie: „Naukowcy z Bostonu wyhodowali łapę szczura”. – Hubert wtargnął do jego pokoju mocno podekscytowany. – Co ty, jeszcze w łóżku? – Stał w drzwiach zaskoczony. – Źle się czujesz?

– Nie. Już wstaję. Dzwonił Wiktor, trochę pogadaliśmy. Kawy bym się napił.

– Dobra, też się napiję. Czekam w kuchni.

Gdy Artur zszedł na dół, zapach świeżo zaparzonej kawy wypełniał całą kuchnię. Hubert wskazał mu jego kubek i wrócił do rozpoczętej rozmowy.

– Pomyśl, chłopcze, w laboratorium z komórek dawcy wyhodowali tak skomplikowany narząd, całą kończynę. Przeszczepili ją szczurowi, jego układ krwionośny już zaczął ją odżywiać, a z czasem szczur będzie mógł nią poruszać.

Artur się uśmiechnął. Lubił Huberta i jego pasję śledzenia nowinek medycznych. Podrzucali sobie informacje o dokonaniach naukowców, dyskutowali, spierali się, żyli przyszłością.

– A ja czytałem, że wyhodowano już tchawicę i płuca – poinformował go Artur. – To robi wrażenie, ale nie sądzisz, że musi jeszcze upłynąć sporo czasu, zanim naukowcy wyhodują zastępcze kończyny dla ludzi?

– No, nie tak długo. Harald Ott szacuje, że będzie to możliwe za jakieś dziesięć lat.

– No właśnie, dziesięć lat – podkreślił Artur. – Dla mnie to wieczność, ja tego nie doczekam.

– Nie opowiadaj głupstw – uciął Hubert. – Jeszcze z twojej macierzystej komórki wyhodują ci nowe serce. Kto tak naprawdę wie, co oni wyprawiają w tych tajnych laboratoriach? – Uśmiechnął się.

– Oj, ty fantasto, chciałbyś tam zajrzeć, co? – Artur się roześmiał.

– A ty nie?

– Jasne, że tak, ale nie wszystkie marzenia się spełniają.

– Znowu zaczynasz marudzić? Popatrz na Wiktora. Już nie musi jeździć na dializy. Babcia Halina mówiła mi dzisiaj, że dużo pracuje, chodzi na długie spacery, dopisuje mu apetyt, a czuje się po prostu świetnie.

– Super! Bardzo się cieszę. On jeszcze dużo dobrego zrobi dla ludzi.

– No, a teraz kolej na ciebie. Dostaniesz zdrowe, młode serce i ruszysz do Doliny Krzemowej. – Poklepał go po plecach.

– Hubert, przestań, nie musisz mnie tak pocieszać. Doskonale wiemy, że serce to nie nerka. Znalazienie dawcy graniczy z cudem.

– Ale ja wierzę w takie cuda – upierał się Hubert.

– No dobra, wierz sobie. Ale nie uważasz, że dwa takie cuda w jednej rodzinie to wielka przesada? To się po prostu nie wydarzy.

– Gupoty godosz, karlusie! – zdenerwował się starszy pan nie na żarty. Zawsze używał wtedy gwary śląskiej.

Artur patrzył zauroczony, wstrzymał oddech, bał się mrugnąć, by nie stracić nic z tej chwili.

Wybrał się do parku na spacer. Upał był straszny, zbliżało się południe. Starsi ludzie i matki z dziećmi wrócili do domów. Miał dla siebie całą ławkę ukrytą w cieniu wielkiego kasztanowca. Słyszał szum fontanny i gruchanie gołębi. Małe stadko pluskało się w wodzie. Po drugiej stronie niewielkiego skweru siedział wysoki, szczupły chłopak, wyraźnie na kogoś czekał. I wtedy podbiegła ONA. Usiadła mu okrakiem na kolanach i oparła głowę na jego piersi. On ją objął i również nisko pochylił głowę. Coś tam mieli, coś podziwiali, szeptali jak mali spiskowcy. Byli w swoim hermetycznie zamkniętym świecie.

Chłonał tę scenę całym sobą. Tak wyobrażał sobie esencję intymnej bliskości. Nagle Ewa, nie spiesząc się, podniosła głowę, chłopak zrobił to samo. Ona uniosła wysoko złączone dłonie i wolno je rozchyliła. W górę poszybował cytrynowożółty motyl.

Artur zamarł zachwycony. Czy to nie jest przypadkiem scena z jakiegoś filmu, tak szczegółowo wyreżyserowana? Gdyby zobaczył taki obrazek na ekranie w kinie, uznałby, że to kicz, tanie roman-sidło. Tutaj, w parku, wzruszył się, uznał, że to jest po prostu piękne.

Nagle usłyszał jej radosny śmiech. Para, trzymając się za ręce, znikła mu z pola widzenia.

Piosenka

— Ewka, nie wiem, jak to logicznie wytłumaczyć, ale ostatnio dosłownie prześladowuje mnie jedna piosenka. Ile razy włączam radio w samochodzie, wchodzę do sklepu, ostatnio nawet na basenie, wszędzie ją słyszę.

– Jaka piosenka?

– „A ja będę twym aniołem” – zanucił.

– Znam ją, to *Kołysanka* zespołu Sumptuastic. Też ją lubię, ostatnio bardzo często ją nadają.

– A znasz jej słowa? – Uśmiechnął się, przygarniając ją do siebie.

– O tyle, o ile – drażniła się z nim.

– „Jak wytłumaczyć tobie mam, że jesteś wszystkim tym, co mam. Tym, co jest dobre i co złe, uwierz, tak bardzo kocham cię” – zaśpiewał.

– „A ja będę twym aniołem, twą radością, smutkiem, żalem, będę gwiazdą na twym niebie, będę zawsze obok ciebie” – kontynuowała Ewa.

– Ewka, kocham cię, kompletnie mi odbiło na twoim punkcie – szeptał jej prostu do ucha, wywołując falę dreszczy.

– Hej, zakochani, dajcie przejechać – usłyszeli głos Steni.

Rzeczywiście ich wózek tarasował przejście między regałami w Tesco.

– Cześć, Steniu, miło cię widzieć – przywitał się Robert.

– Zakupy na wyjazd?

– Nie, to dla mojej babci – wyjaśniła Ewa.

– Niedługo wyjeżdżacie do Francji. Jarek o niczym innym nie mówi. Ale wam zazdroszczę – westchnęła Stenia.

– Ja jeszcze nie zacząłem się pakować, już mnie tak nie cieszy ten wyjazd – powiedział Robert z uśmiechem.

– Łatwo się domyślić dlaczego. – Stenia uśmiechnęła się znacząco.

– Wielka szkoda, że nie możemy jechać wszyscy razem – żałował szczerze Robert.

– No niestety, życie byłoby zbyt piękne. Trzymajcie się, muszę już iść, bo Grażyna na mnie czeka.

- Jak ona to robi, że najlepsi faceci tracą dla niej głowę? – zastanawiała się Stenia. – Ani superładna, ani bogata. Taka szara mysz.
- No, zgrabna jest i szczuplutka, ale rzeczywiście nic wyjątkowego – potwierdziła Grażyna.
- Pospolita. Ale widać ma w sobie to coś, co bierze facetów. Ten Robert to po prostu zgłupiał na jej punkcie. A Jarek nie da o niej złego słowa powiedzieć.
- Tylko, Stenia, co to jest „to coś”? Chodzi głównie w dzinsach, koszulkach i tenisówkach. Trzyma się tych dwóch kolorów, ale to nudne, szczególnie latem, tylko czarny lub biały. Nie ma samochodu, nie jeździ za granicę na wakacje – wyliczała Grażyna.
- Nie mam pojęcia, ale chciałabym to mieć – westchnęła Stenia. – Chciałabym, by ktoś tak na mnie patrzył, śpiewał mi piosenki do ucha, nosił siatki z zakupami...
- A Jarek?
- Co Jarek? On nie ma pojęcia, czym jest miłość. – Wzruszyła ramionami.
- To wyślij go na przeszkolenie do Roberta – poradziła ze śmiechem Grażyna.
- Nie bądź złośliwa – oburzyła się Stenia. – Z twojego Ryśka też żaden Romeo.
- Mój Rysiek mi pasuje – zaprotestowała Grażyna. – A wiesz dlaczego? Bo jest mój, cały mój! – odgryzła się. – Mama zawsze powtarzała mi, że z ładnej miski się nie najem. Nie musi być wysokim przystojniakiem, ważne, żeby był uczciwy i mnie kochał. Mnie! Tylko mnie!

Zakochana Ewa

S trzepnęła z rozmachem mokre prześcieradło, powiesiła na sznurku nad wanną. Roześmiała się radośnie. Czerwona plama znikła. Tak, jest już kobietą, stało się to dzisiaj w nocy. Robert był cudowny. Czuły, delikatny, pieścił ją tak długo, że w końcu szepnęła mu zniecierpliwiona: „Już, już...”. Nie chciała czekać ani sekundy dłużej. Poszybowali wysoko, wysoko... ech... Zarumieniła się na to wspomnienie.

Rano obudził ją pocałunkami i pieszczotami. Przeciągała się błogo i ponownie dała się ponieść pożądaniu. Tym razem szybciej, gwałtowniej, mocniej. Doszli jednocześnie, jęcząc z rozkoszy. Zamglonymi oczami patrzyła na jego spoconą, szczęśliwą twarz. Odgarnął jej mokre włosy z policzka, całował delikatnie powieki, nos, usta, przytulił mocno i muskając jej ucho gorącym oddechem, powtarzał w natchnieniu: „Kocham cię, kocham, oszaleję z tej miłości”.

Nigdy, nigdy nie zapomni tej nocy. Powiesiła resztę prania i usiadła w fotelu. Nie wiedziała, co robić z nadmiarem szczęścia. Może śpiewać albo tańczyć? Nie potrafiła. Ale biegać? Tak, tak. Musi natychmiast popędzić w stronę słońca, wystawić na wiatr rozpalone, twardej piersi. Roześmiała się, lubiła ten swój głośny, radosny śmiech. Odkąd poznała Roberta, bardzo często się tak śmiała.

Nagle napłynęły wspomnienia. Parę lat temu też prała prześcieradło poplamione krwią, nie swoją, lecz Steni. Jakże inaczej się wtedy czuła, zdradzona, zlekceważona, ponizona. Myślała, że świat się zawalił, że życie nie ma sensu. Wydawało jej się, że kocha Jarka. Taka była wtedy nieszczęśliwa. Jak bardzo się myliła, nie miała pojęcia, czym jest miłość.

A Stenia? Płakała, uciekła od Jarka, na pewno nie była wtedy szczęśliwa. W obcym łóżku, z całym towarzystwem za ścianą...

Była wdzięczna losowi, że kazał jej poczekać, aż pojawi się w jej życiu Robert. Teraz nie miała wątpliwości: kocha i jest kochana. Wystarczyło popatrzeć na Roberta, w jego oczy, które na jej widok jaśniały. Gdy tylko stawał obok niej, ich ręce automatycznie się splatały, każdy powód, by się dotknąć, przytulić, był dobry, to było silniejsze od nich. Szybko przestała się przejmować tym, co pomyślą inni. Wyobrażała sobie te plotki, komentarze za jej plecami i... cieszyła się, niech mówią, niech ogłaszają całemu światu, że kocha Roberta, bo to prawda.

Szybko włożyła tenisówki. Nie wytrzyma dłużej w tym cichym, pustym domu. Potrzebuje otwar-

tej przestrzeni, wiatru, słońca, zieleni. Zamknęła drzwi i popędziła po schodach.

* * *

– Ewuniu, nie spiesz się tak, porozmawiaj ze mną – poprosiła babcia.

– Coś się stało? – Ewa usiadła na krześle przy stole.

– A stało się, stało. Tylko ciebie nigdy w domu nie ma, więc nic nie wiesz.

– Mówiłam ci, babciu, że chcę teraz jak najwięcej czasu spędzać z Robertem, bo za kilka dni wyjeżdża do Francji na obóz sportowy. Nie będzie go trzy tygodnie, wtedy będę miała dużo czasu dla ciebie.

– Mówiłaś i ja to rozumiem. Zakochałaś się wreszcie i świata poza nim nie widzisz. Najwyższy czas już był. – Uśmiechnęła się ciepło. – Już się bałam, że starą panną zostaniesz. A wiesz, że temu Robertowi dobrze z oczu patrzy? Porządny z niego chłopak, szanuje starszych. Dobry kandydat na męża.

– Babciu, za młodzi jesteśmy, dopiero od października zaczniemy studiować.

– Kochana, a co mają do tego studia? Ja w twoim wieku byłam już mężatką.

– Babciu, teraz są inne czasy, najpierw studia, praca, a później ślub i tak dalej.

– Ja to wszystko wiem, wnusiu, tylko widzisz, ja jestem coraz starsza, coraz słabsza, chciałabym wiedzieć, że masz kogoś, kto się tobą zaopiekuje. Chciałabym cię zobaczyć w białej sukni z welonem – westchnęła.

– Nic na to nie poradzę, babciu. Musisz się postarać i pożyć jeszcze wiele lat. – Ewa się roześmiała. – A co chciałaś mi powiedzieć? Coś się stało? – zapytała.

– No tak. Twój ojciec już dwa razy był u ciebie, ale cię nie zastał. Chciał ci to osobiście powiedzieć, zanim całe miasto zacznie plotkować. Ta jego Marlena jest w ciąży. – Babcia zamilkła i przyglądała się z uwagą wnuczce.

– Coś takiego? – Ewa była totalnie zszokowana. – Ojciec znowu będzie tatą?

– Ano będzie. A ty będziesz miała brata albo siostrę. Jeszcze nie wiadomo, bo to drugi miesiąc dopiero.

– Co za nowina! Nie ukrywam, że jestem zaskoczona, chociaż można się było tego spodziewać. Już ładnych kilka lat mieszkają razem.

Milczały przez dłuższą chwilę.

– Wiem, o czym myślisz, Ewuniu. – Babcia położyła swoją dłoń na jej ręce i lekko ścisnęła. – O swojej mamie, prawda? Co będzie, jak wróci? Jest mi bardzo ciężko o tym mówić, ale powoli godzę się z tym, że się ze swoją córką spotkam dopiero na tamtym świecie. Ten jasnowidz chyba się pomylił.

– Babciu, nie mów tak. Sama mnie przekonywałaś, że trzeba wierzyć do końca.

– Wiem, ale zaczynam wątpić, stara jestem, wybacz mi.

– Babciu, nie muszę ci niczego wybacząć, bo ty niczemu nie jesteś winna. A ojciec zasłużył na to, by być szczęśliwy. To mama go opuściła, a nie on ją. Zadzwonię do niego wieczorem i mu pogratuluję.

– Dobrze z ciebie dziecko.

* * *

Ewa skończyła rozmowę z ojcem, długą i szczerą. Pogratulowała mu i nie ukrywała swojej radości. Naprawdę ucieszyła się, że będzie miała rodzeństwo, nieważne, że przyrodnie. Ojciec zapytał ją, co by wolała, siostrę czy brata. Bez wahania odpowiedziała, że siostrzyczkę. Na koniec poprosiła, by oddał telefon Marlenie i osobiście złożyła jej gratulacje. To był duży krok w poprawie ich wzajemnych, nie najlepszych dotąd stosunków.

Coś się w niej przełamało. W zupełnie innym świetle zobaczyła relację ojca z Marleną. Odkąd poznała Roberta, cieszyła się każdym udanym związkiem, wszystkim życzyła miłości. A to bezradne maleństwo, które rosło sobie w brzuchu Marleny, bardzo ją rozczuliło.

Gdy rozmawiała z ojcem, Robert próbował się do niej dodzwonić. Oddzwoniła i od razu podzieliła się z nim nowiną. On też miał dla niej niespodziankę. Przygotował na jutro wycieczkę do Krakowa. Pokaże jej Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha. Właśnie jutro odbędzie się pokaz ceremonii parzenia herbaty i sztuki bonsai.

Okazało się, że Robert od dawna był wielbicielem sztuki i kultury japońskiej, dosyć regularnie odwiedzał ten ośrodek. Uczestniczył w wykładach, koncertach i pokazach filmowych. Dużo jej o tym opowiadał, a teraz cieszył się, że pokaże jej wszystko, osobiście wprowadzi ją w tamten świat. Same dobre wiadomości. Zasypiała, uśmiechając się, szczęśliwa.

Powrót na hałdę

Waldek już od tygodnia mieszkał z nimi. Wrócił, zwolniony warunkowo, prawie dwa lata przed terminem. Lidka była bardzo szczęśliwa, po prostu promieniała. Dzieci zachowały rezerwę, obserwowały mężczyznę, którego widziały po raz pierwszy, a był ich tatusiem.

To była rewolucja w ich życiu. W mieszkaniu poprzestawiano meble. W byłej sypialni zmieściły się łóżka dzieci i tapczan Teresy. Chłopcy spali na piętrowym. Najmniejszy pokój zamieniono na sypialnię rodziców. W powietrzu unosił się zapach dymu papierosowego, a w łazience stały przybory do golenia.

Tatuś teraz zajmował fotel, na którym chłopcy zawsze oglądali telewizję. W przedpokoju stały olbrzymie adidas. Piotrek wielokrotnie wkładał w nie swoje nóżki i pytał, czy jemu też urosną takie duże.

Chłopcy szybciej zaakceptowali jego obecność, zwłaszcza od kiedy Waldek zabierał ich na boisko lub jeździł z nimi na rowerach na działkę i do lasu. Zuzia pozostała nieufna, nie pozwoliła mu brać się na kolana. Uciekała i tuliła się do babci Teresy.

W stosunku do niej Waldek zachowywał się z szacunkiem, liczył się z jej zdaniem. Pierwszego wieczoru szczerze jej podziękował za uratowanie rodziny. Znał szczegóły z ich życia, bo Lidka informowała go na bieżąco o wszystkim. Cieszył się, że zechciała być jego „matką”, bo tak naprawdę to innej nie miał.

Teraz często razem robili zakupy i to on nosił ciężkie torby. Po obiedzie zgłaszał się do zmywania, ponieważ Lidka stale była w pracy. Doszła jej jeszcze jedna gęba do wyżywienia.

Waldek zarejestrował się w urzędzie pracy i czekał na jakieś oferty. Nigdzie nie wychodził, nie kontaktował się z kolegami, każdą chwilę poświęcał dzieciom. Widać było, że nie może się nimi nacieszyć i bardzo chciałby wynagrodzić im te lata swojej nieobecności.

Teresa starała się mu pomóc, czuła, że jej czas w tej rodzinie się kończy, i chciała mieć pewność, że zostawia ją w dobrych rękach. Szybko zrzuciła na niego obowiązek odbierania chłopców z przedszkola. Zachęcała do drobnych napraw i udoskonaleń w domu oraz spacerów i wspólnych wyjść tylko z Lidką.

Zuzi poświęcała więcej czasu, dużo rozmawiała. Musiała jej tłumaczyć, dlaczego obecność tatusia w domu jest taka ważna. Co to jest miłość mężczyzny do kobiety? Jak powinna prawidłowo funk-

cjonować rodzina? Jakie są obowiązki dzieci, a jakie rodziców? Zuzia miała dużo pytań, bardzo dojrzałych, zważywszy na jej wiek. Często był przy tym obecny Waldek i miała wrażenie, że słuchał takich słów po raz pierwszy w życiu. Nigdy się nie wtrącał, za to często się zamyślał, a gdy ich wzrok się spotykał, uśmiechał się z zażenowaniem.

Obserwowała go uważnie i miała sporo wątpliwości. Nie było łatwo zaufać komuś, kto miał taką przeszłość. Przeczuwała, że on musi się jeszcze rozliczyć z poprzednim życiem, które wcześniej czy później upomni się o niego. Ale wiedziała również, że dzieci nie mogły czekać, aż dorośli rozwiążą swoje problemy. Tak, przed nimi jeszcze niejedna trudna chwila. Uczą się siebie nawzajem. Jednak Lidka i Waldek powinni sami sobie radzić z rzeczywistością. To były ich gniazdo i ich pisklęta.

Była świadoma, że dłużej tu być nie może. Czuła, że ubywa jej energii, bóle głowy stawały się coraz bardziej natarczywe, zażywała sporo tabletek przeciwbólowych.

Wczoraj Waldek wrócił zadowolony z kolejnej wizyty w urzędzie pracy. Zatrudniono go przy budowie obwodnicy jako kierowcę wywrotki. Na razie na miesięczny okres próbny.

Szczerze mu pogratulowała i zachęciła, by natychmiast podzielił się radosną wiadomością z Lidką, niech się wreszcie przestanie kobieta martwić.

Co dwie pensje, to nie jedna, sytuacja rodziny znacznie się poprawi.

* * *

Obudził ją silny ból głowy. Po cichutku, by nie obudzić dzieci, z którymi od powrotu Waldka dzieliła pokój, poszła do łazienki. Najpierw zwymiotowała, ostatnio często jej się to zdarzało, a później połknęła kolejno trzy tabletki przeciwbólowe. Mniejsze dawki już od jakiegoś czasu przestały wystarczać. Wiedziała, że bierze ich zdecydowanie za dużo i za często, ale ból był nie do wytrzymania. Poczula zawrót głowy, ledwo trzymała się na nogach. Ubrała się w codzienną sukienkę wiszącą w łazience, włożyła sandały i wyszła z mieszkania, zabierając torbę na zakupy. Obawiała się, że jeżeli pigułki szybko nie zadziałają, zacznie krzyczeć z bólu i postawi cały dom na nogi.

Ranek był chłodny, rześki, ale niebo bezchmurne. To będzie kolejny słoneczny, ciepły dzień. Ruszyła przed siebie, szybko oddalając się od domu. Nie chciała spotkać sąsiadek, uśmiechać się, odpowiadać na pozdrowienia. Na szczęście o tak wczesnej porze ulice były puste. Szła bardzo szybko, prawie biegła, chciała uciec z tego miejsca, od tego bólu, zostawić to wszystko za sobą.

Wreszcie tabletki zaczęły działać, zwolniła, głęboko oddychając. Jaka to ulga, gdy znika ten nieznosny ucisk w głowie. A jak z każdą chwilą pięknieje świat, wypełnia się kolorami, kształtami, zapachami. Zmysły zaczynają działać i dostarczać informacje do mózgu. Czuła, że powoli, coraz śmiejlej wynurza się z tej ciemnej dziury, do której wtrącał ją ból.

– Dzień dobry, pani Tereso. – Znajomy zatrzymał samochód. – Idzie pani na działkę? Podrzucę panią. Ja też lubię wcześniej rano wstać, później jest za gorąco.

– A chętnie skorzystam. – Nie zastanawiając się, wsiadła do samochodu. – Ma pan rację, te upały mnie wykańczają. Starość nie radość.

– Jaka starość, pani Tereso, z pani jeszcze młódka. Ja to jestem stary ramol. Jak to mówił kiedyś mój syn? Wapniak jestem. – Roześmiał się.

– Panie Zbigniewie, niejeden młokos może panu pozazdrościć energii, krzepy i tej radości życia.

– Tak, nie narzekam, los jest łaskawy. Siódmy krzyżyk, a lekarzy mogę omijać z daleka – odparł ze śmiechem. – Mam dobre geny, moi rodzice jeszcze żyją, a oboje przekroczyli dziewięćdziesiątkę. Siostra z nimi mieszka, wnuki pomagają, nie jest źle – chwalił się.

– Ma pan szczęście. – Pokiwała głową. – Rodzina jest najważniejsza. Zatrzyma się pan? – poprosiła. – Jeszcze muszę wstąpić do sklepu.

– Proszę uprzejmie. – Zatrzymał się przed skrzyżowaniem w alejkę prowadzącą na teren ogródków działkowych.

Ruszyła przed siebie, minęła sklep, nie wstępując, chciała być jak najdalej od ludzi, od budzącego się miasta. Nie pamiętała, jak długo szła, pozostawiła za sobą ostatnie budynki. Po obu stronach drogi rozciągały się jakieś nieużytki, wyrosnięte trawy, krzaki. Skręciła w prawo, w stronę lasu. Słońce przypiekało coraz mocniej. Pomyślała, że dobrze będzie usiąść w cieniu pod drzewem. Osłabła, nogi nie chciały jej nieść. Ostatkiem sił dotarła na skraj lasu.

Gdy się ocknęła, słońce zachodziło. Chyba przespała cały dzień. Nie było dobrze, czuła narastający, pulsujący ból głowy. Nerwowo rozglądała się dookoła. Jest, znalazła. Torba na zakupy leżała w trawie parę metrów przed nią. Z trudnością wstała. Musiała się przytrzymać drzewa, bo zawrót głowy wstrząsnął silnie jej ciałem. Powolutku pokonała tę odległość i schyliła się po torbę. Bardzo się zmęczyła tą czynnością. Wróciła do drzewa, oparła się i zniecierpliwiona przeszukiwała torbę. Pamiętała, że zawsze na wszelki wypadek nosiła kilka tabletek. Były, odetchnęła z ulgą. Już uspokojona wyłuskała trzy pigułki. Nie miała tylko wody do popicia. Starła się wyobrazić sobie szklanekę z zimną wodą i całą połówkę cytryny. Ślina napłynęła do ust, udało jej się połknąć dwie pastylki, trzecia zatrzymała się w przełyku, wywołując odruch wymiotny.

Przycisnęła dłoń do ust, przeraziła się, że ciało wszystko odrzuci. Udało się, chociaż cała się spościła. Oddychała głęboko, pojękiwała. To przynosiło ulgę. Kołysała się w rytm tych jęków, jakby odmawiała jakieś modły. Działo, ból stopniowo odchodził. W końcu odetchnęła pełną piersią, było dobrze. Rozejrzała się wokoło, las szykował się do nocnego życia. Trele ptaków były inne niż rano, mniej radosne.

Co robią jej małe robaczki? Już wiedzą, że jej nie ma, i jej szukają. Lidka postawi wszystkich na nogi. Waldek z pewnością już był na działce, może rozmawiał z Malinowskim, a ten opowiedział mu, że ją podwoził. Oj, będzie się tam działo. Zuzia będzie płakała, ale chłopcy szybko znajdą sobie zajęcie. Ile czasu trzeba, by o niej zapomnieli? Codzienne życie narzuci im swój rytm. W końcu muszą chodzić do pracy, przedszkola, szkoły. Po jakimś czasie nauczą się żyć bez niej.

Jak dziwnie toczy się jej życie. Już drugi raz odchodzi bez słowa. „Pojawiam się i znikam” – ktoś tak kiedyś śpiewał.

Nagle zrozumiała, jakie zadanie ją czeka. Musi teraz natychmiast dotrzeć na tę hałdę, od której zaczęła się jej podróż. Musi wrócić do początku. Tutaj nie może już zostać, wypełniła swoją misję i pozbyła się wielkiego ciężaru: wyrzutów sumienia i poczucia winy.

Powoli ruszyła przed siebie, odpoczywając przy każdym drzewie. Słońce zaszło, robiło się coraz ciemniej.

„Duzo tych drzew” – pomyślała. „Żeby tylko zdążyła na pociąg. Stasiu na mnie czeka. On nie lubi ciemności. Muszę mu zapalić lampkę nocną przy łóżeczku”.

* * *

– Zobacz, tam ktoś leży. – Rysiek pokazał ręką.

– Ciekawe kto?

Chłopcy pobiegli w stronę nasypu. Zatrzymali się i patrzyli na jasne, odsłonięte uda kobiety. Sukienkę miała podwiniętą do góry, widać było różowe majtki. Twarz zasłaniały włosy. Leżała na boku.

– Czy ona żyje? – zapytał szeptem Szymek.

– Nie wiem – odpowiedział również ściszym głosem Rysiu.

– Halo, proszę pani! – zawołał głośno Szymek.

Kobieta nawet nie drgnęła.

– Spójrz na cycki. – Rysiek pokazał palcem. – Chyba nie oddycha, bo się nie ruszają.

– Trup?! – Szymek odskoczył do tyłu.

– Trzeba to sprawdzić. – Rysiek głośno przełknął ślinę. – Może jest tylko niezle narąbana? Moja mama jak się spije, to też wygląda jak trup, tylko jeszcze przy tym okropnie cuchnie, a ta baba nie śmierdzi.

– Ja jej nie tknę. – Szymek zrobił jeszcze jeden krok do tyłu.

– Halo, proszę pani! – zawołał na cały głos Rysiek. Szybko się nachylił i szturchnął dłonią plecy kobiety. Odskoczył z krzykiem. – To jest trup!

Szymek odwrócił się i zaczął uciekać. Słyszał, że Rysiek biegnie za nim. Pędzili, ile sił w nogach.

Piotr

- Piotrze, dobrze, że już jesteś – przywitała go zniecierpliwiona Marlena. – Był u nas dzielnicowy, masz się jeszcze dzisiaj zgłosić na policję.
- A po co? – Przygarnął ją i pocałował w policzek.
 - Nie chciał mi nic powiedzieć. Taki bardzo służbowy był.
 - Może coś się stało Ewie? – zaniepokoił się.
 - Nie. Od razu zadzwoniłam do niej. Twoja teściowa też żyje.
 - No to wszystko inne może poczekać. – Uśmiechnął się. – Głodny jestem.
 - Będziesz najpierw jeść?
 - Marlenko, twój chłop wrócił z pracy i czeka na obiad. Chyba dasz mi coś zjeść? – Objął ją i skierował w stronę kuchni.
 - Och, faceci! – zachnęła się. – Mnie by z ciekawości nic przez gardło nie przeszło.
 - Spokojnie, nie pali się przecież. Jak skończę, to pójdę.
 - Piotrze, a może znaleźli Teresę? – zapytała, nalewając zupę na talerz.
 - Marlenko, mieliśmy już o niej nie rozmawiać. Odkąd jesteś w ciąży, o niczym innym nie myślisz. Wiem, że ci zależy na małżeństwie, ja też chciałbym, by się to wreszcie wyjaśniło, a nasze dziecko było ślubne. Ale nic na to nie poradzimy, więc przestań się zadręczać, bo jeszcze zaszkożdzisz małemu. Przypominam ci, co mówił lekarz: żadnych stresów, masz wypoczywać, oglądać komedie, czytać książki o miłości i dużo spacerować.
 - Wiem, ale ten dzielnicowy taki poważny był... taki oficjalny. Normalnie się tak nie zachowuje.
 - Marlenko, oni taką robotę mają. Ich widok nikogo nie cieszy, bo prawie zawsze kojarzą się z kłopotami. Ale dobrze, jak tylko zjem, to pójdę i dowiem się, o co chodzi. Zadowolona?
 - Umieram z ciekawości. I martwię się. Wiesz, najlepiej będzie, jak pójdę z tobą.
 - Nawet o tym nie myśl! Tam jest upał jak w piekarniku. Siedź w domu, jakiś serial sobie obejrzuj. I cały czas pamiętaj o dziecku, ma się urodzić całe i zdrowe. Obiecałaś mi to – przypomniał.
 - Dobrze, już dobrze, ale jak tylko będziesz coś wiedział, to zaraz zadzwoń.

Piotr siedział na ławce na przystanku. Nie czekał na żaden autobus, ale musiał ochłonać. Nie mógł w tym stanie wrócić do domu, chociaż zdawał sobie sprawę, że Marlena będzie pewnie jedyną osobą, którą ta wiadomość ucieszy.

Ręce mu się trzęsły, a w gardle zaschło. Policjantka na komendzie siłą posadziła go na krześle i podała szklankę wody z jakimiś kroplami na uspokojenie. Podobno był blady jak kreda, chcieli go odwieźć radiowozem, ale się nie zgodził. Nie może teraz wrócić do domu, musi sobie to wszystko poukładać.

Nie miał żadnych problemów z identyfikacją zwłok. Teresa wcale się nie zmieniła, wyglądała tak, jak ją zapamiętał. Nie przytyła ani specjalnie nie schudła, nie zestarzała się, chociaż minęło prawie siedem lat. Dowiedział się, że znaleziono ją niedaleko, na hałdzie przy torach kolejowych. Toczyło się śledztwo, zrobią sekcję zwłok, z pogrzebem trzeba będzie poczekać.

Wyglądała, jakby spała, nie miała żadnych śladów pobicia, torturowania. Pamiętał te identyfikacje zwłok z filmów. Krwawe wybroczyny, ślady na nadgarstkach, na szyi...

Jak to możliwe, że znaleziono ją tak blisko, przecież przeszukano wielokrotnie całą okolicę. Gdzie spędziła tyle lat? Z kim? Dlaczego do nikogo się nie odezwała? Nawet do Ewy! Córki! Jedyne dziecko.

„O, Boże!” – uświadomił sobie nagle. Musi w pierwszej kolejności powiadomić Ewę, no i teściową. Ona ciągle żyje nadzieją, że córka się odnajdzie. Stale powtarzała: „Nie ma ciała, nie ma śmierci”. No to teraz ciało już jest. Jak jej to powiedzieć, żeby nie przyplaciła tej wiadomości swoim życiem? Ma takie słabe serce.

Tyle myśli kłębiło się w jego głowie, a jednocześnie czuł jakiś bezwład mięśni, nie miał siły, by wstać z tej ławeczki i iść gdziekolwiek.

Wiele autobusów podjeżdżało, ludzie wsiadali i wysiadali, nie wiedział, jak długo już tam jest. Nagle poczuł, że musi natychmiast się czegoś napić, pragnienie stało się tak naglące, że zerwał się na nogi i prawie biegł w stronę baru, w którym czasami pił piwo z kolegami.

Pierwszy kufel opróżnił na stojąco, jednym tchem. Dopiero z drugim w ręce dosiadł się do dwóch nieznanomych mężczyzn, bo wszystkie stoliki były zajęte. Po chwili dotarło do niego, o czym mówili.

– Słyszałeś, że dzisiaj rano chłopcy znaleźli na hałdzie jakąś kobietę?

– Jak to znaleźli?

– No, nieżywą, trupa znaleźli.

– Nic nie słyszałem. Młoda czy stara?

– Nie wiem. Sąsiad mi powiedział, gdy wracałem z roboty. Pełno policji kręciło się po okolicy.

– Napadli na nią, zgwałcili? – dopytywał się ten z prawej.

– Nic nie wiem, pewnie w wieczornych wiadomościach coś powiedzą.

Piotr dopił piwo i wyszedł z baru. Nogi same zniosły go pod blok, w którym mieszkał z Teresą.

Na schodach spotkał Ewę w stroju do biegania.

Bez słowa przygarnął ją i mocno przytulił.

Na cmentarzu

Ewa z wielką przyjemnością wpatrywała się w dwie piękne reprodukcje, które Robert zawiesił tak, by siedząc przy biurku, mogła się nimi zachwycić. Miał rację, twierdząc, że ile razy spojrzy na nie, tyle razy wspomni go ciepłutko. Wybrał to miejsce, ponieważ właśnie tutaj spędzała najwięcej czasu, kiedy była sama. Powiedział: „A wtedy ja będę z tobą i czas rozłąki szybko minie”.

Pojechali do Krakowa na wycieczkę, której tak szybko nie zapomni. Pogoda im dopisała, a Muzeum Manggha zrobiło na niej olbrzymie wrażenie. Takich nowoczesnych ekspozycji jeszcze nie miała okazji podziwiać. Światło, dźwięk, ruchome obrazy na ścianach, egzotyczne eksponaty umiejętnie wprowadzały w kulturę i historię tak odmienną od europejskiej. Wykład i pokaz parzenia herbaty w wykonaniu japońskiej studentki ubranej w piękne kimono były prawdziwą ucztą duchową.

Ona sama najbardziej zachwyciła się obrazami japońskiego malarza Kosona Ohary. Długo stała zauroczone pięknymi akwarelami, a szczególnie tą przedstawiającą modliszkę i tą z zachodem słońca w zatoce. Były magiczne w swojej prostocie i subtelności.

Uwielbiała słuchać Roberta, gdy opowiadał o swoich pasjach. Okazał się bardzo ciekawym człowiekiem, musiała zmienić zdanie o rówieśnikach. Nie wszyscy ograniczali się do piłki nożnej, gier komputerowych czy filmów sensacyjnych i horrorów.

Robert lubił słuchać jazzu, szczególnie tradycyjnego, fascynowała go współczesna Japonia, szacunek Japończyków do tradycji. Marzyli, że kiedyś wspólnie odwiedzą ten kraj. Odkąd byli razem, ich prywatne światy bardzo się rozszerzyły o zainteresowania i problemy tego drugiego, szybko stawały się wspólne. Robert czytał książki, którymi ona się zachwyciła – ostatnio *Cień wiatru* Zafóna. Obiecali sobie, że zwiedzą Barcelonę śladami głównego bohatera. Ona poznawała japońską literaturę, polubiła powieści Murakamiego. Oglądali też razem filmy, a później długo o nich dyskutowali. Bardzo przeżyli *Wiernego ogrodnika*.

Nie miała pojęcia, w którym momencie Robert kupił w muzealnym sklepie Manggha te reprodukcje. Pięknie je oprawił i powiesił nad jej biurkiem. Podarował jej te cudenka na pożegnanie, by osłodzić rozstanie. Trzy tygodnie wydawały się wiecznością. Bardzo go kochała i czuła, że jest kochana. Tak mocno zachłysnęli się swoim szczęściem, że wydawało im się, iż świat jest piękny, kolorowy i radosny tylko wtedy, gdy są razem.

Rozumiała teraz tę potrzebę wyłączności, izolowania się od świata, ludzi. Najważniejsze były chwile spędzone z Robertem. Uwielbiała trzymać go za rękę, obejmować, całować. Polubiła jego dźwięk, zapach, swoje odbicie w jego oczach. Byli sobą nienasyceń.

Spędzali razem każdą wolną chwilę, ale biegali wspólnie coraz rzadziej. Woleli siedzieć przytuleni do siebie, kochać się, całować i rozmawiać, rozmawiać, rozmawiać.

W tym amoku zakochania coraz rzadziej myślała o mamie. Już nie chciała szukać, przestało jej zależeć. Może mama żyje – jak twierdził jasnowidz – ale nie chce wrócić. A może nie żyje – jak uważali inni. W końcu niewiele zmieniało to w jej życiu, po prostu wolałaby wiedzieć.

Dzień po wyjeździe Roberta zbiegała po schodach, by pobiegać, poczuć wiatr we włosach, rozwiać silną tęsknotę, a tymczasem wpadła prosto w ramiona ojca. Nie spodziewała się jego wizyty. Tato przytulił ją do siebie tak mocno, że zabolęło. A później bez słowa objął ją w pasie i zawrócił do domu.

To była długa, trudna i bardzo bolesna rozmowa. Płakali, wspominali, rozważali, w końcu przycichli. Głębokie westchnienia, nieśmiałe uśmiechy, uczucie oczyszczenia, przebaczenia.

„Jaki los jest przewrotny” – pomyślała przed zaśnięciem. Mama pojawiła się w momencie, gdy przestała jej szukać, czekać na nią, chociaż nadal tęskniła.

* * *

Ewa zapłaciła za kwiaty i znicze i weszła na teren cmentarza. Było cicho i pusto, słońce mocno grzało. Lubiła tu przychodzić. Od pogrzebu mamy robiła to kilka razy w tygodniu. Robert chciał wrócić z obozu, ale mu na to nie pozwoliła. Co dwie, trzy godziny dostawała od niego esemesa z zapewnieniami, że tęskni i kocha. Co ona zrobiłaby bez niego? Jak przeżyłaby ten koszmar?

W końcu to, czego wszyscy się spodziewali, stało się faktem. Mama nie żyła. Tata oficjalnie został wdowcem, a ona pólsierotą. Sekcja zwłok wykazała, że mama miała w mózgu tętniaka, który pękł i spowodował natychmiastową śmierć. To było naturalne zejście, więc policja szybko przestała się interesować tym przypadkiem. Nie ustalono, gdzie mama przebywała przez te siedem lat. Czy tę tajemnicę już na zawsze zabrała ze sobą do grobu? Przypadek mamy jeszcze długo będzie komentowany przez sąsiadki, znajomych. Teraz dopiero był czas na domysły, przypuszczenia, fantazjowanie. Wiele wersji krążyło po osiedlu.

Babcia Trudzia po raz kolejny zadziwiła Ewę. Po pierwszym szoku wyciszyła się, często się zamyślała i uśmiechała sama do siebie. Wyznała wnuczce, że nie musi się już niepokoić, bo już niedługo spotka się ze swoją córką i wszystkiego się dowie. Teraz może spokojnie czekać, nic ją już nie dręczy.

Pochowali mamę w jednym grobie ze Stasiem. Zawsze mówiła, że chce być skremowana, spełnili więc jej ostatnią wolę.

Ewa dotarła na miejsce. W wazonie na marmurowej płycie stały świeże kwiaty. Ciekawe, kto odwiedził mamę? Ojciec? Dołożyła swój bukiet i dwa czerwone znicze, a do reklamówki schowała te wypalone. Kucnęła, by zapalić świece, i wtedy zobaczyła ten rysunek. Zapewne wiatr zdmuchnął go w przejście pomiędzy grobami.

Jakieś dziecko narysowało całą rodzinę: mamę, dwóch chłopców, dziewczynkę i tatę. Nad ich głowami siedziała na chmurce uśmiechnięta kobieta. Na dole kartki niewprawną dziecięcą ręką napisała: „Dla babci Teresy”.

Długo wpatrywała się w literki. Babcia? O kogo tu chodzi? Mama była za młoda na bycie babcią. Ten obrazek narysowany przez małe dziecko przedstawiał sporą rodzinę. Czy to z nimi jej mama spędziła swoje ostatnie lata życia? Dlaczego?

Nagle uświadomiła sobie, że oni tu byli! Wiedzieli o jej mamie więcej niż ona, rodzona córka. Może wiedzą też o niej, o ojcu i babci?

Poczuła się oszukana, okradziona z przynależnych jej uczuć. Jednocześnie czuła złość, niezgodę na ten stan rzeczy i swoją bezsilność, bo niczego nie mogła zmienić, nie miała przecież żadnego wpływu na decyzje mamy. Paskudna mieszanka uczuć – nie wiedziała, co ma teraz z sobą począć.

Przychodziła tu na spotkania z matką, zapewniała ją, że mimo wszystko bardzo ją kochała, bardzo potrzebowała i że wszystko jej wybaczyła.

I co teraz? Patrzyła na ten niewinny obrazek i zaciskała zęby, w końcu z pasją podarła go na wiele kawałków.

– Szukałam cię po hałdach, spelunkach, w najgorszych dzielnicach. Wiesz o tym? – przemawiała z pasją do mogiły. – A ten pieprzony jasnowidz miał jednak rację. Byłaś gdzieś blisko i nie chciałaś, by cię odnaleziono. Wyrzekałaś się mnie, porzuciłaś! Znalazłaś sobie nową rodzinę. A co ze mną? Pomyślałaś o tym, co ja czułam? – Z furią rzuciła kawałki papieru na płytę grobu. Łzy płynęły jej po policzkach.

Nagle rozdzwoniła się jej komórka. Jak dobrze, że ma Roberta. Odwróciła się i szybko poszła w stronę bramy cmentarza.

– Cześć. Co tam u ciebie, jak się masz? Dobrze? Cieszę się. Wiesz, jak tu pięknie, podobałoby ci się. To jest supernowoczesny ośrodek sportowy. Jaka szkoda, że cię tu nie ma – usłyszała radosny, entuzjastyczny głos Roberta.

– To fajnie. Zrób parę zdjęć i mi prześlij – poprosiła.

– Zaraz zrobię. Dlaczego masz taki smutny głos? – zaniepokoił się.

– Byłam u mamy na cmentarzu.

– A prosiłem, byś tam sama nie chodziła. Poczekaj, aż wrócę, obiecaj mi to.

– Obiecuję.

– Kochana jesteś, tęsknię za tobą.

– Ja też, bardzo.

- Już niedługo, za kilka dni, wytrzymaj jeszcze – poprosił.
- Wytrzymam, o nic się nie martw, solidnie trenuj.
- Nie marnuję czasu, jak zresztą wszyscy tutaj. Jeden drugiego podgląda, straszna rywalizacja.
- To dobrze, że mnie tam nie ma, nie lubię tego. – Roześmiała się.
- Wiem, kochana, wiem. Muszę kończyć, idziemy na basen. Zadzwoń później.
- Dobrze, pa.

Ewa, wychodząc z cmentarza, postanowiła sobie, że nie będzie tu zaglądała, chyba że z Robertem. Wsparta na jego ramieniu. Mama miała swoją rodzinę, która ją odwiedzała, pamiętała o niej. Nie jest samotna. Leży obok Stasia, swojego ukochanego synusia. Ona nie jest jej do niczego potrzebna.

Napad

Zauważyła z niepokojem, że z każdym kolejnym upalnym dniem przybywało na jej trasie młodych ludzi. Wszyscy szukali cienia pod drzewami, w krzakach. Wielu zapewne tutaj nocowało, bo ruszała wcześniej rano, zanim słońce nokoutowało, a oni już byli. Nie lubiła ich taksującego wzroku, zaczepek i wulgaryzmów. Wzbudzali w niej silną mieszaninę lęku i wrogości. Te wygolone głowy, bycze karki i ramiona, efekt wielu godzin ćwiczeń na siłowniach. Eksponowali gołe torsy pokryte tatuażami. Byli zdecydowanie bardziej agresywni niż dorośli.

Wiedziała, że jest szybsza od każdego z nich, ale miała świadomość, że w grupie czuli się bezkarni, silni, niepokonani. Groźba gwałtu i fizycznej przemocy sprawiała, że ilekroć słyszała za sobą czyjeś kroki, drętwiała ze strachu. Szybko odkryła miejsca, gdzie się zbierali, pili, palili i brali, jak się domyślała po porzuconych strzykawkach.

W szkole wiele mówiło się o dopalaczach, po których „czujesz się zajebiście”. Zaznaczyła te miejsca na czerwono na planie miasta i starała się je omijać. Bała się ludzi z zaburzoną świadomością, nieobliczalnych, zdolnych do wszelkiego okrucieństwa. A tak postrzegała narkomanów.

Znała to z filmów, artykułów w Internecie i opowiadań kolegów w szkole. Nie interesowały ją odloty, chociaż wielokrotnie proponowano jej tabletki. Dilerzy krążyli wokół szkoły codziennie. Amfę można było kupić bez problemów, szczególnie w okresie matur.

Nie miała żadnego doświadczenia z używkami, bo lubiła być trzeźwa i zdolna do długiego biegu. Chciała zrozumieć świat, przejrzeć zasady jego działania, a do tego niezbędny był jasny umysł, świadomy.

Od dawna wiedziała, że bieganie ma na nią zbawienny wpływ. Problemy znikwały albo przyjmowały postać prostszą, bardziej zrozumiałą i łatwiejszą do rozwiązania. Tłumaczyła to sobie tym, że ruch na świeżym powietrzu to pełne dotlenienie organizmu, równocześnie razem z potem pozbywała się toksyn, a widok zieleni dobrze działał na oczy. Lekcje biologii z taką pasjonatką jak pani Wasilewska wyjaśniały wszystko, no, prawie wszystko.

Cieszyła się, że sama, bez prowadzenia za rączkę, instynktownie wybierała to, co okazywało się dobre. Miała potwierdzenie, że jest inteligentna, potrafi sama radzić sobie z wieloma problemami, jest dobrze zorganizowaną, logicznie myślącą osobą. Nie różniła się od innych uczniów, tych zdolnych, aktywnych, ambitnych, a przecież nie miała nad sobą rodziców strażników, którzy kontrolo-

waliby ją i osłaniali każdy jej krok. No i przede wszystkim wpływali pozytywnie na jej poczucie własnej wartości.

Wiedziała, że to irracjonalne, ale dopadały ją momenty, gdy czuła się tą gorszą, bo porzuciła ją matka, która znalazła sobie inne dzieci do kochania, wybrała drugą, pewnie lepszą rodzinę.

Jak dobrze, że teraz miała Roberta, wspaniałego faceta, który kochał właśnie ją, taką, jaka była. Akceptował ją, podziwiał, zachwycał się nią, potrzebował jej. Czuła, że razem tworzą jakąś całość, która poradzi sobie ze wszystkim, co niesie życie. Wspólnie zrealizują swoje marzenia, osiągną cele.

Już za dwa dni Robert przytuli ją mocno, pocieszy, wesprze silnym ramieniem. Zanuciła sobie ich piosenkę: „A ja będę twym aniołem...”. Uśmiechnęła się radośnie, podskoczyła, próbując dosięgnąć dolnych gałęzi klonu – Robert często tak robił. Jej się nie udało, roześmiała się i skręciła na ścieżkę w stronę osiedla.

Nagle poczuła gwałtowne szarpnięcie. Zatoczyła się i wpadła na pień drzewa. Znokautował ją straszliwy ból, miała wrażenie, że potworna siła wyrwała jej rękę z barku. Oszołomiona uderzeniem w głowę za późno zobaczyła napastnika.

Stał w rozkroku w granatowym dresie z kapturem naciągniętym na głowę. Widziała jego zmrużone oczy, grymas twarzy. Był wściekły.

– Mam cię wreszcie, ty kurwo! – usłyszała. – Myślałaś, że możesz sobie tak z nami pogrywać?! Za głupia jesteś, za malutka!

– Nie znam cię! – odkrzyknęła w panice.

– Jasne, że nie znasz! – wrzasnął, zbliżając twarz do jej twarzy. – I nie poznasz, nie dla psa kielbasa. – Chuchał piwem i papierosami.

Próbowała go odepchnąć, odsunąć na wyciągnięcie ręki.

Pozwolił na to, ale w zamian otrzymała potężny cios w żołądek. Nie zdążyła złapać oddechu, gdy kolejne razy złamały ją w pół. Dostała w kark i upadła, uderzając głową w coś bardzo twardego. Ostatnie, co zapamiętała, to kopnięcie butem w twarz.

I wtedy wszystko odpłynęło, już nic nie czuła, zapadała się w miękką, aksamitną ciemność. Cisza, która ją otoczyła, była przyjazna, bezpieczna i pachniała... tak, wanilią.

* * *

– Kwas, coś ty, kurwa, zrobił? – Dwaj mężczyźni stali zdyszani i z niedowierzaniem patrzyli na leżącą dziewczynę.

– Dorwałem wreszcie tę sukę. – Wzruszył ramionami. Nachylił się i zaczął rozplątywać czerwoną apaszkę z nadgarstka dziewczyny.

– Co ci odbiło? – zdenerwował się ten w dzinsach.

– Jak to odbiło, mieliśmy się nią zająć, dać jej popalić. – Nie rozumiał.

– Jadźkę miałaś załatwić! – krzyczał ten trzeci. – A to nie ona.

– Jak to nie ona? Jest w dzinsach? Jest. Jest blondynką? Jest. No i ma tę cholerną czerwoną apaszkę na ręce – dokończył.

– Kurwa, ale to nie ona!

– Czy ona żyje? – zapytał ten w dzinsach.

– Nie wiem, nie patyczkowałem się.

– Jezu, zabiłeś niewinną dziewczynę. Spierdalamy stąd.

Cała trójka rozejrzała się wkoło i ruszyła biegiem w stronę torowiska.

– Mordy w kubeł. Nikogo i niczego nie widzieliście, bo pozałujecie – odgrażał się Kwas.

* * *

Artur doczołgał się do dziewczyny. Próbował dobiec ze swojego stanowiska obserwacyjnego, ale zajęło mu to dużo czasu. Teraz nie potrafił utrzymać się na nogach, serce łomotało mu w piersi, tracił oddech.

– Tylko nie zemdleć. Nie teraz – prosił błagalnie.

Porzucili ją, dranie. Odeszli, szarpiąc się między sobą. Kto ich teraz znajdzie?

Próbował delikatnie odwrócić Ewę na wznak. Zaskoczył go wyraz jej twarzy, wyglądała, jakby śniła jakiś przyjemny sen, odprężona i spokojna. Odgarnął jej włosy z policzka, usunął ślady ziemi i krwi. W sekundę później zorientował się, że coś jest nie tak. Dziewczyna nie oddychała. Odsunął się przerażony. Próbował wyjąć komórkę z kieszeni i wtedy usłyszał sygnał karetki pogotowia. Zrobił duży wysiłek, by stanąć na nogi, zaczął krzyczeć i machać rękami nad głową. Ambulansu jeszcze nie widział, ale z lewej strony nadbiegało dwóch facetów. Jeden wymachiwał aparatem telefonicznym.

Potem było jak w filmie: reanimacja, policja, zabezpieczanie śladów. Spisali jego dane, miał się jutro stawić na komendzie policji jako świadek, razem z tymi dwoma mężczyznami, którzy wezwali pomoc. Najważniejsze, że dziewczynę zabrało pogotowie, rozumiał, że żyła. Nie wiadomo skąd zebrał się spory tłumek. Głównie dzieci, ale sporo było dorosłych i młodzieży.

Właściwie nie pamiętał, jak doszedł do domu. Miał duże trudności z oddychaniem, nogi nie chciały go nieść, a w uszach szumiało. Poruszał się wolno, często przystając. Poczł wielką ulgę, gdy wreszcie mógł usiąść w fotelu.

* * *

Poczł światło, zaczęło docierać delikatnie przez zamknięte powieki. Uśmiechnęła się i otworzyła oczy. I wtedy

ją zobaczyła, a za chwilę poczuła jej dotyk. Mama?!

Uśmiechała się ciepło, tuliła ją do piersi, gładziła po włosach. Najcudowniejsze uczucie na świecie. Poczwała się bezpieczna i szczęśliwa.

– Moja kochana córeczka.

– Mamo, gdzie ty byłaś? Tak długo cię szukałam.

– Czekałam na ciebie, kochanie, wiedziałam, że przyjdiesz, ale musiałam cierpliwie czekać.

– A ja tak tęskniłam za tobą.

– Wiem, kochanie, ale ja nie mogłam przyjść do ciebie. To ty musiałaś przyjść do mnie. Tak to już tutaj jest.

– Mamo, dlaczego mnie opuściłaś, dlaczego przestałaś mnie kochać?

– Córeczko, nigdy nie przestałam cię kochać, ale bałam się kochać cię za bardzo, by Bóg mi ciebie nie zabrał. Tak jak Stasia. Chciałam cię chronić...

– A gdzie my jesteśmy? – Rozejrzała się zaciekawiona.

Odwróciła głowę i zobaczyła piękną łąkę z soczyscie zieloną trawą i polnymi kwiatami. Było ciepło, lekki wiatr muskał jej twarz. Nagle coś zafalowało nad jej głową i bardzo powoli opadało. To była delikatna czerwona chustka.

– O, moja apaszka – ucieszyła się mama. – Tak ją lubiłam.

– Wiem, mamuś – odpowiedziała sennym głosem, bardzo chciało jej się spać.

– Zauważyłaś, że ma taki ładny czerwony kolor?

Chciała potwierdzić, ale nagle zrobiło się ciemno i zimno i znowu nie czuła mamy.

Szpital

Hubert nie zastanawiał się ani chwili dłużej. Nie trafiały do niego zapewnienia Artura, że czuje się dobrze. Został go na dole, w holu. Siedział w starym fotelu i ciężko oddychał. Twarz miał szarą, usta fioletowe. Nie miał siły wstać, by przejść do pokoju. Odpoczywając po każdym zdaniu, opowiedział mu o napadzie, którego był świadkiem. Był bardzo przejęty, widać głęboko przeżywał całe zajście. Wspomniał, że ma się jutro stawić na komendzie policji.

Hubert zmierzył mu ciśnienie i wezwał pogotowie. Na koniec zadzwonił do Wiktora.

Wieczorem spotkali się wszyscy w szpitalu przy łóżku Artura. Leżał z maską tlenową na twarzy, podłączony do kontrolującego parametry życiowe kardiomonitora. Wiktor poszedł porozmawiać z lekarzem, a Hubert opowiadał Arturowi o swoim spotkaniu z oficerem śledczym.

Dzięki zeznaniom świadków napadu sprawcy zostali ujęci i osadzeni w areszcie. Główny winowajca był już wcześniej karany za rozbój.

– Bardzo im pomogłeś, dałeś dokładny opis bandziorów. Nie uciekli daleko.

– A co z dziewczyną? – zapytał Artur, odchylając maskę tlenową.

– Nie jestem z rodziny. Nie mogli mi nic powiedzieć. Dowiedziałem się tylko, że zabrali ją do szpitala w Bytomiu.

– To znaczy, że żyje?

– Skoro jest w szpitalu, to żyje – potwierdził Hubert.

Wrócił Wiktor, spojrzał na wujka porozumiewawczo. Podszedł do łóżka i powiedział:

– No, kolego, rozhuśtałeś trochę to swoje serducho. Musisz tu poleżeć, będą cię kontrolować. Trzeba to wszystko jakoś ustabilizować. Dzwoniłem do twojej mamy, postara się jak najszybciej przylecieć.

– Tak ze mną źle?

– Nie, po prostu obiecałem jej, że gdyby się coś z tobą działo, to natychmiast dam jej znać.

Wiesz, co by było, gdybym nie zadzwonił? Znasz ją najlepiej – tłumaczył się Wiktor.

– To znaczy, że jest bardzo źle. Dobrze, że zadzwoniłeś – podsumował Artur.

– Słuchaj, młody, mam ci coś przynieść? Potrzebujesz czegoś? – zapytał Hubert.

Artur pokręcił przecząco głową i zamknął oczy.

– Jesteś zmęczony, spróbuj się trochę przespać. Idę po kawę i posiedzę tu z tobą – zdecydował

Wiktor. – A ty, Hubercie, jedź do domu, odpocznij.

Mężczyźni wyszli na korytarz.

– Jest bardzo źle? – zapytał Hubert.

– Tak, lekarz uprzedził, że stan jest krytyczny, robią, co mogą. – Głos mu się załamał.

– Pamiętaj, że to silny chłopak, nie podda się bez walki. A co z przeszczepem, jest jakaś szansa?

– Artur jest teraz pierwszy na liście.

– Świetnie – ucieszył się Hubert.

– Nie ma się z czego cieszyć, wiesz przecież, jaką on ma rzadką grupę krwi. Trudno będzie o dawcę. – Wiktor przetarł dłońmi załzawione oczy.

– Spokojnie, jeszcze nie przegraliśmy. – Hubert poklepał go po ramieniu. – Może zostanę z tobą?

– Nie, jedź do domu, prześpij się trochę. Zmienisz mnie rano, bo ja pojedę na lotnisko po Aldonę. Wyobrażam sobie, co ona przeżywa, będzie potrzebowała naszego wsparcia.

– No dobrze, chociaż nie wiem, czy uda mi się zasnąć. Gdzie ta kawa?

– Za rogiem jest automat.

W innym ciele

— *Oj, jak boli! Dlaczego? Co ja takiego zrobiłam? Jaka cisza. Gdzie ja jestem? Słyszę coś... Boże, co to takiego? Z niczym mi się te odgłosy nie kojarzą. Boję się. Dlaczego jest tak ciemno? Dlaczego tu jestem? Boję się, boję się, z każdą chwilą mocniej. To jest straszne. Okropność! Ciemność, lepkość, duszność, wilgoć! Nie chce tu być! Ratunku! Pomooocy! Niech mi ktoś pomoże! Drę się z całej siły, dlaczego nikt mnie nie słyszy? Nikt mnie nie ratuje! Chyba umrę ze strachu. Ratunku! To jest chyba panika. Tak, jestem strasznie spanikowana. Pomocy! Jest tu ktoś? Jest tu jakiś człowiek?! Jest tu ktokolwiek, cokolwiek? Nic nie widzę, właściwie nic nie czuję. Czy ja mam ręce, nogi, głowę... Głowę chyba mam, bo myślę. Myślę, więc jestem! Na pewno?*

Poczuła miękkość i ciepło. Odprężyla się. Wyczuwała wokół siebie czerwony aksamit. Tak, przypomina sobie. Miała kiedyś taką śliczną sukienkę z aksamitu w wiśniowym kolorze. Dostała ją od sąsiadki, której krewni przysyłali paczki z Ameryki.

Nie chciała zdjąć tej sukienki i mama pozwoliła jej w niej spać. Lubiła gładzić delikatnie włoski materiału. Przy ruchu w dół były gładkie, a pod górę stawiały lekki opór.

* * *

Marlena jedną ręką trzymała się za brzuch, a drugą obejmowała Piotra.

Nie wiedziała, jak mu pomóc. Jego rozpacz była taka ogromna, że serce na ten widok zamierało. Doskonale go rozumiała. Sama za chwilę zostanie matką i na samą myśl, że jej dzieciątku mogłoby przytrafić się coś złego, ogarniał ją paralizujący strach.

Jak ma pocieszyć ojca, któremu lekarz przekazał taką wiadomość? Śmierć pnia mózgu! Jego ukochana córeczka podobno już nie żyje. To ta masa aparatury za nią oddycha, sprawia, że Ewka wygląda, jakby spała.

Piotr płacze, szlocha, łzy kapią. Wyciera mu twarz jak dziecku, każe wydmuchać nos. On grzecznie wykonuje polecenia. Kompletnie się załamał.

Wczoraj odwiedzili jego teściową. Leżała w łóżku, obojętna na wszystko.

– Jest jedną nogą na tamtym świecie – powiedziała Czesia. – Już się z tego ciosu nie podniesie.

Nikt nie zaprotestował, rozumieli sytuację. Staruszka straciła wszystkich bliskich, nie miała już córki ani wnuków, została sama jak palec, ostatnia z rodu.

– Cała jej rodzina znikła z tego świata – mówiła Czesia. – A biedulka tak się cieszyła, że Ewunia się zakochała, że wyjdzie za męża, bo ten Robert to porządny chłopak, i będą mieli dzieci. Oj, niezbadane są wyroki boskie.

Marlena pobiegła do dyżurki lekarskiej. Niech ratują Piotra, niech mu szybko pomogą, sam sobie z tym nieszczęściem nie poradzi. Mają od tego specjalistów. Ona jest tylko prostą kobietą, ale zrobi wszystko, będzie walczyła o niego, to przecież ojciec jej dziecka. Ono go potrzebuje, ono go ocali.

* * *

Piotr nie wiedział, czy jest noc, czy dzień. Nic go nie interesowało. Siedział na krześle, słysząc sapanie aparatury. W tej plątaninie rurek leżała Ewa.

Jak to jest możliwe? Jeszcze tak niedawno śmiała się radośnie, cieszyła się, że Robert już się pakuje, już niedługo wróci z tej Francji. A on głupi martwił się, czy ta miłość nie przeszkodzi jej w studiach. Czy on poradzi sobie finansowo, bo z jednej strony studentka na utrzymaniu, a z drugiej noworodek, żona. A teraz ciągną się rozmowy z lekarzami, psychologiem. Ma wyrazić zgodę na to, by jego córkę pokroili na kawałki!

Tak, narządy Ewy mogą uratować kilka osób. Wie, że tak trzeba, że Ewa by tego chciała. Przerabiali ten temat po śmierci Stasia. Nie z tym miał problem – najpierw musiałby się pogodzić ze śmiercią córki, a tego nie potrafi. Nie potrafi!!! To jest ponad jego siły. Gdy tylko złoży podpis na tym papierze, to ją odłączy. Czuł się tak, jakby odbierał córce życie, które jej dał. Dlaczego? Dlaczego nie ma odpowiedzi na tak proste pytanie? Nie ma jakiegoś logicznego wytłumaczenia, sensu w tym, co się stało. Ewa absolutnie nie zasłużyła na taki los, nie ona!

– Piotrze, nie jestem najmądrzejszą kobietą na świecie, ale wiem jedno, najważniejsze jest życie. To na nim musisz się skupić. – Marlena mocno ścisnęła jego dłoń.

– Nie rozumiem, co ty mówisz? Nic nie mogę zrobić, nie mogę jej uratować, chociaż bardzo bym chciał.

– O tym już nie myśl, zrobiliśmy wszystko, co się dało. Teraz trzeba uratować to, co jeszcze można. Zobacz, Ewa całkiem nie umrze. Jej młode, zdrowe ciało uratuje kilka osób. Będzie w nich żyła. Piotrze, będzie żyła – podkreśliła z naciskiem – chociaż nie tak, jakbyśmy chcieli. – Głos jej się załamał. – Ale w naszej pamięci będzie zawsze, nigdy nie umrze, przysięgam ci – dokończyła hardo, z pełnym przekonaniem.

– Moja ty najmądrzejsza – powiedział. – Ale jak mam podpisać ten wyrok śmierci?

– To bardzo trudne, ale trzeba to zrobić, tutaj każda godzina jest cenna, za chwilę będzie na wszystko za późno. Nie możesz spoglądać wstecz, to już minęło. Musimy patrzeć do przodu, musimy żyć dalej, dopóki nie przyjdzie na nas czas. Powołaliśmy na świat nowego człowieka i mamy obowiązek opiekować się nim. – Położyła jego dłoń na swoim brzuchu. – Musimy żyć dla

niego, rozumiesz? – przemawiała ciepło i spokojnie, chciała wlać w niego nadzieję, wyrwać z tej czarnej rozpacz, zmusić do działania.

– Nie mogę, Marlenko, nie potrafię – skamlał.

– Potrafisz, kochanie, jesteś najdzielniejszym z facetów, jakich znam. Musisz pomóc swojej córce spełnić ostatnie zadanie, by jej życie nie straciło sensu. Tylko ty możesz to zrobić.

Nagle skrzywiła się z bólu, poczuła ostre klucie w podbrzuszu. Objęła swój brzuch rękami i szybko wyszła na korytarz. Trafiała na przechodzącą pielęgniarkę, która natychmiast się nią zajęła.

Piotr siedział zdrętwiały, niezdolny do podjęcia jakiegokolwiek działania. Popatrzył na bladą, spokojną twarz Ewuni, w uszach brzmiał mu jeszcze bolesny jęk Marleny. Nagle przeraziła go ta cisza, przerywana rytmicznym sapaniem aparatury. Nie słyszał oddechu córki, tylko pracujące maszyny.

I wróciły do niego słowa Marleny: „Najważniejsze jest życie”.

Wstał i podszedł do łóżka. Ucałował policzek Ewy.

– Córeczko, nie byłem najlepszym ojcem, ale bardzo cię kochałem, Kocham i będę kochał. Zrobię dla ciebie wszystko, pomogę ci. Zapewne taka była twoja misja do spełnienia. Nie żegnam cię na zawsze, bo będziesz żyła, tylko inaczej.

Podszedł do stolika, podpisał się w zaznaczonych miejscach i wyszedł szukać Marleny.

Przebudzenie

Artur otworzył oczy. Białe sufit, szum, pykanie aparatury i jeszcze coś. Znajomy głos. Odwrócił głowę i zobaczył ich. Mama i Wiktor. Siedzieli naprzeciw siebie, na krzesłach pod ścianą. Mieli pochylone głowy. Wiktor obejmował swoimi dłońmi splecione dłonie Aldony i coś jej szeptem tłumaczył.

Artur się uśmiechnął. Znał to złączenie, zbratanie dusz i serc. Już gdzieś to widział. Cieszył się, że jego rodziców połączyła miłość, ta prawdziwa. Jak dobrze się stało, spełniło się jego marzenie. Wiktor z pewnością zaopiekuje się mamą, gdy jego zabraknie. Nie mógł sobie wymarzyć lepszego ojca i lepszej matki. Pasują do siebie, oboje są wspaniali. Wielka szkoda, że przez tyle lat żyli osobno. Może jednak jego choroba ma jakiś ukryty sens?

– Obudził się – usłyszał głos pielęgniarki, która weszła z tacką ze strzykawkami i kroplówkami.

– Dzień dobry, synu. – Mama dotknęła jego ręki. – Jak się czujesz?

Artur kiwnął głową na tak, że dobrze. Był szczęśliwy, mając ich oboje przy sobie.

– Ja teraz zajmę się tym młodym człowiekiem, a państwo proszeni są do gabinetu ordynatora – poinformowała pielęgniarka.

* * *

– Jest serce dla państwa syna. Właśnie dostaliśmy wiadomość. Rozpoczynamy przygotowania do transplantacji. – Lekarz pozwolił im usiąść na przygotowanych krzesłach, zanim z uśmiechem oznajmił im tę szokującą wiadomość.

Najpierw niedowierzanie, a później dopadła ich szalona radość. A więc zdarzył się cud!

Wiktor zerwał się z krzesła, podał lekarzowi dłoń i mocno nią potrząsając, serdecznie podziękował.

Aldona poczuła taką niemoc, że nie mogła wstać. To, na co czekała, o co się modliła, miało się wydarzyć. Starła się nie myśleć, że właśnie ktoś pożegnał się z życiem, by Artur mógł żyć. Niemożliwe stało się możliwe.

* * *

Rozpędzała się, kluczyła w jakimś ciemnym tunelu, który miał wiele odnóg. Nie wiedziała, gdzie jest, dokąd zmierza. Czowała, że biegnie, pędzi coraz szybciej i to dodaje jej sił. Znika strach, rośnie radość, poczucie wyzwolenia. Wielka ulga, świadomość, że najgorsze już za nią, że zwyciężyła. Było tak dobrze, chociaż dziwnie obco. Dlaczego dobrze? Dlaczego obco? Pędziła chyba z prędkością światła. Kolejne rozgałęzienia tylko migwały, nie było czasu, by się zastanowić, którą wybrać drogę. Ktoś to wiedział i nią kierował. Ona skupiła się tylko na prędkości, ciągle chciała szybciej, szybciej i widziała, że jej się to udaje. Po raz pierwszy czowała, że ta jej pasja do biegania na coś się w końcu przydała, a lata ćwiczeń nie poszły na marne. Pędziła tak niesamowicie szybko, że chyba przekroczyła w końcu jakąś granicę, poza którą nie czuje się już swojego ciała, żadnych ograniczeń. Była esencją ruchu, prędkości.

W panice szukała bezpiecznego miejsca. Znalazła je w sercu, które wycięli i przeszczepili choremu.

* * *

Artur czuł, że narasta w nim silniejszy od wstydu, zimny, paraliżujący strach. Nie było nikogo, komu mógłby powiedzieć, jak bardzo jest przerażony. Strach... Wielki jak otchłań, pożerający strach nie opuszczał go, ciągle się nasilał. Jeszcze moment i zwariuje!

Wydawało mu się, że w jego brzuchu otworzyła się wielka czarna dziura. A w niej coś się kłębiło, wykręcało mu wnętrzności. Zaczął się obficie pocić, dosłownie spływał potem. Czuł tę wilgoć wszędzie. O Boże, może się zsikał ze strachu?

Chyba umiera, tak zapewne przeżywa się śmierć. Te tunele, światełka, bliscy, którzy czekają na ciebie... Totalna bzdura, największe oszustwo. On czuje tylko potworny lęk, samotność, pustkę. Jest bliski obłądu. I dusi się. Strach zabiera mu ostatni oddech. Ostatnie uderzenie udręczonego serca.

* * *

To był straszny widok, ledwo rozpoznała swojego syna w tym opuchniętym ciele. Aldona zbladła, brakowało jej tchu. Bała się podejść jeszcze bliżej, bała się dotknąć tej dużej, mokrej ręki leżącej martwo na pomarańczowym prześcieradle. Na myśl, że może być zimna, śliska, wzdrygnęła się.

Poczuła czyjąś obecność za plecami, usłyszała cichy głos Wiktora:

– To tylko tak źle wygląda. Lekarze są dobrej myśli, operacja przebiegła zgodnie z planem, prawidłowo. On jest młody, poradzi sobie, tylko potrzebuje czasu, trzeba czekać.

Zrobiła krok do tyłu, oparła się o niego. Objął ją, mocno przygarnął, poczuła jego ciepły oddech we włosach. Potrzebowała wsparcia tego mężczyzny, bez jego obecności nie poradziłaby sobie. Ra-

zem przeżywali te najgorsze chwile w swoim życiu, godziny niepewności, czekania, przerażenia i nadziei. Ich syn walczył o życie. Tak, ich, już przestała myśleć i mówić o Arturze „mój syn”. Po raz pierwszy w życiu wołała słowo „my” od „ja”. Coś się w jej psychice przestawiło, i to w sferze dla niej najważniejszej. Całe życie walczyła o niezależność, samodzielność, samowystarczalność. Oddałyby za to życie. To była siła napędowa wszelkich jej działań. Jej duma, poczucie własnej wartości. A teraz sama przekazała stery w ręce Wiktora, ufała mu bardziej niż sobie.

* * *

Patrzył zdezorientowany na otaczających go ludzi, rozpoznawał twarze, to koleżanki i koledzy z jego liceum, z jego ulicy.

Oni również go widzieli, ale zupełnie nie zwracali na niego uwagi. Rozmawiali, śmiali się, jedni szli pod prysznic, inni pakowali rzeczy do toreb. Rozejrzał się, był na basenie. Poczł, że jego buty ślizgają się po mokrych kafelkach, zrobiło mu się gorąco, wilgoć w powietrzu była coraz większa. Przetarł dłonią twarz. Był w ubraniu, nawet kurtkę miał na sobie. Co on tu robi w tym stroju? Rozpiął zamek, ponieważ coraz trudniej mu się oddychało. Łapał powietrze otwartymi ustami.

Ktoś spieszył się i popchnął go na ścianę. Stracił równowagę i zjechał po kafelkach, nie miał siły się podnieść. Czuł, że spodnie nasiąkają wodą. Wielokrotnie podejmował próby podniesienia się, bezskutecznie.

Prosił mijające go osoby o pomoc. Nie reagowali, chociaż patrzyli na niego. Poczł się nikim, zbędnym, nieistotnym przedmiotem, a jednocześnie zauważył, że coś niedobrego dzieje się z jego ciałem. Przestało go słuchać, jego ręce i nogi poruszały się coraz wolniej.

Rozplakał się jak dziecko, głośno, rozpaczliwie, przez moment przyniosło mu to ulgę. Poczł na-
pływ energii, narastającą wściekłość i wtedy udało mu się stanąć na nogi.

Trzymając się ściany, próbował wyjść na zewnątrz. Szedł korytarzem, który okazał się labiryntem bez wyjścia. Widział wkoło tylko białe ściany i podłogę wyłożoną śliskimi białymi kafelkami.

Przesuwał się wolno, bo spazmatyczny płacz wstrząsał jego klatką piersiową, utrudniając mu od-
dychanie. Od czasu do czasu mijały go jeszcze jakieś pojedyncze osoby – wszystkie były znajome, ale żadna nie przystanęła, nie chciała mu pomóc, chociaż bardzo o to prosił.

Usiłował zdjąć kurtkę. Po wielu próbach udało mu się, ściągnął też przez głowę sweter, ale nie przyniosło to spodziewanej ulgi. Temperatura i wilgoć rosły, z coraz większym trudem łapał po-
wietrze. Za kolejnym zakrętem zobaczył zbliżające się dwie dziewczyny, znał je, mieszkały w domu obok, często opalały się na dachu. Rozgadane, nawet go nie zauważyły.

Odepchnął się od ściany, by zastąpić im drogę i zwrócić na siebie uwagę.

Rozłożył szeroko ręce, próbując z całych sił wykrzyknąć: „Pomóżcie mi!”. Niestety jego wysunięty
język, spuchnięty i mięsisty, zamieniał słowa w niezrozumiałe bełkot.

Dziewczyny roześmiały się, schyliły pod jego rozłożonymi ramionami i spokojnie poszły dalej. Stał na szeroko rozstawionych nogach i płakał. Dlaczego nikt nie chciał mu pomóc? Gdzie on jest? Jak tu trafił? Nic nie pamiętał. Czuł, że jest chory, bardzo chory. Język nie mieścił mu się w ustach, nie był w stanie normalnie oddychać. Wiedział, że jest źle, chyba umierał. Kto umierał? Nie mógł sobie przypomnieć, kim jest, jak się nazywa. Ale ci wszyscy mijający go ludzie wiedzieli, może ktoś mu powie, przypomni? Miał świadomość, że oni wiedzą, tylko on już tego nie pamiętał. Tracił zmysły? Tracił zmysły, tracił siebie... Wszystko się w nim tak spowolniło.

* * *

Ewa weszła w umysł kogoś obcego. To było fascynujące, pozerła ją ciekawość, mogła podglądać, śledzić jego procesy myślenia.

Natrafiła na bardzo bierny egzemplarz ludzki. Jak można nie wykazywać nawet cienia zainteresowania otoczeniem, ludźmi i w ogóle życiem? Jak można leżeć bez ruchu, bez chęci ruszenia chociaż małym palcem i jeszcze czuć to cholerne zadowolenie? Ta powłoka była tłusta, wielka, nieżywa, mimo że oddychała samodzielnie. Tak musi się czuć kaszalot, który nie wiadomo, z jakiego powodu utknął na mieliźnie i nie ma możliwości poruszania się. Za mało wody, by żyć, za dużo, by zdechnąć.

Odczuwała jego ból. Bolało go wszystko: skóra, mięśnie i kości. Bardzo mu współczuła, chociaż jej to nie dotyczyło, bo to nie był jej ból.

Ona sama czuła wielką potrzebę ruchu, biegania. Była pewna, że gdyby tylko mogła się rozpędzić... Niestety, to coś, co trzymało ster w ręce, nie miało ochoty na nic. Pozostały więc dwie możliwości: albo uda jej się przejąć ster tej ludzkiej maszyny, albo musi przekonać to coś za sterem, by robiło to, co ona chce.

Miała z tym problem. Oczywiście, że wolałaby sama decydować i działać, ale czuła instynktownie, że z jakichś powodów nie jest to możliwe. Wyrzucenie tej niemocy poza burtę ciała przekraczało jej możliwości. Z drugiej strony, przebywanie w takiej hermetycznej i ograniczonej przestrzeni z kimś tak odmiennym było czystym szaleństwem. Nie miała więc innej możliwości, musiała z nim współdziałać. Wymusić na nim współpracę.

Dlaczego uważała, że to on? Zaskoczyło ją to pytanie. Logicznie rozumując, skąd miałyby o tym wiedzieć?

Przekonywała siebie, że na pewno kobieta wykazałaby większe zainteresowanie otoczeniem, chciałaby chociaż sprawdzić, jak wygląda, co tu robi i dlaczego leży bez ruchu. Miała tyle problemów do rozwiązania, a tkwiła zablokowana. Gdyby tylko mogła się rozpędzić. Pęd powietrza zawsze sprawiał, że mięśnie się rozluźniały, napięcie opadało, a ona znowu potrafiła stawić czoło ludzkiej nienawiści i głupocie. Wtedy też znajdowała rozwiązania najtrudniejszych problemów.

Niestety, wszystko wskazywało na to, że to coś za sterem jest facetem. Leniwym facetem, bardzo leniwym i upartym. Będzie musiała nieźle się napracować, by przekonać go, że do życia potrzebuje ruchu.

Nowe życie

Artur czuł, że tkwi w zawieszeniu, czekał, aż zacznie się dla niego nowe życie, ale nie potrafił przejąć inicjatywy. Targały nim sprzeczne uczucia, kłębiły się myśli, chwilami dziwne, jakby nie jego. Pełne ruchu, energii, niczym nieuzasadnionego entuzjazmu.

Wiedział, że granica pomiędzy tym, co się ludziom wydaje, a tym, co się dzieje naprawdę, czasami jest bardzo nieostra. To taka wielka szara strefa, dość duża, by się w niej zagubić. Chyba w niej utknął. „Wyobrazasz sobie, człowieku, różne rzeczy... i możesz sprawić, że staną się rzeczywistością” – usłyszał czyjś głos we śnie, który śnił praktycznie na okrągło. To był taki ciepły, miły głos, jak muzyka, jak *Poranek Griega* – wielka obietnica życia, tyle było w tym miłości i radości.

Budził się na sali na OIOM-ie, słyszał szum aparatury, ale nie miał dość energii, by otworzyć oczy. Czuł, że jego ciężkie ciało bardzo cierpi, był taki obolały, pozbawiony siły, nie dał rady ruszyć ręką ani nogą. Miał uczucie, że oddała się od tego świata, od najbliższych. Słyszał i widział ich jak przez mgłę.

Z wielką radością wracał do krainy snów. Tam przenosił się na ukwiecone łąki, nad brzeg morza, na czarną plażę i wszędzie oddychał pełną piersią, rześki wiatr owiewał mu twarz, a on sam lekko, bez wysiłku biegał. To było niesamowite uczucie! Tam w ogóle nie czuł bólu, za to wypełniało go wielkie uczucie radości, miłości do całego świata.

Co się z nim dzieje? Czy on żyje, czy umarł i przebywa w innej rzeczywistości? Ma ciało. Co różni ciało biologiczne bezpośrednio po śmierci od ciała przed śmiercią? Nic, ma tę samą budowę i skład chemiczny, w czym więc tkwi różnica? W świadomości? Gdzie tak naprawdę jest jego świadomość? Czym jest świadomość, skąd się wzięła? Spokojnie, świadomość to przecież umiejętność wykorzystywania informacji. A on słyszy głos mamy, czuje jej dotyk, rozpoznaje jej perfumy. Jego zmysły nieustannie dostarczają mu nowych informacji. Więc żyje.

* * *

– Panie doktorze, to już trzecia doba po operacji, a jego stan się nie poprawia. Czy dzieje się coś złego? – dopytywała się zmartwiona Aldona.

– Rozumiem pani niepokój. Proszę mi wierzyć, jego stan stale się poprawia, tylko o wiele wolniej

niż u innych pacjentów. Zdecydowaliśmy się zmienić mu lek immunosupresyjny. Wie pani, że w czasie operacji i bezpośrednio po niej syn otrzymywał duże dawki sterydów i leków immunosupresyjnych. Podawaliśmy mu Cyclosporine i CellCept, leki bardzo silnie hamujące wczesne odrzucenie przeszczepionego organu. Teraz zamieniliśmy CellCept na Imuran. Powinien być lepiej tolerowany przez organizm syna.

– Ufam panu, doktorze. Ale jestem matką, czytałam, że wielu pacjentów w trzeciej dobie po przeszczepie już samodzielnie siada.

– Każdy organizm jest inny. Robimy wszystko, co w naszej mocy. Proszę go wspierać, być przy nim, a resztę zostawić nam, lekarzom.

Nie miała wyboru, czekała. Czas tak wolno płynął. Starła się mówić do syna głosem spokojnym, pełnym miłości. Opowiadała mu o Teneryfie, o morzu i palmach, o dużym stadzie delfinów, które od ponad miesiąca upodobały sobie okolice klifów i stały się wielką atrakcją turystyczną. Była przekonana, że takie obrazy przyciągną uwagę Artura, że będzie chciał wrócić. Bała się myśleć o tym, gdzie w tej chwili przebywała dusza jej syna. Czytała, że człowiek nieprzytomny słyszy, co się do niego mówi. Mówiła do Artura po polsku i po hiszpańsku, czasami po angielsku. Próbowwała wszystkiego.

Wiktor często jej towarzyszył, dbał o to, by pamiętała też o sobie. Tylko w jego obecności pozwalała sobie na krótką drzemkę, spacer po szpitalnym korytarzu czy posiłek w kawiarence. I w końcu kryzys minął, Artur otworzył oczy, uśmiechnął się.

* * *

Artur z każdym dniem czuł się coraz lepiej. Obserwował siebie i swoje ciało. Miał poczucie, że jest inne, ale stopniowo akceptował fakt, że w jego piersi bije cudze serce. Uświadomił sobie, nie bez oporów, że ten obcy organ również go zaakceptował. I żyją teraz tym samym rytmem w pełnej harmonii. Niesamowite było to zjednoczenie dwóch różnych ciał, ich wzajemna akceptacja i dostosowanie się. Stało się to niezależnie od jego woli, rozumu i psychiki.

W siódmej dobie został przeniesiony na oddział chirurgii, do izolatki po przeszczepach. Lekarze byli bardzo zadowoleni, wszystko przebiegało prawidłowo. Potrafił już samodzielnie siadać.

Minusem były bezsenne noce spowodowane reakcją na leki. Musiał leżeć w pozycji półsiedzącej, ponieważ w jego płucach zbierała się niewielka ilość płynów, utrudniając mu oddychanie. Coraz rzadziej śnił te piękne sny dające mu tyle radości i energii. Za to częściej uświadamiał sobie, że żyje i będzie żył. I będzie miał szansę na realizację swoich planów i marzeń.

Dużą przykrość sprawiały mu nawracające stany zapalne po założonych wenflonach. Wytrzymały tylko jedną dobę, a były niezbędne, gdyż codziennie otrzymywał kroplówki i część leków podawanych dożylnie, ponadto dwa razy dziennie pobierano mu krew do badania. Ręce miał pokłute,

posiniaczone i bardzo obolałe. Okłady niewiele pomagały.

Stale przeprowadzano jakieś dodatkowe badania, ponieważ przyjmowane leki immunosupresyjne powodowały duże obniżenie odporności organizmu i trzeba było wyeliminować wszelkie możliwe źródła potencjalnych zagrożeń.

Cierpliwie to wszystko znosił, zachwycała go ta współpraca jego organizmu i darowanego narządu. Powoli znikwały z jego świadomości wszelkie opory.

Często, gdy nikt go nie widział, dotykał swojej piersi z wielką czułością. Wiedział, że dawcy muszą być superzdrowymi ludźmi, muszą spełniać bardzo surowe kryteria. To prawdziwa elita, nie każdy może do niej należeć. Ten ktoś musiał dbać o swoje ciało, o swoje serce. I pojawiło się ono w odpowiednim momencie, dokładnie wtedy, gdy jego serce musiało zamilknąć. To jakiś osobliwy pakt śmierci z życiem. Trudno to nazwać przypadkiem.

– Pewnie nigdy się nie dowiem, czyje serce bije w mojej piersi, wiem tylko, że nie moje. Będę dbał o ciebie najlepiej, jak potrafię. Bo teraz jesteś moje i będziesz mi wspaniale służyć – szeptał.

Mijały tygodnie w szpitalu. Był bardzo zdyscyplinowanym pacjentem, wykonywał wszystkie polecenia lekarzy i pielęgniarek, ufał ich wiedzy i doświadczeniu. Doceniał wysiłek i zaangażowanie tych ludzi, w przyjaznej atmosferze szybko wracał do zdrowia.

Mama wróciła na Teneryfę, ale miała z nimi stały kontakt. W końcu Wiktor przewiózł go do Górnośląskiego Centrum Rehabilitacji w Reptach, gdzie poddawano go bardzo intensywnemu leczeniu. Któregoś dnia wybrał się na spacer po parku, słońce świeciło, zapowiadając rychłe nadejście wiosny.

Nieświadomie zaczął biec i to tak nagle, jakby ktoś trzepnął go w plecy. W tym biegu było coś, czego do końca nie rozumiał. Pęd powietrza sprawiał, że jego mięśnie się rozluźniły, opadło napięcie. Tam było coś jeszcze, jakaś magia.

Alejka, którą przebiegł, nie była długa, ale dla niego to był wielki wyczyn. Musiał kucnąć pod prysznicem, bo zemdłałby na stojąco. Następnego dnia pobiegł znowu, początkowo po to, by zrozumieć, co go spotkało, a potem już dla przyjemności i rosnącego poczucia mocy. Po kilku dniach nogi i ramiona odnalazły wspólny rytm i okazało się, że pod tym jego galaretowatym ciałem ukrywało się inne – silniejsze, twardsze i szybsze.

* * *

Hubert cieszył się od rana. Dzisiaj pojedą z Wiktorem do Rept. Tam od jakiegoś czasu przebywał Artur. Rozmawiał z nim codziennie wieczorem. Dyskutowali swoim zwyczajem na bardzo różne tematy i świetnie się przy tym bawili. Stęsknił się za chłopakiem, nikomu by się nie przyznał, ale bardzo go pokochał. Dzięki niemu poznał uczucie ojcostwa. Wiekowo mógłby być jego dziadkiem, ale bycie ojcem było mu bliższe. Artur wypełnił dużą lukę w jego życiu, sprawił, że wyzwoliły się

w nim uczucia, których nie był dotąd świadomy. Ożywił też jego zainteresowanie światem, nauką, rozwojem. Jego życie stało się bogatsze.

Zwierzył się ostatnio Wiktorowi, że gdyby nie Artur, byłby już stetryczalym staruszkiem. Po śmierci żony Ireny wycofał się z życia towarzyskiego, niechętnie opuszczał swój dom, po prostu dziwaczał. Codzienny kontakt z takim młodym, poszukującym umysłem działał na niego jak eliksir młodości.

Ostatnio głównym tematem rozmów z Arturem było dalsze kształcenie. Studia, jakie, gdzie? Aldona chciała jego powrotu na Teneryfę, Wiktor widział go w gronie studentów na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Hubert wolałby Cambridge, ale Artur myślał o Stanach Zjednoczonych. Trudno go było nie wspierać w tym dążeniu, ale jednocześnie oznaczało to rozstanie. Bolesne, bardzo. Problem był więc ciągle otwarty.

Nie zastali Artura w ośrodku. Wyszli do parku, pięknego, starego, pełnego przyjaznych ławeczek. Jeszcze niewielu kuracjuszy z nich korzystało, wiosna dopiero raczkowała. Zgodnie z tym, co mówiła pielęgniarka, Artur spacerował gdzieś na terenie parku. Robił to codziennie niezależnie od pogody. Uznali, że im również spacer dobrze zrobi.

– Wiktor, popatrz, ty masz młodsze oczy. Czy to przypadkiem nie Artur? – Hubert wskazał ręką w lewą alejkę.

– No, nie wiem. Czy on może w ogóle biegać?

– Nie mam pojęcia, czy mu wolno, ale biega – upierał się Hubert.

– Nie, Artur jest znacznie grubszy – powątpiewał Wiktor.

– Poczekajmy chwilę, zaraz się wyjaśni. Nigdy nie widziałem go biegającego, ale jest w tej sylwetce coś znajomego – zastanawiał się Hubert.

No i szybko się wyjaśniło. Chłopak pomachał im i przyspieszył kroku. Stali zafascynowani tym widokiem.

– Artur, ty biegasz?! Warto było dożyć tego widoku. – Hubert objął go i poklepał po ramieniu.

– Masz rację, Hubercie, nigdy bym nie uwierzył, że bieganie może dawać tyle przyjemności. – Artur się roześmiał.

– Lekarz wie o tym? Wolno ci? – niepokoił się Wiktor.

– Wolno, tato, a nawet jest bardzo wskazane – uspokoił go.

– Ile ty ważysz, człowieku, coś strasznie cię ubyło? – dopytywał się Hubert.

– Jeszcze mam sporą nadwagę, ale w porównaniu z tym, co było, to jestem chudziutki – odparł ze śmiechem.

– Miło cię widzieć takim, ale się mama ucieszy. – Na twarzy Wiktora również pojawił się uśmiech.

– Arturze, co się stało? Czyżbyś polubił bieganie? O ile mnie pamięć nie myli, to właśnie tego nienawidziłeś od dziecka – zauważył Hubert.

– Tak, masz rację. Na początku sam byłem zaskoczony tą silną potrzebą, która pojawiła się nie wiadomo skąd. Ale teraz, Hubercie, muszę ci powiedzieć, że bieganie uczy dyscypliny, nieodpuszczania, trzymania się w ryzach. Żyjemy w świecie, który jest coraz bardziej wirtualny, a bieganie jest takie... cielesne, fizyczne. Polecam, biegać można w każdym wieku.

– Wiktor, trzymaj mnie. – Hubert się roześmiał. – Ty słyszysz swojego syna? W jego ustach takie słowa?

– Ja się już niczemu nie dziwię. – Wiktor rozłożył szeroko ręce. – Odkąd poznałem mojego syna i jego wspaniałą matkę, mój świat zmienił się wprost niewyobrazalnie.

– Tak, tak, rozumiemy. – Hubert z Arturem wymienili znaczące spojrzenia. – Dopadła cię spóźniona miłość. Wszystkie wróble o tym ćwierkają.

Chwilę później radosny, gromki śmiech trzech facetów spłoszył stadko gołębi.

* * *

Marlena raz w tygodniu odwiedzała cmentarz. Zapalała znicze, podlewała kwiaty w donicach na wspólnym grobie Teresy, Ewuni i Stasia. Nikomu się z tego nie zwierzała, ale czuła wielką potrzebę nieustannego dziękowania. Tą pamięcią, tym staraniem o mogiłę wyrażała wdzięczność za swoje szczęśliwe życie z mężem Piotrem i zdrowo rosnącą, śliczną córeczkę, Sabinę.

„Nie buduje się życia na cudzym nieszczęściu” – przestrzegała ją matka. Ona zaryzykowała i już teraz miała pewność, że lepszego męża nie mogłaby sobie wymarzyć.

Piotr był taki pracowity, opiekuńczy, kochający, pełen szacunku i wdzięczności za wszystko, co mu dawała. Tylko czasami zamyślał się, kulił jak zbite zwierzę, a oczy szklily mu się łzami. I ona wtedy wiedziała, że dopadły go wspomnienia. Szanowała te chwile, nie przeszkadzała mu w ich przeżywaniu. Bo człowiek, który przeżył tak wielką tragedię, nigdy nie zapomni, nigdy się z tym nie pogodzi, bolesny ślad zostanie do końca życia. Za to później Piotr był jeszcze szczęśliwszy, gdy patrzył na Sabinę i na nią.

Często też całą rodziną odwiedzali babcię Trudzień, dbali o nią jak o rodzoną matkę.

„Nic za darmo na tym świecie” – powtarzała sobie Marlena. I nie chciała za darmo, wołała sobie uczciwie zasłużyć, bo wtedy czuła się bezpieczniejsza.

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

Rozdział I - Teneryfa

Rozdział II - Bieganie

Rozdział III - Zielony krokodyl

Rozdział IV - Początek końca

Rozdział V - Przeprowadzka

Rozdział VI - Gaz

Rozdział VII - Artur

Rozdział VIII - Anorektyczka

Rozdział IX - Hałda

Rozdział X - Organy

Rozdział XI - Przyjęcie urodzinowe

Rozdział XII - Ojciec Artura

Rozdział XIII - Afera treningowa

Rozdział XIV - Nowa rodzina

Rozdział XV - Wiktor

Rozdział XVI - Spartakiada

Rozdział XVII - Wyniki DNA

Rozdział XVIII - Jasnowidz

Rozdział XIX - Fotografia

Rozdział XX - Teresa

Rozdział XXI - Spotkanie z synem

Rozdział XXII - Poszukiwania

Rozdział XXIII - Wujek Hubert

Rozdział XXIV - Rozmowy

Rozdział XXV - Pusty pokój

Rozdział XXVI -Oczekiwanie

Rozdział XXVII - Operacja

Rozdział XXVIII - Górny Śląsk

Rozdział XXIX - Matura

Rozdział XXX - Osiemnaste urodziny

Rozdział XXXVIII - Robert

Rozdział XXXII - Motyl

Rozdział XXXIII - Piosenka

Rozdział XXXIV - Zakochana Ewa

Rozdział XXXV - Powrót na hałdę

Rozdział XXXVI - Piotr

Rozdział XXXVII - Na cmentarzu

Rozdział XXXVIII - Napad

Rozdział XXXIX - Szpital

Rozdział XL - W innym ciele

Rozdział XLI - Przebudzenie

Rozdział XLII - Nowe życie

Karta redakcyjna